NIMITZ PRZECIW JAPONII
Amerykański admirał doskonale wykorzystał potęgę lotniskowców

CHIŃSKI „TWÓRCA KRÓLÓW"
Jak obrotny kupiec zmienił bieg historii w Państwie Środka

MOSKALE PORYWAJĄ BISKUPA
Kajetan Sołtyk dał się uwikłać w perfidną grę przeciw królowi Polski

NR 4(146)/2025 KWIECIEŃ 2025

CENA 13,90 ZŁ (W TYM 8% VAT)

HISTORIA

MIESIĘCZNIK LISICKIEGO
DO RZECZY

ISSN 2299-9515
DO RZECZY HISTORIA
Nr indeksu 296 031

RYS. KRZYSZTOF WYRZYKOWSKI

1000-lecie triumfu

KORONA CHROBREGO

HISTORIA DO RZECZY

CZYTAJ CO MIESIĄC W LEPSZEJ CENIE

ZAMÓW PRENUMERATĘ

PRENUMERATA ROCZNA MIESIĘCZNIKA „HISTORIA DO RZECZY"
+ W PREZENCIE KSIĄŻKA TERESA KOWALIK, PRZEMYSŁAW SŁOWIŃSKI: „POWSTANIE WARSZAWSKIE W 100 PRZEDMIOTACH"

„Powstanie Warszawskie w 100 przedmiotach" nie jest zwykłym albumem ze zdjęciami.

To nowy sposób opowiedzenia dziejów społecznych, politycznych,wojskowych, technicznych i kulturalnych Powstania.
Każdy z pokazanych przedmiotów opowiada historię, którą trudno zrozumieć bez właściwego kontekstu. Przedmioty czasem zwyczajne awansowały na świadków wielkiej historii.

Powstanie Warszawskie do dziś wywołuje gorące emocje, często w poprzek tradycyjnych podziałów politycznych. Jedni twierdzą, że przyniosło tylko zniszczenie Warszawy i hekatombę cywilnych ofiar – inni utrzymują, że powstrzymało sowietyzację Polski. Nasza książka nie wnosi do tego sporu żadnego nowego komentarza politycznego czy historycznego. Przybliża za to czas próby i honoru poprzez przedmioty, rzeczy, którymi posługiwali się powstańcy, żołnierze ruszający na pomoc Warszawie i zwykli mieszkańcy.

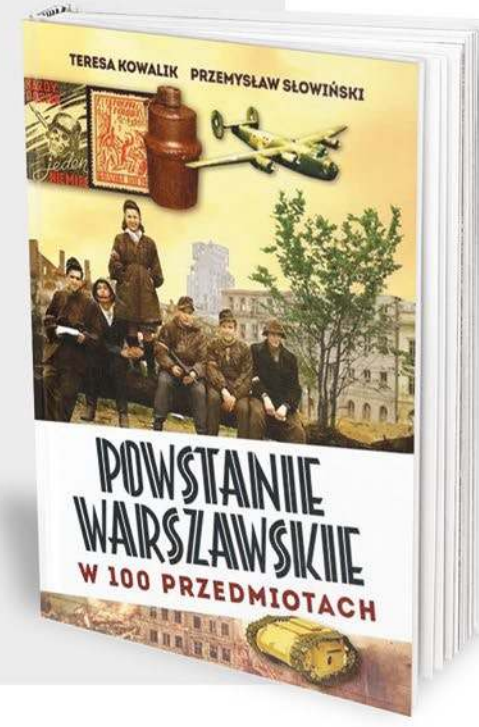

166 zł

oszczędność 71 zł

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:
WPŁATA NA KONTO:
UWAGA NOWY NUMER
33 1600 1462 1816 5874 1000 0006
ORLE PIÓRO S.A.,
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:
Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: **prenumerata@pmpg.pl** TELEFON: **508 040 664, 539 953 631 (pon-pt 10.00-16.00)** INTERNET: **subskrypcja.dorzeczy.pl**

eprasa.pl ffb67b0033

ADRES:
HISTORIA DO RZECZY
Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00, *fax:* +48 22 529 12 01
e-mail: historia@DORZECZY.PL
www.HISTORIA.DORZECZY.PL
PROWADZĄCY: ANNA SZCZEPAŃSKA

REDAKCJA MIESIĘCZNIKA **„HISTORIA DO RZECZY"** JEST INTEGRALNĄ CZĘŚCIĄ REDAKCJI TYGODNIKA „DO RZECZY".

REDAKCJA:
Redaktor naczelny: **Piotr Włoczyk**
Redaktorzy: **Tomasz Stańczyk, Anna Szczepańska**

STUDIO GRAFICZNE:
Wojciech Niedzielko (szef studia),
Marta Michałowska, Jakub Tański (skład),
Jacek Nadratowski (obróbka zdjęć)
Fotoedycja: **Edyta Bortnowska, Przemysław Traczyk**

KOREKTA: Anna Zalewska, Magda Zubrycka-Wernerowska

OKŁADKA: Krzysztof Wyrzykowski

PORTAL DORZECZY.PL
redaguje **Karol Gac**
z zespołem: **Zuzanna Dąbrowska, Małgorzata Puzyr, Anna Skalska, Anna Szczepańska, Marcin Bugaj, Damian Cygan, Jan Fiedorczuk, Grzegorz Grzymowicz, Dawid Sieńkowski, Łukasz Żygadło**

WYDAWCA:
Do Rzeczy SA
Batory Office Building II,
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 347 50 00, fax: +48 22 347 50 01
Wydawca tytułu, Orle Pióro, wchodzi w skład Grupy Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW.

spółka notowana na GPW
PMPG POLSKIE MEDIA SA

ZARZĄD PMPG POLSKIE MEDIA SA:
Katarzyna Gintrowska, Jolanta Kloc

ZARZĄD SPÓŁKI DO RZECZY SA:
Katarzyna Gintrowska, Paweł Lisicki

BIURO REKLAMY:
reklama@dorzeczy.pl; tel.: 500 112 386

PUBLIC RELATIONS:
(PR manager), pr@pmpg.pl

DYSTRYBUCJA I PRODUKCJA
Adam Borzęcki
a.borzecki@pmpg.pl, +48 500 112 424

DRUK Walstead Starachowice

PRENUMERATA WYDAWNICZA
Joanna Gosek, Joanna Nowakowska
+48 508 040 664, +48 539 953 631
Od pn.-pt. w godz. 10:00-16:00
e-mail: prenumerata@pmpg.pl
https://subskrypcja.dorzeczy.pl/

PRENUMERATA KOLPORTERSKA
Kolporter sp. z o.o. (instytucjonalna)
tel.: +48 (41) 367 88 88
e-mail: prenumerata.warszawa@kolporter.com.pl
www.kolporter.com.pl
Garmond, tel.: +48 (12) 422 14 85
e-mail: prenumerataprasy@poczyta.pl
www.poczyta.pl/prenumerata#prasa
GLM sp. z o.o., tel.: +48 (22) 649 41 61
www.glm.pl
Poczta Polska
https://prenumerata.poczta-polska.pl/

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiustacji tekstów oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa autorskiego wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie materiałów opublikowanych w miesięczniku „Historia Do Rzeczy" jest zabronione.

© ℗ Wszystkie materiały w miesięczniku chronione są prawem autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułu tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin/.

Ze starych klisz / Gniezno, 12 września 1925 r.

Odsłonięcie gipsowego modelu pomnika Bolesława Chrobrego (spiżowy pomnik powstał cztery lata później)

FOT. NAC

Od redaktora

Piotr Włoczyk

Korona wbrew wszystkim

Bolesław Chrobry mógł mieć wiele innych, świetnie pasujących do niego przydomków. Ot, choćby Wielki, Waleczny czy Niepokorny. I właśnie ta ostatnia cecha sprawiła, że po śmierci Mieszka I wygnał macochę wraz z jej synami i depcząc testament ojca, skupił w swoich rękach władzę nad całym państwem.

Co by się z nim stało, gdyby tego nie zrobił? W przypadku rozbicia na kilka części na tym „niemowlęcym" etapie rozwoju państwa polskiego historia mogła się potoczyć dużo mniej fortunnie dla niego. Niepokorny Bolesław nie uszanował jednak – na szczęście – woli ojca i utrzymał jedność dziedzictwa Mieszka I.

Ta cecha dała też o sobie znać, gdy Bolesław Chrobry doczekał się śmierci swojego arcywroga – Henryka II, który nie zgadzał się na koronację swojego wschodniego sąsiada. Gdy w niedługim czasie odszedł z tego świata również papież Benedykt VIII, zależny od woli cesarza, niepokorny książę Bolesław postanowił kuć żelazo, póki gorące, i sięgnął po koronę. Wbrew wszystkim. Ewidentnie myślał jednak nie tylko o zaspokojeniu swojej ambicji, lecz także o przyszłości Polski.

„Chrobry nie dopuszczał do siebie myśli o podziale państwa na trzy części. Korona królewska, dodająca władcy sakralnego charakteru, miała przed tym podziałem dodatkowo chronić i ułatwić Mieszkowi objęcie w posiadanie całego państwa" – mówi w wywiadzie z „Historią Do Rzeczy" prof. Wojciech Polak, autor książki „Pierwsze królestwo. Mocarstwo Bolesława Chrobrego".

Pierwszy polski król nie chciał, by jego synowie rozszarpali między sobą państwo, i w koronie dla Mieszka (II) widział ratunek dla jego jedności. Jakie były efekty tego planu i dlaczego Chrobry nie dostał korony już ćwierć wieku wcześniej od zaprzyjaźnionego, wydawałoby się, Ottona III? Przyjrzyjmy się zatem wydarzeniu, które równo tysiąc lat temu zmieniło historię Polski. ©℗

eprasa.pl ffb67b0033

/ TEMAT NUMERU

.6 PROF. WOJCIECH POLAK
Zagadka korony Chrobrego

.12 LESZEK LUBICKI
Koronacja według Mistrza Jana

eprasa.pl ffb67b0033

/ CZASY I LUDZIE

.16 BARTOSZ PALUSZKIEWICZ
Nóż, widelec i trup

.20 ŁUKASZ CZARNECKI
Chiński „twórca królów"

.24 SŁAWOMIR KOPER
Sycylijskie imperium

.28 TOMASZ STAŃCZYK
Moskale porywają biskupa

.32 GRZEGORZ JANISZEWSKI
Niezabliźniona rana Wuja Sama

.36 ANNA SZCZEPAŃSKA
Miliarder z Mali

.40 ARKADIUSZ KARBOWIAK
Masakra w Sahryniu

.44 PIOTR SEMKA
Tajemnice gen. von Seydlitza

.48 MIKOŁAJ IWANOW
„Polska kultura proletariacka"

.52 MAREK GAŁĘZOWSKI
Niezastąpieni

.56 JAKUB OSTROMĘCKI
Zabójcze „żyjątka"

.60 ADAM HLEBOWICZ
Nie tylko Września

/ CO CZYTAĆ

.64 KRZYSZTOF MASŁOŃ
Mularczyk: Twórca i tworzywo

.68 RECENZJE

/ FELIETONY

.70 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ
Metamorfozy imperium

.71 PIOTR SEMKA
„Zły" – do dziś niezły

/ BATALIE I WODZOWIE

.72 CRAIG SYMONDS
Odwet Nimitza

/ TECHNIKA

.78 TYMOTEUSZ PAWŁOWSKI
Podwodne pioruny

/ POD PRĄD

.80 PIOTR ZYCHOWICZ
Umarł Stettin, niech żyje Szczecin!

/ KOMIKS

.82 KRZYSZTOF WYRZYKOWSKI I MACIEJ JASIŃSKI
Kula dla Schmalza

eprasa.pl ffb67b0033

Wywiad / Z prof. Wojciechem Polakiem, historykiem z UMK, autorem książki „Pierwsze królestwo. Mocarstwo Bolesława Chrobrego"

rozmawia Piotr Włoczyk

Zagadka korony Chrobrego

– Nasi zachodni sąsiedzi uważali, że Polska to państwo młode, podrzędne, które w zasadzie powinno podlegać Niemcom. Status królestwa dla Polski oznaczał komplikacje dla niemieckich planów – mówi historyk

PIOTR WŁOCZYK: To był jeden z najważniejszych dni w historii Polski, ale wiadomo o nim zaskakująco mało. W zasadzie nie wiemy, który to był konkretnie dzień, a nawet czy na pewno stało się to w 1025 r.

PROF. WOJCIECH POLAK: Niektórzy historycy przypuszczają, że koronacja Bolesława Chrobrego mogła się odbyć nie w 1025 r., ale w Boże Narodzenie roku poprzedniego. Najczęściej jednak uznaje się, że to wielkie wydarzenie miało miejsce w Wielkanoc 1025 r. (18 kwietnia). I ta data jest według mnie najbardziej prawdopodobna, ponieważ był to wyjątkowy dzień.

Pamiątka Zmartwychwstania Jezusa.

Największe święto chrześcijańskie, więc nie można było wybrać na koronację bardziej godnego dnia. Odnotujmy tu, że w debacie historycznej pojawiają się jeszcze dwie inne daty: 23 kwietnia (dzień św. Wojciecha) oraz 6 czerwca (Zielone Świątki), ale jednak są to mniej prawdopodobne hipotezy.

MARCELLO BACCIARELLI „PORTRET STANISŁAWA AUGUSTA" FOT. COMMONSWIKIMEDIA, ZAMEK KRÓLEWSKI W WARSZAWIE

eprasa.pl ffb67b0033

„Koronacja Bolesława Chrobrego". Grafika z XIX w. FOT. BIBLIOTEKA NARODOWA

Nie mamy też pewności w sprawie miejsca koronacji, choć w książce zajmuje pan bardzo jednoznaczne stanowisko w tej kwestii. Dlaczego?

Tradycyjnie uważano, że koronacja miała miejsce w Gnieźnie. Dawniej sądzono, że gród ten pełnił funkcję pierwszej stolicy. Tylko że mówienie w kontekście tamtych czasów o „stolicy" jest anachronizmem. W gruncie rzeczy państwo nie miało stałej stolicy. W tamtych czasach książę czy król objeżdżał ze swoim dworem poszczególne grody i po zużyciu wszystkich zapasów w jednym miejscu jechał do kolejnego.

Gniezno było oczywiście miejscem o szczególnym znaczeniu, ponieważ było siedzibą arcybiskupstwa. Jednak moim zdaniem koronacja Bolesława Chrobrego miała miejsce nie w Gnieźnie, lecz w Poznaniu. Dlaczego? Katedra gnieźnieńska spłonęła w 1018 r. Wiemy o tym dzięki kronice niemieckiego biskupa Thietmara. W tamtych czasach odbudowa tak dużego kościoła z pewnością trwałaby dłużej niż siedem lat. Chrobry miał wówczas – w 1025 r. – do dyspozycji wspaniałą katedrę poznańską, która była zabytkiem rangi romańskich katedr Europy Zachodniej. I wszystko wskazuje na to, że to tam doszło do koronacji. Zwróciłbym uwagę na jeszcze jeden szczegół, który zdaje się potwierdzać tę hipotezę. Gdy kilka miesięcy później Chrobry umarł (w czerwcu 1025 r.), został pochowany nie w Gnieźnie, a właśnie w katedrze poznańskiej. Zapewne sam o tym zadecydował. Najwidoczniej uważał tamten kościół za najbardziej godne miejsce w swoim państwie.

Co realnie zmieniała korona na skroniach Bolesława Chrobrego?

Królestwo dawało pełną suwerenność. Księstwo było organizmem niższej rangi i choć mogło być suwerenne, to jednak Cesarstwo Rzymskie, czyli po prostu Rzesza Niemiecka, miała pretensje do zwierzchności nad nim. Ranga królestwa takie pretensje redukowała. Zauważmy – król niemiecki, często musiał czekać długie lata, zanim koronował się na cesarza. W tym czasie był więc równy królowi Polski. A nawet po sięgnięciu po koronę cesarską zyskiwał jedynie pierwszeństwo honorowe. Posiadanie tej samej rangi co król niemiecki dawało pewną rękojmię niezależności od ingerencji politycznych. Poza tym królestwo to coś świętego. Czuć w tym sankcję niebios.

Zresztą sam obrzęd namaszczenia na króla wywodzi się jeszcze ze starożytnego Izraela i zakłada udział samego Boga.

Ceremonia ta została następnie przejęta przez Rzym i Bizancjum. Namaszczenie było aktem religijnym – niebiosa zstępowały na króla. I jeżeli on był osobą tak szczególną, to również jego królestwo było wyjątkowe. Co było cechą charakterystyczną takiego organizmu państwowego? Niepodzielność. Dla Chrobrego była to bardzo istotna kwestia. Władca ten przejął państwo po swoim ojcu, ale przecież należała mu się jedynie część spuścizny po Mieszku I.

Mówiąc wprost: Chrobry podeptał testament ojca.

Tak. Wypędził Odę wraz z jej synami i sam objął w posiadanie całe państwo, choć ojciec dał mu jedynie Małopolskę.

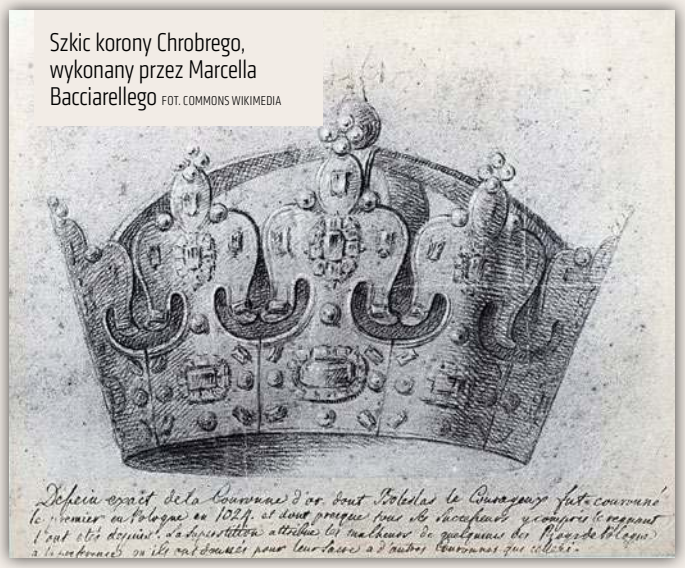

Szkic korony Chrobrego, wykonany przez Marcella Bacciarellego FOT. COMMONS WIKIMEDIA

Chyba śmiało możemy podejrzewać, że gdyby był posłuszny woli Mieszka I, Polska nie stałaby się tak szybko królestwem.

Powiem więcej: państwo Mieszka zapewne rozsypałoby się na zupełnie osobne organizmy państwowe. Chrobry pamiętał pod koniec życia o tamtej sytuacji. W 1025 r. sam miał powody do obaw, ponieważ miał trzech synów – Mieszka, którego upatrzył sobie na następcę, Bezprymа ze związku z drugą żoną i Ottona, najmłodszego syna. Chrobry nie dopuszczał do siebie myśli o podziale państwa na trzy części. Korona królewska, dodająca władcy sakralnego charakteru, miała przed tym podziałem dodatkowo chronić i ułatwić Mieszkowi objęcie w posiadanie całego państwa. To wyjaśniałoby, dlaczego Mieszko II tak szybko koronował się po śmierci ojca. Doszło do tego w Boże Narodzenie 1025 r., czyli pół roku po zgonie Chrobrego. Zapewne ojciec kazał mu na łożu śmierci koronować się najszybciej, jak to możliwe.

Wygląda na to, że Polska bardzo szybko stała się królestwem. Doszło do tego nieco ponad pół wieku po tym, gdy o państwie Polan po raz pierwszy usłyszeli zachodni kronikarze. Ojciec Mieszko I manifestuje swoją obecność na arenie dziejów, a już jego syn Bolesław Chrobry sięga po koronę królewską...

Pierwsi Piastowie błyskawicznie rozwinęli kraj i powiększyli go terytorialnie. Była to bardzo dynamiczna dynastia. To Mieszko I przyłączył do kraju pod koniec swoich rządów Śląsk i Małopolskę. W kronice Widukinda mamy wzmiankę o tym, jak Mieszko I i jego brat walczyli z Wieletami i komesem Wichmanem na czele ludzi zwanych „Licikaviki". Historycy wciąż się głowią, kim byli ci „Licikaviki".

eprasa.pl ffb67b0033

Rzekoma koronacja Bolesława Chrobrego przez Ottona III. Grafika z XVI w. „Chronica Polonorum" Macieja Miechowity

FOT. COMMONS WIKIMEDIA

Myślę, że rację miał Henryk Łowmiański, genialny polski mediewista, który uważał, że słowo to jest łacińskim zniekształceniem „Lestkowców", czyli ludzi Leszka. A kim był Leszek dla Mieszka I? Dziadkiem. Jeżeli więc za czasów Mieszka I jego wojowników wciąż nazywano „Lestkowcami", to świadczy to o tym, że jego dziadek dokonał naprawdę wielkich czynów i zapewne to on zlepił państwo polskie z różnych plemion. Tak więc państwo Polan, choć kronikarze zauważają je w drugiej połowie X w., w rzeczywistości musiało okrzepnąć dużo wcześniej.

Chrobry szybko zaczął pchać swój kraj na tory mocarstwowości. Rządzone przez niego państwo pod koniec jego życia stało się królestwem, ale już dużo wcześniej było uznawane za europejskie mocarstwo. I to rzeczywiście jest coś niesamowitego. Czasem Bolesławowi Chrobremu zarzuca się, że niepotrzebnie „pchał się" na zachód, zajmując Milsko, Łużyce, a nawet – na krótko – Miśnię. Chrobry pragnął jednak łączności z Europą Zachodnią. Chciał, żeby jego państwo było częścią Zachodu. Zdawał sobie sprawę z rangi swojego władztwa i chciał je jeszcze bardziej powiększyć, by wejść do europejskiej ekstraklasy. W wyniku pokoju w Budziszynie Chrobry dostał Milsko i Łużyce. I to nie jako lenno cesarskie, lecz na stałe. To było dla niego bardzo ważne.

A co było dla niego ważne w życiu osobistym?

Wygląda na to, że Chrobry był świadomym chrześcijaninem. Thietmar zwracał uwagę na jeden z jego zwyczajów. Od czasu do czasu Chrobry ściągał do siebie duchownych i odbywał z nimi narady. Przyznawał wtedy wprost, że sporo ostatnio nagrzeszył, i pytał ich, co ma zrobić, by odpokutować grzechy. Wielu władców europejskich nie miało takich skrupułów.

Dysponujemy ciekawą obserwacją Galla Anonima na temat jego trzeciej żony, Emnildy. Chrobry był popędliwy i skazywał na karę śmierci swoich niezbyt lojalnych współpracowników. A jednak potem zmieniał zdanie i zamiast pod katowski miecz, trafiali oni do więzienia. Działo się tak za sprawą publicznych próśb Emnildy o łaskę. Wygląda jednak na to, że była to gra Chrobrego. Sam nie chciał uchodzić za chwiejnego, więc gdy chciał zmienić karę, musiał wciągnąć w to żonę, aby zadbać o pozory. To świadczy o randze tego człowieka.

Ale jednak zdarzało mu się też oślepiać przeciwników. Czy to nie było czyste okrucieństwo?

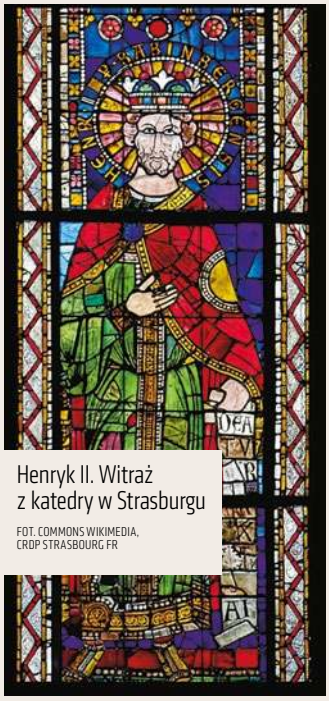

Henryk II. Witraż z katedry w Strasburgu

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, CRDP STRASBOURG FR

To oczywiście jest dla nas makabryczne, ale takie były wówczas zwyczaje, gdy władca chciał wyeliminować danego człowieka z życia publicznego, jednocześnie nie decydując się na uśmiercenie go.

Co ciekawe, królestw było wówczas w Europie stosunkowo niewiele. Przykładowo: Portugalia, Kastylia, Aragonia czy choćby sąsiednie Czechy musiały jeszcze czekać na koronę, nie mówiąc już o naszych sąsiadach na Wschodzie.

Zgadza się. Korona dawała państwu wyjątkową pozycję. U Chrobrego widać ogromne przywiązanie do niezależności. Polski władca uznawał się za lennika cesarskiego. To prawda, ale tylko z Łużyc i Milska. Zresztą bardzo szybko po układzie w Merseburgu, gdzie stał się lennikiem z Łużyc i Milska, Chrobry zaczął wyraźnie dawać do zrozumienia, że tak właściwie nie uważa się za lennika (śmiech). A to z kolei doprowadziło szybko do wznowienia działań wojennych.

Najważniejsze, że żadnych hołdów nie składał z Polski. Mało tego, gdy w 1003 r. zajął Czechy i koronował się zapewne na księcia czeskiego – istniał pewien obyczaj podnoszenia na księstwo czeskie – Henryk II wysłał do niego wiadomość, że uzna go jako księcia czeskiego pod warunkiem złożenia hołdu lennego, tak jak zrobił to poprzedni książę. Jak odpowiedział na to Chrobry? Oczywiście odmówił. Potem wszyscy książęta czescy składali hołd lenny królom niemieckim i w ten sposób Czechy zaczęły być uważane za jedno z księstw Rzeszy.

Przynależność do Rzeszy została tak wpojona, że ta podległość trwała setki lat. Na szczęście Polska uniknęła tego losu.

eprasa.pl ffb67b0033

Pamięć o tym, że Polska była królestwem, na trwałe zakorzeniła się w świadomości polskich elit mimo pewnych „turbulencji" historycznych...

Dlatego Przemysł II, po ponad 200 latach przerwy, mógł koronować się w 1295 r. na króla Polski. Przypomnijmy, że ostatnim królem przed nim był Bolesław Śmiały (koronowany w 1076 r.), ale przez cały ten czas istniała głęboko zakorzeniona świadomość, że Polska to królestwo.

Od czasów Przemysła II koronacje królewskie w Polsce stały się tradycją, aż do XVIII w., i nikt tego nie podważał – korona Bolesława Chrobrego cały czas dawała blask.

Posągi Mieszka I i Bolesława Chrobrego w Złotej Kaplicy katedry w Poznaniu

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, RADOMIL

Kiedy Chrobry zaczął myśleć o królestwie?

Nasz pierwszy król o koronie myślał od dawna. Jak wiadomo, w czasie zjazdu gnieźnieńskiego Otton III założył mu na głowę diadem. To oznaczało jedno – wkrótce nastąpi jego koronacja. Jednak z jakichś przyczyn ostatecznie ani Otton III, ani papież Sylwester II nie wyrazili na nią zgody. Chrobry próbował po zjeździe wysłać do Rzymu misje dyplomatyczne, aby wystarać się o koronę, ale nic z tego nie wyszło.

W Europie powszechne było jednak przekonanie, że Chrobry to ktoś więcej niż książę. Gdy przyjeżdżał na zjazdy do Merseburga, do króla Niemiec, był uważany przez wszystkich za kogoś więcej niż księcia. Chrobry zdawał sobie sprawę z rangi państwa, które reprezentuje. Nie był władcą małego księstewka, który wyrzyna się nawzajem z sąsiadami, jak miało to często miejsce w Rzeszy Niemieckiej. Co ważne, na niektórych monetach bitych przez Chrobrego napisane jest nie „Boleslaus Dux", czyli „Bolesław Książę", lecz „Boleslaus Rex" – „Bolesław Król". I były to monety bite z pewnością przed jego koronacją. Robił to więc z pełną świadomością.

Gdy w 1024 r. umarł cesarz Henryk II, a także papież Benedykt VIII, Chrobry uznał, że ma świetną okazję, by doprowadzić do koronacji. Pamiętajmy jednak, że nowy król Niemiec – Konrad II – nie wyraził zgody na ten akt. Papież Jan XIX był wówczas zupełnie zależny od cesarza i raczej na pewno nowy Ojciec Święty również nie był skory dać korony polskiemu księciu.

W książce wyrażam opinię, że Chrobry koronował się, nie pytając żadnego z nich o zgodę. Jednakże trzeba podkreślić, że ten akt nie był przez nikogo negowany. W tym samym roku koronacji dokonał syn Chrobrego – Mieszko II – i również wtedy nikt z sąsiadów nie kwestionował legalności tego aktu. W Niemczech pisano o tym niechętnie, ale jednak nie podważano polskiego prawa do korony. A gdy żona Mieszka II, Rycheza, wyjechała do Niemiec, była tam tytułowana „królową Polski".

Denar Bolesława Chrobrego i złota moneta (20 zł) z 1925 r.

FOT. MUZUEM NARODOWE W WARSZAWIE I GOLDENMARK.COM

Skoro Niemcy mieli z Polską tak złe stosunki, to dlaczego nie kwestionowali korony Chrobrego?

Powstrzymywała ich przed tym potęga Polski. Chrobry stworzył wtedy bardzo silne państwo, mówiąc szczerze – najsilniejsze w ówczesnej Europie.

Brzmi świetnie. Ale czy cesarstwo nie było jednak silniejsze?

Rzesza Niemiecka, czyli cesarstwo, jako całość była oczywiście większa, potężniejsza i bogatsza od Polski. To wszystko prawda, ale musimy tu zrobić zastrzeżenie – był to bardzo niejednolity twór, składający się z całej mozaiki księstw, hrabstw, które skakały sobie nawzajem do gardeł, i cesarz nie był w stanie korzystać z całości potencjału Rzeszy. Faktem jest, że nikt przy zdrowych zmysłach, nawet król Niemiec i cesarz rzymski, nie negował koronacji Chrobrego i siły jego państwa.

To wszystko tłumaczy, dlaczego Henryk II nie chciał się zgodzić na królestwo dla Chrobrego – cały czas liczył, że podporządkuje sobie Polskę.

Zapewne tak było. Nasi zachodni sąsiedzi uważali, że Polska to państwo młode, podrzędne, które w zasadzie powinno podlegać Niemcom. Wprawdzie nie starczało im siły, żeby szybko podporządkować sobie Polaków, ale nie chcieli sobie utrudniać tego w przyszłości. A przecież status królestwa dla Polski

eprasa.pl ffb67b0033

oznaczał komplikacje dla niemieckich planów.

Czyli nasi zachodni sąsiedzi już wtedy byli przekonani, że stoją od nas wyżej i Chrobry wraz z jego ludem powinni słuchać głosu „prawdziwej" cywilizacji?

Tak, Niemcy uważali się za ludzi o wyższej kulturze. A czy tak rzeczywiście było? Można tu mieć spore wątpliwości. Przywołam tu piękny przykład – bitwę w kraju Dziadoszan z 1015 r. Było to ważne starcie przed pokojem w Budziszynie w 1018 r. Henryk II najechał Polskę i poniósł klęskę właśnie we wspomnianej bitwie.

Dwustu najwspanialszych niemieckich rycerzy leży na pobojowisku, z margrabią Marchii Wschodniej Geronem na czele. Henryk II jest załamany i sam chce jechać na pobojowisko, by pochować poległych. Jego współpracownicy odradzają mu jednak wyjazd, przekonując zapewne, że równie dobrze mógłby się od razu oddać w ręce Polaków. Henryk II wysyła tam więc biskupa Miśni, Idziego.

Duchowny dociera na pole bitwy i staje w zadumie nad ciałami poległych. Polacy widzą tę scenę, podchodzą do biskupa, witają go z szacunkiem, po czym zbierają zwłoki Niemców, kopią dla nich groby i biorą udział w pogrzebach. Natomiast zwłoki margrabiego Gerona i jeszcze jednego rycerza ładują na wóz biskupa i pozwalają mu bezpiecznie odjechać. Niemcy mierzyli chyba Chrobrego i jego ludzi własną miarą – dlatego nie chcieli, żeby na pole bitwy jechał cesarz.

Polski władca bez wątpienia znał obyczaje rycerskie i przestrzegał ich, na co w Europie bardzo zwracano uwagę. Chrobry stał tu o głowę wyżej od Henryka II. To w końcu cesarz niemiecki, będący wtedy jeszcze „tylko" królem Niemiec, dopuścił się w Merseburgu w 1002 r. próby zamachu na życie Bolesława, co polski władca zapamiętał do końca życia. Gdyby nie interwencja Henryka ze Schweinfurtu, przyjaciela Chrobrego, zapewne jeszcze z czasów, gdy jako młodzian przebywał w Niemczech w charakterze zakładnika, niewykluczone, że Niemcom udałoby się go zamordować. Chrobry nie dokonywał takich zamachów, ponieważ nie miało to nic wspólnego z rycerskością.

Mieszko II. Grafika z XVII w.

FOT. BIBLIOTEKA NARODOWA, AUTOR: BENOIT FARJAT

Otton III przybył do Gniezna ze swoistą pielgrzymką w tysiąclecie narodzin Jezusa Chrystusa. Być może liczył na to, że Bolesław Chrobry ofiaruje mu relikwie św. Wojciecha

Dlaczego właściwie Chrobry nie został królem tuż po zjeździe gnieźnieńskim, gdy Otton III nałożył mu na skronie diadem?

Mamy tu całe podanie na ten temat z późniejszej kroniki węgierskiej. Nie jest ono jednak zbyt wiarygodne, wiele rzeczy jest tam poprzekręcanych. Podobno papież miał już gotową koronę dla Chrobrego, ale we śnie anioł miał mu powiedzieć, że Polacy powinni być ukarani za swoje złe uczynki i korona powinna trafić do Węgrów.

Są też jednak inne ustalenia. Otton III przybył do Gniezna ze swoistą pielgrzymką w tysiąclecie narodzin Jezusa Chrystusa. Cesarz wyruszył z Rzymu, przejechał przez kilka ważnych miast Rzeszy, następnie wjechał do Polski, a potem wkroczył uroczyście do Gniezna. Być może liczył na to, że Bolesław Chrobry ofiaruje mu relikwie św. Wojciecha, postaci bardzo ważnej dla cesarza, które następnie przewiezie do Rzymu i złoży w kościele pw. św. Wojciecha i św. Paulina z Noli na Wyspie Tybrowej. Nawiasem mówiąc, ten kościół do dziś istnieje, choć już pod innym wezwaniem. Byłoby to piękne zwieńczenie uroczystości tysiąclecia narodzin Zbawiciela.

Tymczasem jednak polski władca nie przekazał mu całych zwłok świętego. Nie powinniśmy się temu dziwić – były one swoistym fundamentem metropolii gnieźnieńskiej. Chrobry wręczył Ottonowi jedynie ramię świętego, co być może rozczarowało niemieckiego władcę. W książce stawiam hipotezę, że niemiecki cesarz mógł się najzwyczajniej obrazić. I mimo włożenia diademu na głowę Chrobrego, nie chciał pójść dalej i nie zgodził się na faktyczną koronację.

Z pewnością Otton III miał czas, by w okresie od zjazdu gnieźnieńskiego (marzec 1000 r.) do swojej śmierci (styczeń 1002 r.) zgodzić się na koronację Chrobrego. Stefan Węgierski koronował się przecież na przełomie lat 1000 i 1001 (w Boże Narodzenie lub w Nowy Rok), a z pewnością akt ten odbył się za zgodą cesarza. I oczywiście problemem nie był brak „wolnych" koron. Jeżeli znalazła się jedna dla Stefana, to równie dobrze mogła się znaleźć kolejna – dla Chrobrego.

Oczywiście, że tak. Profesor Jerzy Strzelczyk, wybitny mediewista z Poznania, znawca tego tematu, uważa, że być może Otton III – mimo pięknego gestu wykonanego w czasie zjazdu gnieźnieńskiego – z jakiegoś powodu nie popierał tej koronacji. Pytanie

eprasa.pl ffb67b0033

tylko, co było tym powodem...

Rozwikłania tej zagadki na pewno nie ułatwia fakt, że mimo wszystko Otton III po zjeździe gnieźnieńskim zdobył się na kolejny piękny gest wobec Chrobrego.

Tak. Polski władca odprowadził Niemców aż do Magdeburga. Dzięki kronice kwedlinburskiej wiemy, że następnie wraz z siostrą Ottona III Adelajdą pojechali do Akwizgranu. Otton III otworzył w Kaplicy Królewskiej przy katedrze grób Karola Wielkiego. Chrobry był świadkiem tej sytuacji. Według legendy polski książę dostał od cesarza niemieckiego złoty tron, na którym siedział Karol Wielki... Profesor Strzelczyk twierdzi jednak, że raczej na pewno nie dostał oryginału, ale mógł otrzymać od Ottona III kopię tronu. Z jednej strony widać więc zażyłość między Ottonem III a Chrobrym, ale z drugiej strony brak tu efektu w postaci korony. Ta sprawa to fascynująca zagadka historii.

Niektórzy historycy wysuwają tezę, że Chrobry umarł w najlepszym dla siebie momencie. Zaledwie sześć lat po koronacji jego następca musiał uciekać z kraju zaatakowanego z dwóch stron przez sąsiadów. Nieszczęśliwy król Mieszko II musiał się ostatecznie zrzec korony. Czy potęga państwa Chrobrego nie była więc w pewnym sensie na wyrost?

Po śmierci pierwszego króla doszło do kumulacji niekorzystnych zjawisk i nasi sąsiedzi wykorzystali sytuację, by osłabić wielkie państwo, które im zagrażało. Chrobry potrzebował do utrzymania władzy ogromnych środków, a wyprawy zbrojne nie były w stanie zapewnić stabilnego przychodu. Co z tego, że zdobycie Kijowa przyniosło wielkie łupy, skoro był to jednorazowy „zastrzyk" finansów. Ludność przygnieciona daninami mogła się po pewnym czasie zrewoltować i bunty, do których doszło za Mieszka II powinny nam tu dać do myślenia.

Można też odnieść wrażenie, że Mieszkowi II zabrakło umiejętności dyplomatycznych. Nie potrafił się dogadywać z jednymi sąsiadami przeciw innym. Może więc Mieszkowi II zabrakło talentów politycznych, a może i w sytuacji, gdy wszyscy sąsiedzi chcieli zachwiać polskim tronem, nawet Salomon by nie pomógł. Rzeczywiście nie można wykluczyć, że Chrobry umarł w idealnej chwili dla swojej sławy.

Jakkolwiek by było, jak zwracał uwagę doskonały przedwojenny mediewista Stanisław Zakrzewski, Polska została uznana przez sąsiadów za niezbędny czynnik równowagi europejskiej. I gdy ok. 1039 r. Kazimierz Odnowiciel wracał na tron, wsparli go i wojowie niemieccy, i wojowie ruscy. Okazało się, że naszym sąsiadom zależy na pewnej stabilizacji, którą dawała Polska.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Profesor Wojciech Polak jest historykiem z Uniwersytetu Mikołaja Kopernika w Toruniu, przewodniczącym Kolegium IPN, autorem wielu książek o historii Polski, m.in. „Blask Rzeczypospolitej. Od X do XXI wieku" i najnowszej – „Pierwsze królestwo. Mocarstwo Bolesława Chrobrego".

REKLAMA

eprasa.pl ffb67b0033

XIX w. / Historia ukryta w obrazie

Koronacja według Mistrza Jana

Leszek Lubicki

Wielki malarz rozmyślnie przedstawił na swym obrazie ustanowienie Królestwa Polskiego ćwierć wieku wcześniej, niż miało to miejsce w rzeczywistości. Paradoksalnie zrobił to po to, by lepiej trzymać się realiów historycznych

Ja maluję epokę, a zapiski kronikarzy i historyków to nie Ewangelia, to nie Pismo św., ja robię po swojemu i basta". Te słowa mistrza z ulicy Floriańskiej zapisał w swoich wspomnieniach przyjaciel malarza, Izydor Jabłoński. Jeżeli przeczytamy dokładnie tytuł tego malarskiego dzieła Jana Matejki, to od razu rzuci nam się w oczy dziwna data roczna – 1001 r. I nie jest to żadna pomyłka. Jest to autorski tytuł tego obrazu, który sam artysta mu nadał: „Koronacja pierwszego króla R.P. 1001".

Widzimy zatem, że obraz ten, a właściwie szkic, Matejko oparł na zapisie „kronik" Jana Długosza, gdzie pod rokiem 1001 czytamy: „Cesarz Otto III widząc wspaniałomyślność i bogactwo księcia polskiego Bolesława, koronuje go na króla i ozdabia swoim diademem, zwalniając jego i następców od wszelkiej zależności od cesarstwa". Problem polega jednak na tym, że gdy Otton III ozdobił swoim diademem głowę Bolesława, nie nastał wtedy „nowy król" (inna sprawa, że zrobił to w obecności abp. Radzima Gaudentego, który umieszczony jest na obrazie, a przecież w czasie właściwej koronacji hierarcha już nie żył).

eprasa.pl ffb67b0033

Jan Matejko „Koronacja pierwszego króla A.D. 1001"
FOT. COMMONS WIKIMEDIA, ZAMEK KRÓLEWSKI W WARSZAWIE

„Nałożenie Chrobremu cesarskiej korony oznaczało więc przyjęcie go do rodziny królów oraz wyrażenie zgody na koronację. Nie było jednak koronacją. Chrobry nie został namaszczony świętymi olejami, nie został więc jeszcze pomazańcem bożym" (Barański, 2005). Na właściwą koronację trzeba było poczekać jeszcze całe ćwierćwiecze.

Polska cywilizacja

Dzieło to należy do cyklu malarskiego „Dzieje cywilizacji w Polsce" – 12 obrazów, które artysta stworzył w latach 1888–1889. Obejmują one najważniejsze według Matejki wydarzenia z historii Polski, począwszy od czasów chrztu Mieszka I, a zakończywszy na uchwaleniu Konstytucji 3 maja, czyli praktycznie aż do utraty niepodległości przez Rzeczpospolitą. W warstwie historycznej Matejko „opierał się na »Rocznikach« Jana Długosza, z których wcześniej wielokrotnie korzystał. Tytułując swe prace, polegał na opinii kronikarza, a więc dziś, uzbrojeni w wiedzę późniejszych historyków, możemy odczuwać dysonans co do lat niektórych wydarzeń" (Ristujczina, 2018).

Dotyczy to nie tylko opisywanego obrazu, lecz także np. „Zaprowadzenia chrześcijaństwa R.P. 965". Cytowana autorka uważa także, że artysta tworząc ten cykl, zainspirował się poglądami Józefa Szujskiego, wybitnego krakowskiego historyka, swojego przyjaciela, z którym kiedyś przebrani za węglarzy wozem konnym dowozili broń powstańcom styczniowym. Uczony tak napisał o koronacji Bolesława I: „Ostatniem dziełem Chrobrego była jego koronacja w Gnieźnie [...]. Wkrótce po niej umarł Chrobry, opłakiwany gorzko przez naród, który dźwignął na widownię dziejową".

Wiedziano już wtedy, że Bolesław zmarł w 1025 r., więc dla artysty, który – jak sam mówił – bardzo dobrze orientował się w historii Polski, nie była to nieznana data. Śmiem postawić tezę, że Matejko poszedł rozmyślnie za Długoszem, zapewne także wspierając się kroniką Galla Anonima, a to dlatego, że o właściwej koronacji z roku 1025 mieliśmy wówczas i mamy obecnie bardzo skromną wiedzę. I raczej już się ona nie poszerzy. W miejscu i czasie właściwej koronacji nie było, zdaje się, nikogo, kto umiałby akt ten opisać. Cóż wtedy Matejko miałby namalować? Musiałby kompozycję od początku do końca wymyślić.

Natomiast kronikarze pięknie zjazd gnieźnieński opisali, a genialnemu malarzowi wystarczyło tylko słowo pisane zamienić na język malarski. I tak uczynił Jan Matejko. Jak zauważa Małgorzata Smoła, „podanie daty 1001, bliższej zjazdu gnieźnieńskiego, wskazuje, że Matejko umiejscowił koronację pierwszego króla Polski właśnie na tym zjeździe" („Polaków dzieje malowane").

Wspomnianych 12 dzieł Mistrza Jana tak skomentował jego sekretarz Marian Gorzkowski: „Zdaje się, że historyk patrząc na szkice Matejki, do historyi cywilizacyi odnoszące się, mógłby łatwo opisać jej dzieje, bo widząc strój, zwyczaje, architekturę, piętno każdego stulecia, oraz stopień oświaty, może zdobyć i archeologiczne o wszystkiem pojęcia" (1898).

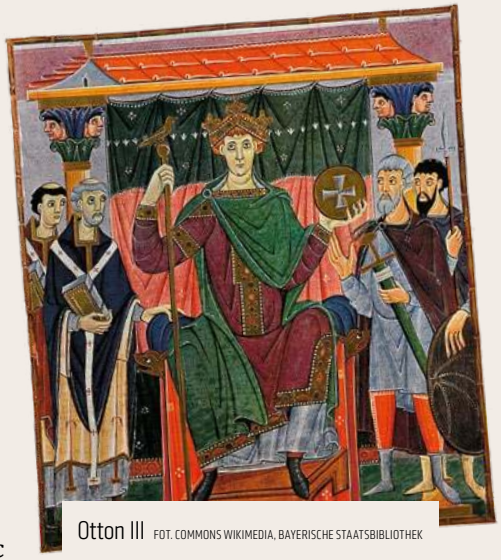

Otton III FOT. COMMONS WIKIMEDIA, BAYERISCHE STAATSBIBLIOTHEK

Dlaczego uważa się te obrazy za szkice? Matejko liczył bowiem, że z tych, w zdecydowanej większości malowanych na desce, niedużych malowideł w niedalekiej przyszłości powstaną wielkie płótna, które miał w zwyczaju tworzyć, przedstawiając dzieje swojej ojczyzny. Niestety, stan zdrowia i rychła śmierć wybitnego malarza nie pozwoliły mu zrealizować tych zamiarów. W swoim „pamiętniku" Marian Gorzkowski zapisał pod datą „styczeń 1889": „W tym roku przypada rozpoczęcie dziewiątego szkicu, do historyi cywilizacyi, koronacya Bolesława Chrobrego w Gnieźnie: cesarz Otto III daje mu koronę i dary przywiezione od papieża z Rzymu". Czyli jak widzimy, Mistrz Jan nie malował „Dziejów..." chronologicznie, tylko tak, jak uznał za stosowne. Jest to jednak dla nas, widzów, w sumie obojętne, gdyż wszystkie obrazy z cyklu „Dzieje cywilizacji w Polsce" możemy teraz oglądać eksponowane razem w tzw. Salach Matejkowskich Zamku Królewskiego w Warszawie.

Cykl tych 12 dzieł to „jedyna w swoim rodzaju malarska wizja narodowej przeszłości [...]. Obok »Pocztu królów polskich«, »Konstytucji 3 maja« i »Ślubów Jana Kazimierza« był jednym z ostatnich dzieł zmarłego w 1893 r. mistrza,

eprasa.pl ffb67b0033

który inaczej niż wielu twórców XIX w. malował swe historyczne płótna nie tyle »ku pokrzepieniu serc«, co raczej z myślą o poruszeniu polskich serc" (Suchodolska, Wrede, 1998).

Dodajmy tutaj, że Jan Matejko do wszystkich 12 obrazów „Dziejów..." napisał osobiście komentarz. Jest to jedyna praca literacka, którą malarz po sobie pozostawił. „Styl jednak tej pracy jest nieco zawiły, tak że niektórzy, czytając te objaśnienia, przychodzili z wystawy wprost do mnie, by się rozpytać, co ten lub ów peryod oznacza? Matejko bowiem, ciągle czytając starodawne kroniki nasze, bardzo tą dawną mową i tymi zwrotami przejął się i je używał" (Gorzkowski, 1898).

Fakt, patrząc na malowidło i czytając jego autorski opis, rzuca się w oczy widzowi natłok osób, który jest trudny do ogarnięcia. Matejko opisuje kilkoro z nich z imienia, ale my w naszej opowieści wymienimy tylko tych najważniejszych.

„Bolesław Chrobry i Otton III u grobu św. Wojciecha". Złota Kaplica w katedrze poznańskiej FOT. LESZEK LUBICKI

Chrobry z koroną

Popatrzymy zatem dokładnie na ten obraz. Sam artysta opis tego dzieła zaczął od słów: „Pielgrzymka młodego Ottona III z Włoch do grobu św. Wojciecha zjednała Polsce przyjaznego sąsiada. Syn greckiej Teofanii, cesarz, wraz z Radzymem, pierwszym arcybiskupem gnieźnieńskim, wkłada koronę królewską na głowę Bolesława Chrobrego. Nowy król, udarowany mieczem i gwoździem krzyża św., dzierży w ręku miasto berła, włócznię św. Maurycego".

Ta scena to centrum obrazu, a samo dzieło to „synteza dokonań" księcia Bolesława. Nie mamy zatem wątpliwości, co artysta nam pokazał. Małgorzata Smoła: „Szkic nie przedstawia sceny, która rzeczywiście miała miejsce, lecz są w nim połączone dwa dużej wagi wydarzenia w dziejach Polski – zjazd gnieźnieński w roku 1000, w czasie którego Otton III złożył hołd relikwiom i miał wyrazić zgodę na koronację polskiego władcy, oraz sama koronacja Bolesława Chrobrego, która odbyła się w 1025 roku" („Polaków dzieje malowane").

Gerard Labuda: „Trudno byłoby tu wyliczyć nazwiska i poglądy tych wszystkich, którzy próbowali zrozumieć, co się dokonało podczas spotkania cesarza z księciem Bolesławem" (2012). Historyk miał tu na myśli poglądy mówiące, że wówczas to Bolesław Chrobry został koronowany na króla Polski. Wiemy natomiast, że akt koronacji odbył się dopiero w 1025 r. Uczony dalej dodaje, że „tego średniowieczna historiografia nie przyjęła do wiadomości i zgodnie przeniosła akt koronacji Bolesława na rok 1000. Dopiero krytyczna historiografia dziewiętnastowieczna zaczęła się doszukiwać innego sensu dokonanego w Gnieźnie ceremoniału nałożenia korony".

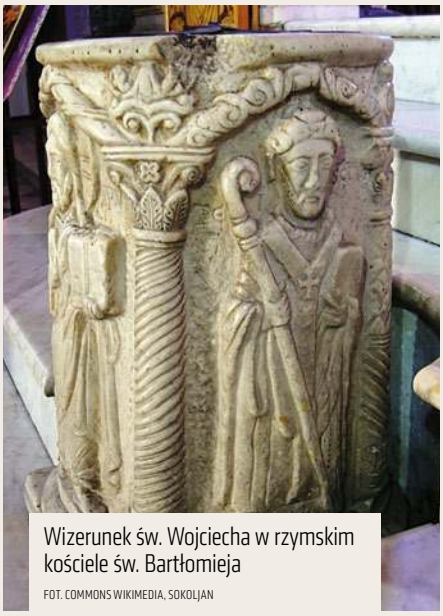
Wizerunek św. Wojciecha w rzymskim kościele św. Bartłomieja
FOT. COMMONS WIKIMEDIA, SOKOLJAN

Czyli polska tradycja w akcie założenia cesarskiego diademu na głowę Bolesława chciała upatrywać aktu koronacji. I upatrywała, gdyż żaden polski dziejopis nie opisał, jak wyglądała właściwa koronacja w roku 1025. Saski kronikarz Thietmar zmarł w roku 1018 i od tego czasu prawie nic nie wiemy o ostatnich latach życia Chrobrego. Gall Anonim natomiast zaczął swoją kronikę pisać ponad 100 lat po zjeździe gnieźnieńskim. Zachowuje więc malarz w swoim dziele czas koronacji zgodnie z polską tradycją, gdyż – jak zauważył Paweł Jasienica – „malarz nie jest uczonym i nie musi zdradzać źródeł swojej wiedzy czy inspiracji", a już na pewno nie Jan Matejko, nasz „artysta-wieszcz".

O samym obrazie można by opowiadać bardzo długo. Spójrzmy na początek w jego lewy dolny róg. Siedzi tam na ławie Thietmar z notatnikiem w ręku. Prawdopodobnie brał w tym zjeździe udział jako ważny współpracownik cesarza, który później zapisze: „Trudno uwierzyć i opowiedzieć, z jaką wspaniałością przyjmował wówczas Bolesław cesarza i jak prowadził go przez swój kraj aż do Gniezna. Gdy Otto ujrzał z daleka upragniony gród, zbliżył się doń boso ze słowami modlitwy na ustach. Tamtejszy biskup Unger przyjął go z wielkim szacunkiem i wprowadził do kościoła, gdzie

eprasa.pl ffb67b0033

cesarz, zalany łzami, prosił świętego męczennika o wstawiennictwo, by mógł dostąpić łaski Chrystusowej". Ale później, już po śmierci Ottona III, oburzy się ów saski kronikarz na Chrobrego i samego cesarza za to, co uczynił w Gnieźnie, pisząc: „Niechaj Bóg wybaczy cesarzowi, że czyniąc trybutariusza panem, wyniósł go [Bolesława] tak wysoko…".

Przejdźmy teraz do głównego motywu umieszczonego na malowidle. Tak opisują to doskonali znawcy przedmiotu: „Na obrazie zgodnie z tytułem nadanym przez malarza centralną postacią jest Bolesław Chrobry, klęczący przed ołtarzem, wsparty oburącz na włóczni św. Maurycego i trzymający jednocześnie w lewej ręce podarowaną mu również przez cesarza inną relikwię – gwóźdź z Krzyża Świętego. Kopia włóczni, będącej insygnium suwerennej władzy, zastępuje nowemu królowi berło. Zapowiedzianego w tytule aktu koronacji dokonują wspólnie, przez włożenie księciu polskiemu na głowę korony królewskiej, dwie osoby. Jedną z nich jest stojący na prawo od Bolesława cesarz Otton III, w płaszczu, koronie i z berłem, ale – zgodnie z relacją kronikarza – boso, przez uszanowanie dla znajdujących się na ołtarzu relikwii św. Wojciecha. Drugą jest znajdujący się nieco w głębi, w mitrze i szatach pontyfikalnych, Radzim Gaudenty, brat św. Wojciecha […]. Akcja »Koronacji« rozgrywa się w rzęsiście oświetlonej świątyni, niewątpliwie katedrze gnieźnieńskiej, której romańska architektura jest wyrazem wyobrażeń i starań artysty o realia przedstawionej epoki" (Suchodolska, Wrede, 1998).

Włócznia św. Maurycego

Oddajmy na koniec głos Gallowi Anonimowi. Cesarz miał powiedzieć do zgromadzonych: „Nie godzi się takiego i tak wielkiego męża [Bolesław Chrobrego – przyp. red.], jakby jednego spośród dostojników, księciem nazywać lub hrabią, lecz [wypada] chlubnie wynieść go na tron królewski i uwieńczyć koroną. A zdjąwszy z głowy swej diadem cesarski, włożył go na głowę Bolesława na [zadatek] przymierza i przyjaźni, i za chorągiew tryumfalną dał mu w darze gwóźdź z krzyża Pańskiego wraz z włócznią św. Maurycego, w zamian za co Bolesław ofiarował mu ramię św. Wojciecha. I tak wielką owego dnia złączyli się miłością, że cesarz mianował go bratem i współpracownikiem cesarstwa i nazwał go przyjacielem i sprzymierzeńcem narodu rzymskiego".

Kopia włóczni św. Maurycego FOT. LESZEK LUBICKI

„Bolesław Chrobry". Z „Pocztu królów i książąt polskich" Jana Matejki FOT. COMMONS WIKIMEDIA

Przypomnijmy, że owa współpraca z cesarstwem zakończyła się bardzo szybko wraz z rychłą śmiercią Ottona III w 1002 r. Zawróćmy jeszcze uwagę na jeden z prezentów otrzymanych od cesarza. To kopia włóczni św. Maurycego z umieszczonym w niej fragmentem gwoździa z Krzyża Pańskiego. To wierna kopia (czy też „egzemplarz naśladowczy", w którą wtopiono cząstkę relikwii właściwej) włóczni św. Maurycego. Cesarze niemieccy posiadali ją od dawna i zawsze, czy to w czasie podróży czy wojny, mieli przy sobie. Nie tylko była symbolem władzy nadanej im przez Boga, lecz także uważano, że jest w niej moc niezwykła i magiczna – kto ją ma, staje się niezwyciężonym. Był to dowód najwyższego uznania dla „współpracowników cesarstwa".

Otrzymali ją w tym samym niemal czasie nasz Bolesław i węgierski Stefan. Ale korona trafiła wówczas do Stefana, pierwszego króla Węgier, późniejszego świętego, a nie do Bolesława. Włócznię Jan Matejko umieścił jeszcze na imaginowanym portrecie Chrobrego z cyklu „Poczet królów polskich", a także na słynnym obrazie „Bitwa pod Grunwaldem", wkładając ją w ręce prostego woja, który zamierza się nią na wielkiego mistrza krzyżackiego.

Odwiedzając Muzeum Archeologiczne w Poznaniu, możemy zobaczyć prezentowaną tam cudowną scenę figuralną, na której Otton III wręcza włócznię św. Maurycego Bolesławowi Chrobremu. Część znawców uważa ją za najważniejszy zabytek w Polsce. Ponadto jest to jedyny niearcheologiczny zabytek, który z tamtego okresu zachował się do naszych czasów. Włócznia przechowywana jest w Muzeum Archidiecezjalnym w Krakowie. Odwiedzajmy zatem muzea – w ich murach nasza piękna historia przemawia do nas.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

WYBRANA BIBLIOGRAFIA:
Barański M.K., ***„Dynastia Piastów w Polsce"***, Warszawa 2005; ***„Dzieje cywilizacyi w Polsce"***, Obrazy i tekst Jan Matejko, Warszawa 1912; Gorzkowski M., ***„Jan Matejko. Epoka lat dalszych do końca życia artysty"***, Kraków 1898; Labuda G., ***„Pierwsze wieki monarchii piastowskiej"***, Poznań 2012; Pawłowicz-Jabłoński I., ***„Wspomnienia o Janie Matejce"***, Lwów 1912; ***„Polaków dzieje malowane"***, praca zbiorowa, Warszawa 2007; Ristujczina L., ***„Jan Matejko"***, Warszawa 2018; Suchodolska E., Wrede M., ***„Jana Matejki »Dzieje cywilizacji w Polsce«"***, Warszawa 1998; Szujski J., ***„Historyi polskiej treściwie opowiedzianej ksiąg dwanaście"***, Warszawa 1889.

eprasa.pl ffb67b0033

Goście jednej z warszawskich restauracji FOT. NAC

Wywiad / Z Bartoszem Paluszkiewiczem, autorem książki „Menu zbrodni. Kryminalna historia przedwojennej warszawskiej gastronomii"

rozmawia
Tomasz Zbigniew Zapert

Nóż, widelec i trup

eprasa.pl ffb67b0033

– Kiedy funkcjonariusze przeczesywali kolejne dzielnice, na Czerniakowską 193, do restauracji pani Opatowskiej, zawitał nieznany nikomu mężczyzna wraz z wystraszoną dziewczynką. Zażądał dla siebie wódki, a dla małej lemoniady. Zachowywał się nerwowo i kilkukrotnie wychodził z dziewczynką do łazienki… – mówi publicysta

TOMASZ ZBIGNIEW ZAPERT: Największą plagę stołecznej gastronomii w II Rzeczypospolitej stanowiły darmozjady?

BARTOSZ PALUSZKIEWICZ: Można tak śmiało powiedzieć. Liczba obiadów, które gościom „sponsorowali" właściciele i zarządcy, była znaczna. Proceder znano już wcześniej, ale w okresie międzywojennym, głównie w dobie kryzysu gospodarczego, przybrał na sile. Trudno było temu zapobiec, gdyż dopiero po skonsumowaniu zamówienia klient ujawniał, że nie posiada w ogóle gotówki lub ma jej niewystarczającą ilość.

Co się działo z takim delikwentem?

Uruchamiano wówczas stałą procedurę – wezwanie policji, spisanie protokołu i przeważnie nałożenie grzywny lub dzień w areszcie. W tych sytuacjach najbardziej poszkodowany był kelner, który odpowiadał za gościa i finalnie za rachunek. W latach 30. nastąpił pewien progres i kelnerzy udawali się wraz z darmozjadem pod adres domowy celem wyegzekwowania zapłaty za rachunek. Przynosiło to kilka wymiernych efektów – w większości przypadków udawało się otrzymać zapłatę, a delikwent najadał się dodatkowo wstydu przed rodziną czy sąsiadami.

Ale restauracje narażone były również na poważniejsze straty…

Nocami do lokali gastronomicznych, a także przylegających do nich magazynów, spiżarni, względnie piwnic włamywali się pospolici przestępcy. Ich łupem padały głównie artykuły spożywcze: masło, jajka, wędliny, trunki, a także platery i obrusy. Po Warszawie lat 30. krążyły wyspecjalizowane szajki knajpianych włamywaczy. Łupy konsumowano albo pokątnie sprzedawano. Takim paserstwem zajmowała się m.in. Dora Ładowska, żona słynnego Grubego Joska, właściciela opiewanego w stołecznej legendzie szynku usytuowanego przy nieistniejącej dziś ulicy Rynkowej.

Kim byli lipkarze, klawisznicy i wreszcie doliniarze?

To przedstawiciele rozgałęzionej „rodziny" przestępczej. Ich określenia pochodzą od specjalizacji.

Lipkarz zajmował się włamaniami poprzez okno lub witryny sklepowe. Dysponował specjalnymi narzędziami, czasami posiadał umiejętności kaskaderskie, ponieważ niejednokrotnie dostawał się do mieszkania albo lokalu przez okno na piętrze. Sama nazwa „lipkarz" wywodzi się od „lipki", które w żargonie przestępczym oznacza okno.

Klawisznicy zajmowali się włamaniami. Używali podrobionych kluczy tudzież fachowych narzędzi. Stali wyżej w hierarchii od lipkarzy. Starali się nie włamywać na siłę, dlatego prymitywne łomy zastępowali cichymi i bardzo skutecznymi wytrychami lub pasówkami, modelami kluczy, które nie miały jeszcze „ząbków". Te przygotowywano dopiero w miejscu rabunku. Do klawiszników możemy zaliczyć także dozorców, którzy podrabiali klucze i zamiast pilnować przybytków kulinarnych, okradali je z artykułów spożywczych i innych dóbr.

Doliniarze to po prostu kieszonkowcy. Ich łupem padały portfele, teczki, laski, pióra wieczne, biżuteria, zegarki… Bardzo często funkcjonowali w grupach. Przed „robotą" wykonywali rekonesans, typowali ofiarę, po czym przystępowali do działania. Ich środowisko naturalne stanowiły zatłoczone rewiry. Tramwaje, pociągi, dworce, targowiska, bazary, dancingi – grasowali wszędzie, gdzie można było w niezauważalny sposób zbliżyć się do ofiary i ją okraść.

Stróż prawa znany z „Vabanków" Juliusza Machulskiego miał rzeczywistego odpowiednika?

Owszem, komisarz Leon Przygoda był bardzo dobrym funkcjonariuszem urzędu śledczego i miał na swoim koncie kilkanaście sukcesów. To jego działania przyczyniły się do ujęcia kasiarzy, którzy włamali się do Zamku Królewskiego i z jednej

Karykatura z prasy dwudziestolecia międzywojennego FOT. DOMENA PUBLICZNA

eprasa.pl ffb67b0033

Warszawska restauracja Oaza przy ul. Wierzbowej FOT. NAC

z kas wykradli ponad 20 tys. zł. Wtedy, przy przeciętnej pensji rzędu 200 zł miesięcznie, był to gigantyczny majątek.

Złodzieje nie pochodzili jednak tylko z marginesu społecznego. Kradzieże w bufecie sejmowym są tego dobitnym dowodem. Ich sprawcą był poseł Polskiego Stronnictwa Ludowego „Wyzwolenie" Józef Walczuk. Po posiłkach systematycznie zabierał ze sobą drobne sztućce. Kiedy go w końcu przyłapano in flagranti, afera trafiła na czołówki prasy.

W przedwojennej Polsce działały Urząd Walki z Lichwą i Spekulacją, a także komisje sanitarne. Pracownicy tych instytucji mieli ręce pełne roboty?

Tak. I chwała im za to, bo wiele rozwiązań stosowanych przez te instytucje w międzywojniu możemy dostrzec także obecnie. Powołane na początku istnienia II RP stały na straży nie tylko porządku w knajpach, lecz także właściwych cen tudzież kontroli badań lekarskich personelu gastronomicznego. Urząd Walki z Lichwą i Spekulacją mocno wykorzystywał swoje uprawnienia i niejednokrotnie nakładał wysokie mandaty na właścicieli i zarządców lokali kulinarnych, m.in. za zawyżanie cen dań. Kary otrzymywali również kelnerzy, którzy podwyższali rachunki gości.

Natomiast komisje sanitarne bezpardonowo walczyły z bałaganem i brudem w restauracjach, bistrach, kawiarniach i cukierniach. Egzekwowały również obowiązek posiadania przez kucharzy i kelnerów książeczek zdrowia oraz czystych strojów roboczych. I kontrolowały właściwe przechowywanie produktów spożywczych. To dzięki pracy ówczesnego sanepidu wprowadzono do użytku tzw. sztuczny lód, otrzymywany z wody pochodzącej z wodociągów, zarazem zakazując używania lodu naturalnego pozyskiwanego ze stawów, glinianek czy też prosto z Wisły.

Gastronomiczną klientelę rabowano, korzystając ze wsparcia „Morfeusza"?

Grasujące bandy usypiaczy pozbawiały ją świadomości przy pomocy substancji wytwarzanych w tajnych laboratoriach chemicznych. Schemat był prosty i przećwiczony. W lokalu pojawiało się towarzystwo damsko-męskie. Dobrze ubrane, nierzucające się w oczy. Po wytypowaniu ofiary rozpoczynała się, że tak powiem, gra wstępna. Zawarcie znajomości, rozmowy, tańce, biesiadowanie...

W dogodnym momencie dyskretnie dolewano do napoju ofiary środek nasenny lub częstowano ją papierosem naszpikowanym taką substancją. Po kilku minutach człowiek potraktowany w ten sposób tracił kontakt z rzeczywistością. Następnie pieniędzmi śpiącego uiszczano płatność, po czym wyciągano ofiarę z lokalu, umieszczając ją w dorożce oczekującej przed wejściem – również fiakier należał do gangu. Pojazd wywoził uśpionego w ustronne miejsce. Tam dokonywano dalszej kradzieży, pozostawiając takiego nieszczęśnika niekiedy w samej bieliźnie.

I. 549.864
RESTAURACJA
„POD BUKIETEM"
SP. Z OGR. ODP.
WARSZAWA
MARSZAŁKOWSKA 114, róg Złotej
Telefony: Restauracja 667-51
Zarząd i buchalterja (dod.) –
Bar 667-52
Gabinety 667-50
FILJA I – Marszałkowska 90
Telefony: Restauracja 988-75
Gabinety 988-74
FILJA II – Nowy Świat 5
988-71
988-91

Anons warszawskiej restauracji Pod Bukietem FOT. BIBLIOTEKA NARODOWA

Spirytualia stanowiły katalizator burd przy bufecie, niekiedy krwawych, skutkujących ciężkimi ranami, a czasem i zgonem. Co ciekawe, do oszustw wykorzystywano nawet... insekty.

Alkohol był obecny w knajpach zawsze, niezależnie od ich kategorii. Różniła się wyłącznie zawartość kieliszków. Po zbyt dużej dawce promili dochodziło do kłótni, bijatyk, a także zabójstw. Poszkodowani często bywali również kelnerzy oraz wzywani na pomoc policjanci. A co do insektów, to opisuję w książce przypadek Zenona Płaszczyńskiego, który odwiedzał stołeczne lokale i w trakcie końcowej fazy konsumpcji zamówionej potrawy podkładał na talerz truchło karalucha, po czym wszczynał kłótnie, które zawsze kończyły się dla niego pozytywnie. Nie musiał regulować rachunku, a czasem otrzymywał drobną rekompensatę. W końcu jednak został zdemaskowany. Gość z sąsiedniego stolika dostrzegł, jak Płaszczyński z pudełka po zapałkach wyciąga robaka i wrzuca go do zupy.

W przybytkach kulinarnych nierzadko kwitł hazard i pojawiały się narkotyki...

Kości, karty, domino i ruletka szybko zadomowiły się w knajpach. Prym jednak wiedli bukmacherzy. Wyścigi konne, pojedynki bokserskie i mecze piłkarskie obstawiano przy kontuarach niektórych lokali. Niekiedy restauratorzy byli w zmowie z hazardzistami i udostępniali im pokoje do gry. Inkasowali od tego procent z zysków. Ale gdy ich przyłapano, otrzymywali srogie kary.

Narkotyki na większą skalę pojawiły się w Warszawie po pierwszej wojnie światowej. Według wywiadu z roku 1929 r. przeprowadzonego z dostawcą środków odurzających w stolicy było wówczas ok. 15 tys.

eprasa.pl ffb67b0033

narkomanów. Niemal 60 proc. z nich stanowiły kobiety! Handlowano kokainą, morfiną, eterem, opium… Część klienteli kupowała „towar" w lokalach gastronomicznych. W dystrybucji pomagały prostytutki.

Jak widać, warszawskie knajpy były świadkami właściwie wszystkich możliwych procederów. Jedna z jadłodajni zaistniała nawet w aferze kidnapersko-dyplomatycznej…

Sierpień 1932 r. był ciepły. W parku Ujazdowskim przebywała młoda bona wraz z kilkuletnią Patsy, córką amerykańskiego konsula Stewarta McMillina.

BARTOSZ PALUSZKIEWICZ „MENU ZBRODNI. KRYMINALNA HISTORIA PRZEDWOJENNEJ WARSZAWSKIEJ GASTRONOMII"
NEWHOMERS

cielka knajpy kazała jednak pozostawić dziewczynkę w lokalu i tym samym prawdopodobnie uratowała życie Patsy, uprowadzonej kilka godzin wcześniej. Dziecko bezpiecznie wróciło do rodziców. Przestępcę aresztowano i postawiono przed sądem. Usłyszał zarzut nie tylko

Bar w restauracji FOT. NAC

W pewnym momencie piastunkę zagadał młodzieniec i dziecko nagle zniknęło. Rozpoczęła się zakrojona na wielką skalę akcja poszukiwacza. Około 100 patroli wyruszyło w miasto, kontrolowano wyjazdy ze stolicy.

Kiedy funkcjonariusze przeczesywali kolejne dzielnice, na Czerniakowską 193, do restauracji pani Opatowskiej, zawitał nieznany nikomu mężczyzna wraz z wystraszoną dziewczynką. Zażądał dla siebie wódki, a dla małej lemoniady. Zachowywał się nerwowo i kilkukrotnie wychodził z dziewczynką do łazienki. W pewnej chwili postanowił opuścić lokal, lecz wyszło na jaw, że nie ma pieniędzy. Zgodził się pójść – razem z kelnerem – do swego lokum, w celu uzyskania pomocy w spłacie należności. Właści-

porwania, lecz także pedofilii.

Fordanserki dorabiały sobie do pensji w lupanarach?

Niestety, tak właśnie było. Część robiła to z własnej woli, inne przymuszano do pracy ciałem. Ich naiwność, a także zła sytuacja materialna były wykorzystywane do cna przez sutenerów i sutenerki. Tak bezwzględnie zachowywało się m.in. małżeństwo Stankiewiczów, prowadzące interes przy ulicy Nowogrodzkiej 33. Stankiewicz był jednym z lepszych fordanserów w renomowanym dancingu Paradis przy Nowym Świecie 3, gdzie wypatrywał pań szukających zarobku. Nierzadko ulegały one prezentowanej przez niego wizji luksusowego życia. Podczas „rekrutacji" wykonywano im zdjęcia pornograficzne, a następnie zmuszano do nierządu, szantażując upublicznieniem fotografii.

Sale konsumpcyjne bywały scenami samobójstw?

Ich liczba w międzywojniu była bardzo wysoka. Statystki są zatrważające. W 1935 r. w Polsce popełniono 4120 samobójstw, z czego aż 1339 miało miejsce w Warszawie. Najczęściej odbierano sobie życie, zażywając trucizny. W przybytkach kulinarnych dolewano je do napitków. Gdy dawka była wystarczająca, zgon następował błyskawicznie. Kolejną metodę, najbardziej drastyczną dla otoczenia, stanowiły postrzały. Krew plamiła parkiet, ściany i obrusy, wywołując przerażanie gości i personelu. Lokal zamykano, oczekując na lekarza, policję i prokuratura. Czasem przed desperackim krokiem proszono orkiestrę o odegranie ostatniego utworu...

Lokale atakowano także z pozycji antysemickich.

Do takich napaści dochodziło w drugiej połowie lat 30. Widać w tych wydarzeniach echo nagonki prowadzonej za naszą zachodnią granicą. Antysemityzm narastał. Prasa prawicowa piętnowała działalność lokali gastronomicznych prowadzonych przez Żydów. Wytykano również dancingi, w których zatrudniano orkiestry złożone z muzyków pochodzenia żydowskiego. Od słów przechodzono do czynów. Bojówki ONR wypisywały na murach żydowskich firm obraźliwe hasła, tłukły szyldy sklepów oraz wrzucały do ich wnętrz ładunki z cuchnącą zawartością.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Bartosz Paluszkiewicz – odkrywca sekretów gastronomii II RP, na Facebooku prowadzi profil „Przedwojenne Restauracje". Autor książek: „Warszawskie przedwojenne restauracje, bary i kawiarnie" oraz najnowszej „Menu zbrodni. Kryminalna historia przedwojennej warszawskiej gastronomii".

eprasa.pl ffb67b0033

Kadr z filmu „The Legend of Haolan". W roli Lü Buwei – Nie Yuan FOT. MATERIAŁY PRASOWE

III w. p.n.e. / Lü Buwei buduje imperium

Chiński „twórca królów"

Łukasz Czarnecki

Obrotny kupiec zwietrzył niesamowitą okazję i zainwestował w banitę pochodzącego z królewskiego rodu. Efekty tego przedsięwzięcia przerosły jego najśmielsze oczekiwania

W III w. p.n.e. na terenach dzisiejszych północnych Chin funkcjonowała konfederacja feudalnych organizmów, które tytularnie uznawały zwierzchność panujących jako Władcy Wszystkiego pod Niebem królów z dynastii Zhou. Mieszkańców wchodzących w jej skład księstw łączyła wspólna tożsamość kulturowa. Jednakże od intronizacji pierwszego Syna Niebios rodu Zhou w roku 1045 p.n.e. do momentu, w którym zaczyna się nasza opowieść, wiele się zmieniło. Z konglomeratu kilkuset małych państewek pozostało siedem wielkich regionalnych mocarstw. Domena Zhou skurczyła się do obszarów otaczających ich stolicę Luoyang, a wpływ polityczny Władców Wszystkiego pod Niebem spadł do zera. Doszło do tego, że monarchowie królestwa Qin i nadmorskiego Qi w roku 288 p.n.e. uzurpowali sobie tytuł przynależny dynastii Zhou!

W ostatnim objawie szacunku względem tytularnego seniora pozostałych pięć państw – Chu, Han, Wei, Zhao i Yan – zjednoczyło się i wspólnie wymusiło na samozwańcach wycofanie się z tych roszczeń. Panujący w Qin Jasny Król w roku 256 p.n.e. porwał się na jeszcze większy niż poprzedni akt obrazoburstwa: jego wojska wkroczyły na teren domeny Syna Niebios i dokonały jej podboju, kładąc kres dynastii Zhou. Cztery lata później monarcha z Qin dokonał uroczystego religijnego rytuału zarezerwowanego wyłącznie dla Synów Niebios. Na pozostałe królestwa padł blady strach. Któż wiedział bowiem, na co teraz poważy się Jasny Król?

Inwestor

Po śmierci pierworodnego syna Jasny Król mianował swym następcą młodszego księcia Anguo. Królewicz miał jednak zmartwienie, które spędzało mu sen z powiek. Ukochana żona Huayang, Dama Wspaniałego Słońca, była bezpłodna. Jałowość jej łona potwierdzała gromadka ponad 20 synów, których Anguo doczekał się z konkubinami. Tak naprawdę miał ich tylu, że nie wiedział za bardzo, co z niektórymi robić, zwłaszcza z niejakim Yirenem. Jak się wydaje, chłopiec wyjątkowo ojca irytował, o czym świadczyło samo jego imię, które znaczyło tyle co „Wyrzutek".

Anguo zastanawiał się, którego z potomków mianować dziedzicem królewskiego tytułu. W końcu podjął dwie kluczowe decyzje – w kwestii następstwa tronu umył ręce i wręczył Damie Wspaniałego Słońca nefrytową tabliczkę, cedującą na nią prawo wyboru dziedzica królestwa, a Yirena wysłał do Handanu, stolicy sąsiedniego królestwa Zhao, by przebywał tam jako zakładnik.

Było jasne, że prędzej czy później między obydwoma państwami dojdzie

eprasa.pl ffb67b0033

do wojny. Wówczas Yiren straci głowę, ale oczywiście księciu Anguo to nie przeszkadzało. Za tym konkretnym synem nie przepadał, czemu wyraz dał, również wyposażając go na drogę – wnuk Jasnego Króla do miejsca swego wygnania udał się w roku 261 p.n.e. prawie bez funduszy! W stolicy Zhao wiódł życie niemalże nędzarza, pogardzany przez miejscową arystokrację. Jednak już wkrótce los „Wyrzutka" miał się diametralnie odmienić.

Pewnego dnia o niedoli zakładnika usłyszał prowadzący interesy w Handanie majętny kupiec Lü Buwei. Zobaczywszy na ulicy wygnanego księcia, wrócił do domu pogrążony w głębokiej zadumie. Następnie poszedł do starego ojca, który sam był doświadczonym inwestorem, i poprosił go o radę. Mężczyźni omówili, jaki zarobek można zyskać, inwestując w zboże i klejnoty, po czym Lü przeszedł do konkretu:

– A gdyby tak ktoś pomógł księciu zasiąść na tronie państwa?

– Trudno wyliczyć tak wielkie zyski.

– Gdybym zainwestował tylko w zboże, miałbym na wikt i opierunek – powiedział Lü Buwei. – Jeśli stworzę państwo i władcę, zarobię tyle, że zostawię synom całkiem spory majątek.

W umyśle kupca zrodził się jeden z najdziwniejszych biznesplanów w historii. Wkrótce pojawił się on w skromnym lokum Yirena i przedstawił oszołomionemu księciu swoją propozycję – był gotów sfinansować wszystkie jego wydatki, dzięki którym wygnaniec z Qin żyłby w końcu na poziomie licującym z jego błękitną krwią, a środki te jego nowy protegowany miałby mu zwrócić po objęciu tronu w ojczystym królestwie. Yiren uznał zapewne, że jego gość zwariował. Jak niby miał zyskać koronę, skoro własny ojciec go nie znosił?! Jednak Lü Buwei miał już gotowy plan…

U królowej

Obrotny biznesmen przystąpił do działania. Wypłacił podopiecznemu ćwierć tony złota i nakazał nająć odpowiedni orszak oraz rezydencję godną młodzieńca z królewskiego rodu. Następnie wspólnie zakupili wiele drogocennych podarków, zatrudnili karawanę mającą je przewieźć, a gdy wszystko było już gotowe, Lü ruszył w drogę do Xianyangu, stolicy królestwa Qin. Na miejscu najpierw spotkał się z krewnymi ukochanej żony księcia Anguo, których obsypał upominkami, dzięki czemu zorganizowali mu audiencję u dostojnej Damy Wspaniałego Słońca.

Lin Xiangru z ceremonialnym dyskiem Heshibi oraz król Zhaoxiang FOT. WIKIMEDIA COMMONS, CHEN DAO

Lü Buwei FOT. WIKIMEDIA COMMONS

Niczego nie pozostawiając przypadkowi, przed obliczem wielkiej pani Huayang pojawił się ubrany w tradycyjny strój krainy Chu, skąd się wywodziła. U jej stóp złożył hojne dary, mówiąc, że przesyła je sam Yiren. Następnie wygłosił długą mowę pochwalną na temat młodzieńca, podkreślając miłość, jaką darzy macochę. Posłodziwszy Damie Wspaniałego Słońca, Lü Buwei prosto z mostu przedstawił niewygodną prawdę – mąż kocha ją za sprawą jej urody, lecz gdy ta przeminie, uczucie wyparuje z serca Anguo. Jedynym sposobem na zapewnienie sobie trwałej pozycji i bezpieczeństwa na królewskim dworze pozostawało wybranie spośród pasierbów oddanego sobie następcy tronu i adoptowanie go. Któż zaś byłby lepszym kandydatem od najwierniejszego stronnika pani Huayang – księcia Yirena?

Nie wiemy, jak długo trwały negocjacje, ale Lü Buwei dopiął swego. Dama Wspaniałego Słońca wykorzystała moc, którą dawała jej podarowana przez męża nefrytowa tabliczka, i ogłosiła sukcesorem korony przebywającego na wygnaniu młodzieńca. Anguo zapewne mocno się zdziwił, ale musiał to zaakceptować.

Sytuacja życiowa Yirena uległa rewolucyjnej zmianie. Ojciec i macocha słali

eprasa.pl ffb67b0033

odtąd do Handanu duże sumy pieniędzy na jego utrzymanie, a miejscowa arystokracja zabiegała o względy niedawnego outsidera. Lü Buwei otrzymał oficjalny tytuł Opiekuna Następcy Tronu i sprawował nad nim pieczę, dbając przy tym o własne interesy…

Ofiara famulusa

W tym czasie w Handanie sławą cieszyła się przepiękna kurtyzana imieniem Zhaoji. Jej uroda łamała męskie serca. Lü pozostawał pod wielkim urokiem owej artystki w sztuce uwodzenia i w końcu, wykupiwszy ją z luksusowego domu uciech, uczynił z niej swoją oficjalną nałożnicę. Choć kupiec był naprawdę obrotnym biznesmenem, to jak każdy nowobogacki lubił chwalić się swym majątkiem, w którego skład wchodziła teraz również nowa konkubina. W trakcie przyjęć w jego domu dziewczyna prezentowała swoją biegłość w konwersacji, tańcu i muzyce, umilając czas biesiadnikom. Honorowym gościem każdej imprezy był zaś książę Yiren, który rychło zaczął robić maślane oczy do nałożnicy gospodarza.

Między młodymi zawiązał się romans i w końcu królewicz poinformował protektora, że pożąda jego partnerki i chciałby ją dostać w prezencie. Łatwo możemy sobie wyobrazić, jak bardzo musiał się wściec Lü Buwei, słysząc to żądanie. Szybko jednak przekalkulował zyski i straty – zbyt wiele zainwestował w następcę tronu państwa Qin, by teraz przez zwykłą zazdrość zmarnować cały ten wysiłek. I tak Zhaoji trafiła do rezydencji Yirena, zostając jego żoną.

W źródłach, w tym w kluczowych dla omawianego okresu „Zapiskach historyka", znajdujemy informację o niemałym skandalu: oblubienica księcia do ślubu szła bowiem z „brzuchem"! Czyje dziecko nosiła w łonie piękna Zhaoji? Od blisko dwóch tysięcy lat trwają na ten temat spory. Wielu konfucjańskich historyków uważało, że ojcem dziecka był w rzeczywistości dotychczasowy właściciel kurtyzany, co oznaczałoby, że chłopiec, który przyszedł na świat, a któremu pisane było zostać Pierwszym Cesarzem, w rzeczywistości nie miał w swoich żyłach ani kropli szlachetnej krwi! Dociekając, kto

Sima Qian

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, DIQ. WIKIPEDIA. ORG.

spłodził małego Zhenga (takie bowiem imię mu nadano), pamiętać musimy, że wyznawcy nauk Konfucjusza nienawidzili Pierwszego Cesarza, zapamiętanego przez historię jako ten, który palił księgi zawierające myśli starożytnego mędrca, a ich właścicieli kazał zakopywać żywcem. Sima Qian, autor „Zapisków historyka", tworzył na dworze dynastii Han, która doszła do władzy, obalając ród panujący (wywodzący się z dawnego królestwa Qin), i była szczególnie zainteresowana oczernianiem swoich poprzedników.

Niezależnie od tego, kto odpowiadał za ciążę Zhaoji, Yiren nadal cieszył się życiem. Jednak beztroskie czasy miały się już ku końcowi. W roku 257 p.n.e. Jasny Król zaatakował państwo Zhao. Oddziały Qin szły jak burza i wkrótce stanęły u bram Handanu. W oblężonym przez wroga mieście zapadła decyzja o zgładzeniu wnuka najeźdźcy. Przyszłoby mu położyć głowę pod topór, gdyby życia nie uratowała mu kolejna interwencja jego „anioła stróża". Lü Buwei wyłożył pieniądze na ogromną łapówkę dla pilnujących Yirana strażników i przygotował plan ucieczki. Wraz z protegowanym zbiegli w przebraniu z książęcej rezydencji i przedostali się na drugą stronę frontu, znajdując schronienie w obozie oblegających. Aby opóźnić pościg, zostawili za sobą wiernego sługę imieniem Zhao, posturą podobnego do szlachetnego uciekiniera. Przebrany w szaty księcia wędrował po pałacu, raz za razem pokazując się w jego oknach. Gdy na miejsce przybyli królewscy kaci, by zabić wnuka Jasnego Króla, nieustraszony famulus już na nich czekał i do końca grając powierzoną mu rolę, oddał życie, by dać swemu panu czas na ucieczkę.

Gdy wojska Qin wyruszyły w kierunku do ojczyzny, Yiren i Lü Buwei zabrali się razem z nimi. Książę przebywał teraz u boku swego ojca i macochy, a obrotny kupiec również korzystał z ich względów.

Drugi Ojciec

Tymczasem Jasny Król po panowaniu trwającym dłużej niż życie wielu współczesnych mu ludzi w końcu odszedł z tego świata. Anguo, odczekawszy zwyczajowy okres żałoby, w roku 250 p.n.e. koronował się, przyjmując imię Oświeconego Króla. Jego wspaniale zapowiadające się rządy trwały… całe trzy dni, po czym nowy monarcha skonał w tajemniczych okolicznościach. Być może dopatrywanie się tu spisku jest niepotrzebne, bo Oświecony Król sam młodzieniaszkiem już nie był, ale jego błyskawiczna śmierć była dziwnie na rękę Lü Buweiowi. Jeszcze w tym samym roku Yiren objął rządy jako Łaskawy Król.

Dla Lü nastały tłuste lata, a poczynione dotychczas inwestycje zaczęły przynosić astronomiczne zyski. Dawny kupiec został uszlachcony w nagrodę za zasługi (choć złośliwi arystokraci twierdzili, że tytuł po prostu sobie kupił) i mianowany kanclerzem państwa Qin. Z każdym dniem rosły jego wpływy, a wraz z nimi pycha. Jak się zdaje, Łaskawy Król zaczął dostrzegać, że zbyt wysoko wyniósł swego dawnego opiekuna i być może podjął jakieś kroki celem utemperowania go. Jeśli tak było, to podpisał się pod własnym wyrokiem śmierci.

W roku 247 p.n.e., po zaledwie trzech latach panowania, wnuk Jasnego Króla, będący

Figurka tygrysa z brązu, używana jako znak do mobilizacji wojska

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, ANTOLAVOASIO

eprasa.pl ffb67b0033

dotąd okazem zdrowia młody mężczyzna, nagle zmarł, pozostawiając po sobie dwóch niepełnoletnich synów. Przypomnijmy – starszy chłopak, Zheng, posadzony na opustoszałym tronie równie dobrze mógł być synem kogoś innego.

Lü Buwei ogłosił się regentem. Wkrótce dla wszystkich stało się jasne, że to on pociąga za wszystkie sznurki, a najdobitniejszym przykładem jego dominacji w państwie Qin było nadanie mu przez młodego monarchę tytułu Drugiego Ojca. Tyle że niektórzy po cichu szeptali, iż dawny kupiec w rzeczywistości był pierwszym ojcem Zhenga.

Lü Buwei pozostawał niekwestionowanym władcą królestwa Qin przez blisko dekadę. Jego panowanie nie było uciążliwe dla ludu, złagodził wręcz niektóre ze znienawidzonych praw. Gdy krajowi zagroził głód, zaradził klęsce, ogłaszając, że każdy, kto przekaże 1 tys. korców zboża do królewskich spichlerzy, otrzyma tytuł szlachecki. Ze wszystkich chińskich państw ściągnął do Xianyangu filozofów i uczonych, którzy pisali księgi sławiące regenta oraz króla. Pragnąc zapisać się w dziejach jako mecenas i myśliciel, Lü nakazał przepisywać teksty z tej kompilacji na wielkich płachtach materiału, które rozwieszano potem w miejscach publicznych.

Największym problemem wielkiego inwestora był upływ czasu. Król Zheng powoli dorastał i zbliżał się moment oficjalnego uznania go za mężczyznę, co równałoby się końcowi regencji. Lü Buwei na wszelkie sposoby wykręcał się od organizacji tej ceremonii, tak że pełnoletność monarcha osiągnął dopiero w wieku 22 lat.

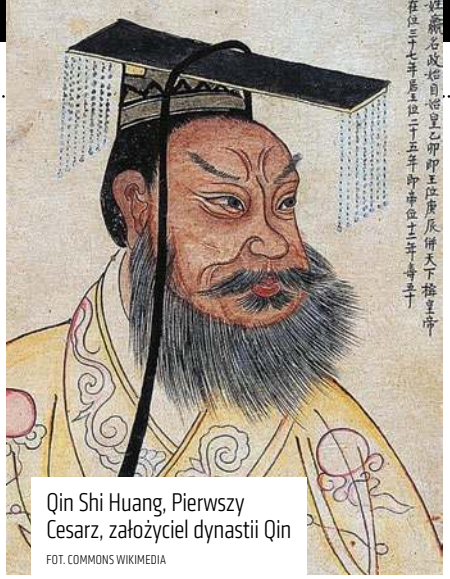

Qin Shi Huang, Pierwszy Cesarz, założyciel dynastii Qin
FOT. COMMONS WIKIMEDIA

Tymczasem w roku 239 p.n.e. nad Chinami zabłysła złowroga czerwona gwiazda z ogonem. Ówcześni Chińczycy nie wiedzieli, że była to kometa Halleya, i dziwne zjawisko uznali za zapowiedź jakiejś katastrofy. Ta nastąpiła już wkrótce.

Urok „eunucha”

W czasie regencji pycha Lü Buweia urosła do tego stopnia, że wdał się w romans królową wdową Zhaoji. Jak wiadomo, stara miłość nie rdzewieje. Para zaczęła się potajemnie spotykać, a były kupiec wkrótce przekonał się, że wpadł w pułapkę. Dawna kurtyzana była wciąż młodą kobietą o dużych potrzebach, których jej starzejący się kochanek nie potrafił w pełni zaspokoić. Królowa żądała od regenta kolejnych nocnych schadzek i sesji uciech cielesnych, a tymczasem on nie miał na to sił. Nie mógł jednak odrzucić awansów Zhaoji, gdyż ta groziła mu demaskacją ich romansu, co kosztowałoby go głowę!

Ostatecznie Lü Buwei znalazł rozwiązanie swojego problemu w osobie niejakiego Lao Aia. Natura obdarzyła tego pochodzącego z gminu mężczyznę gigantycznym przyrodzeniem. Usłyszawszy plotkę o walorach prostaka, regent sprowadził go do pałacu i uczynił swoim sługą. Drugi Ojciec robił wiele szumu wokół nowego domownika, aż w końcu wieści o nim dotarły do Zhaoji. A gdy ta usłyszała o ogromnej zalecie Lao Aia, zapragnęła go w swoim łożu. Dotychczasowy kochanek podarował jej zatem służącego, podając przy tym do publicznej wiadomości fałszywą informację, że został on wykastrowany.

Królowa matka wraz z fałszywym eunuchem wycofali się do wiejskiej rezydencji, by oddawać się uciechom cielesnym. Ich efektem było przyjście na świat dwóch chłopców. Lao Ai zdobywał coraz większy wpływ na kochankę, czyli również na bieg spraw w królestwie.

Wkrótce w całym kraju zaczęły się niesnaski, doszło do podziałów na zwalczające się frakcje, z których jedna popierała królową i Lao, a druga Lü Buweia. W końcu w roku 238 p.n.e. doszło do nieszczęścia – fałszywy eunuch na czele kilkuset zbrojnych wtargnął do Xianyangu, by zamordować Zhenga i osadzić na tronie jednego ze swoich synów. Miała miejsce miejska bitwa, zapanował totalny chaos, a znaczna część walczących nie wiedziała nawet, w czyim imieniu się biją. Ostatecznie przeważyli lojaliści, a Lao Ai salwował się ucieczką.

Niedługo cieszył się jednak wolnością, ścigany jak dzikie zwierzę został w końcu złapany i rozerwany końmi. Zamordowano też wszystkich jego krewnych, wliczając w to przyrodnich braci króla. Zhaoji znalazła się w areszcie domowym, gdzie spędziła resztę życia. Młody monarcha zakazał pod karą śmierci wspominać o jej roli w całej aferze. Z 27 arystokratów, którzy puścili ten rozkaz mimo uszu, uczynił przykład, ćwiartując ich i rozrzucając kawałki ich ciał wzdłuż murów miejskich.

Przy okazji śledztwa w sprawie spisku na jaw wyszło, że całe nieszczęście zaczęło się od Lü Buwei. Zheng, któremu od dawna ciążyła „opieka” Drugiego Ojca, wygnał go więc wraz z całą rodziną do Henanu. Rok później były kupiec otrzymał rozkaz przeniesienia się jeszcze dalej od stolicy – do Syczuanu. Z nowego miejsca wygnania na próżno słał listy do domniemanego syna, próbując przypomnieć mu o swoich zasługach na rzecz państwa. W końcu dotarło do niego, że popadł w tak wielką niełaskę, iż prowadzić może ona tylko do jednego końca. Pamiętając o losie innych ministrów państwa Qin, którzy utracili królewskie względy, zdecydował się nie czekać na wyrok śmierci, lecz rozstać się ze światem na własnych warunkach. W 235 r. p.n.e. chiński „twórca królów” popełnił samobójstwo, zażywając truciznę.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl ffb67b0033

Spotkanie Fryderyka II z sułtanem Al-Kamilem FOT. COMMONS WIKIMEDIA

XIII w. / Tragiczny koniec Hohenstaufów

Sycylijskie imperium

Sławomir Koper

Fryderyk II był ostatnim władcą Niemiec, który chciał stworzyć uniwersalne cesarstwo odwołujące się do tradycji starożytnego Rzymu

Wikingowie przez dwa stulecia terroryzowali Europę, ale w X w. zaczęli się powoli cywilizować. Mieli decydujący wpływ na powstanie Rusi Kijowskiej, a w 911 r. założyli księstwo Normandii, które stało się terenem ich masowego osadnictwa. Półtora wieku później miejscowa dynastia zdobyła władzę w Anglii (Wilhelm Zdobywca), natomiast czterej synowie normańskiego rycerza Tankreda z Hauteville ruszyli szukać szczęścia i majątku na południu Europy.

Był to znakomity wybór – południowa Italia była wymarzonym terenem do ekspansji. Sycylia pozostawała pod władzą Arabów, których emirat przeżywał kryzys polityczny, natomiast w Apulii i Kalabrii ścierały się wpływy: papieskie, muzułmańskie, niemieckie i bizantyjskie. Znakomicie zorganizowani Normanowie, dysponujący sprawnymi siłami zbrojnymi, podporządkowywali sobie coraz rozleglejsze terytoria, aż wreszcie rozpoczęli podbój Sycylii. Ich posiadłości zjednoczył ostatecznie Roger I, a jego syn, Roger II, w 1130 r. założył na skronie królewską koronę.

Państwo Normanów sycylijskich szybko stało się jednym z najważniejszych organizmów politycznych w basenie Morza Śródziemnego. Jego potęga była tak wielka, że władcy z Palermo planowali nawet podbój Konstantynopola i likwidację Cesarstwa Bizantyjskiego. Jednocześnie było to wyjątkowe miejsce na ówczesnej mapie Europy i świata. Tolerancyjna polityka panującej dynastii powodowała, że poddani bez względu na wyznanie i pochodzenie cieszyli się jednakowymi swobodami. W efekcie na Sycylii powstała oryginalna kultura będąca syntezą wpływów arabskich, bizantyjskich i normańskich, a w gronie doradców panujących byli także muzułmanie i Żydzi, których traktowano bez żadnych uprzedzeń. Palermo stało się

eprasa.pl ffb67b0033

metropolią o znaczeniu porównywalnym z Konstantynopolem czy Kairem, a przy okazji też jednym z najważniejszych ośrodków śródziemnomorskiego handlu.

Południowi Hohenstaufowie

Linia męska dynastii normańskiej wygasła w 1194 r. na Tankredzie, wnuku Rogera II. Jedyną dziedziczką tronu była jego ciotka, Konstancja, żona cesarza Henryka VI z rodu Hohenstaufów (syna Fryderyka Barbarossy). Po śmierci Tankreda Henryk podniósł pretensje do korony sycylijskiej i dokonał udanej inwazji wyspy. Zmarł jednak już we wrześniu 1197 r., a jego następcą był Fryderyk, mający wówczas niespełna trzy lata.

Przyjście na świat chłopca było obciążone licznymi podejrzeniami. Jego matka miała wówczas 40 lat, co uchodziło za dość zaawansowany wiek jak na macierzyństwo. Obawiano się plotek podważających legalność potomka, dlatego Konstancja urodziła następcę tronu w specjalnym namiocie rozstawionym na rynku w Jesi (niedaleko Ankony). Porodowi towarzyszyły damy dworu (!), a cesarzowa kilka dni później publicznie (!) karmiła dziecko piersią.

Jeszcze za życia ojca Fryderyk został ogłoszony królem Niemiec, a po jego śmierci odziedziczył też koronę Sycylii. Oczywiście sam nie mógł rządzić, a tymczasem w Niemczech pojawili się inni kandydaci do władzy. Konstancja nie zamierzała jednak bronić praw syna do tronu niemieckiego, uznając, że ważniejsza jest władza na Sycylii. Ogłosiła odłączenie swojego dziedzictwa od cesarstwa i w imieniu syna zrzekła się pretensji do korony niemieckiej. Niebawem jednak zmarła, powierzając Fryderyka opiece papieża Innocentego III.

W Niemczech o władzę rywalizowali: stryj młodego władcy Sycylii, Filip Szwabski oraz Otton IV z rodu Welfów. Kolejno byli ogłaszani królami, a po zmianie koniunktury politycznej niedawni władcy abdykowali. Filip został zamordowany w czerwcu 1208 r., a o losach Ottona zadecydowała bitwa pod Bouvines w lipcu 1214 r. Wspomagając króla Anglii, Jana bez Ziemi, poniósł on straszliwą klęskę z rąk rycerstwa francuskiego.

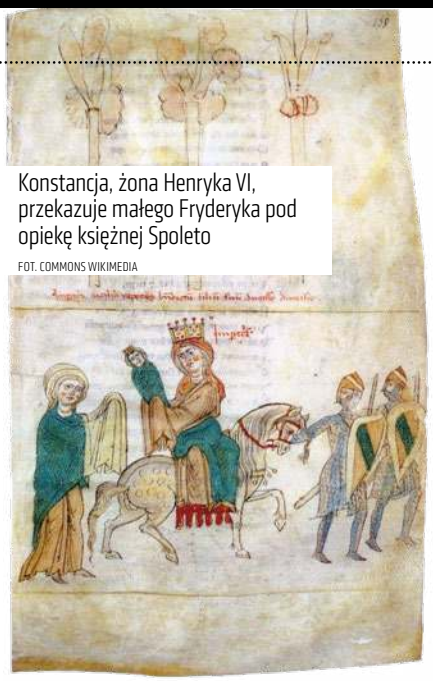

Konstancja, żona Henryka VI, przekazuje małego Fryderyka pod opiekę księżnej Spoleto

FOT. COMMONS WIKIMEDIA

Złoty augustalis Fryderyka II

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, NUMISMATIC.ORG

W tym czasie Fryderyk był już królem Niemiec (koronacja odbyła się w grudniu 1212 r., choć ze względu na wątpliwości proceduralne powtórzono ją trzy lata później), a w 1220 r. założył na głowę cesarską koronę. Objęcie władzy w Niemczech niewiele zmieniło w jego zwyczajach. Za Alpami zachowywał się podobnie jak na rodzinnej Sycylii i nie widział w tym nic niestosownego.

Chociaż miał żonę, to jednak wschodnim obyczajem utrzymywał niemal oficjalny harem. W podróżach towarzyszył mu prywatny zwierzyniec, w którym podobno była nawet żyrafa. Jeżeli rzeczywiście tak było, to jej smukła i długa szyja musiała się interesująco prezentować na tle wież niemieckich katedr.

Ludzkie przedmioty

Fryderyk był mężczyzną zwracającym dużą uwagę na płeć piękną, chociaż w większości przypadków traktował kobiety przedmiotowo. Był trzykrotnie żonaty, jednak prawdopodobnie tylko pierwsza żona, Konstancja Aragońska, wzbudziła w nim cieplejsze uczucia, gdyż pochowano ją w krypcie władców Sycylii w Palermo. Pozostałych nie uznano za godnych cesarsko-królewskiego pogrzebu. Spośród innych licznych partnerek uczuciem obdarzył właściwie tylko jedną, Blankę Lancię. Podczas trwania ich związku podobno nie utrzymywał kontaktów intymnych z innymi kobietami, a troje ich wspólnych dzieci zalegalizował.

Nie można jednak traktować Fryderyka jak płytkiego rozpustnika. Był bowiem jednym z najlepiej wykształconych ludzi epoki, a nauki wpajane przez prywatnego pedagoga, Araba wiernego islamowi, pozostały w nim na całe życie. To właśnie cesarz zarządził tłumaczenie z arabskiego dzieł Arystotelesa i zorganizował uniwersytet w Neapolu. Parał się również poezją, a zachowane do dzisiaj trzy kancony świadczą o jego talencie. Był też autorem traktatu o sokolnictwie, a pod wpływem arabskich uczonych zażądał wprowadzenia zera do europejskiej matematyki. Interesował się różnymi dziedzinami wiedzy, w tym astrologią i astronomią, chętnie przyjmował na swoim dworze naukowców różnych specjalności.

Podobno był też organizatorem tzw. eksperymentu deprywacyjnego. Na jego polecenie kilkoro noworodków wychowywano w całkowitym odosobnieniu

eprasa.pl ffb67b0033

Fryderyk II z sokołem
FOT. COMMONS WIKIMEDIA, FH AUGSBURG-DE

od słowa mówionego. Cesarz chciał się zorientować, jakim językiem będą mówić dzieci, i miał nadzieję, że w ten sposób będzie można określić pierwotną mowę ludzkości. Niestety, eksperyment zakończył się fiaskiem, gdyż początkowo dzieci porozumiewały się za pomocą gestów i nieartykułowanych dźwięków, a potem kolejno pomarły.

Trudno określić poglądy religijne cesarza. Oficjalnie chciał uchodzić za dobrego katolika, ale w prywatnym gronie miał się wyrażać, że „Mojżesz, Jezus i Mahomet to tacy sami oszuści". Czy zatem był człowiekiem niewierzącym? Być może zbliżał się do deizmu, co potwierdzałoby fakt, że pod wieloma względami znacznie wyprzedzał swoją epokę.

Korony niemieckiej nigdy wysoko nie cenił, a książąt i poddanych z krajów na północ od Alp uważał za barbarzyńców. Liczyły się dla niego władza cesarska i tytuł króla Sycylii. Nie zmienia to jednak faktu, że także w tym przypadku potrafił traktować te godności dość przedmiotowo. Bez skrupułów łamał przyrzeczenia i zrywał traktaty, a chwilami można było odnieść wrażenie, że byłby idealnym bohaterem „Księcia" Machiavellego, chociaż Toskańczyk napisał swój traktat 200 lat później.

Fryderyk wprowadził na Sycylii rządy autorytarne, ale zasłynął także jako prawodawca, ogłaszając dwa zbiory przepisów regulujących sądownictwo. Nie zapominał też o gospodarce – na jego polecenie zaczęto wybijać złotą monetę zwaną augustalis. Miała ona wagę 5,4 g i stały kurs w stosunku do innych monet i towarów. Zachowane egzemplarze dobrze oddają koncepcje polityczne cesarza. Na awersie znajdowało się oblicze władcy stylizowane na rzymskich cesarzy, a na rewersie orzeł, także wzorowany na Imperium Romanum. W końcu Fryderyk planował budowę imperium porównywalnego z Cesarstwem Rzymskim...

Augustalisy były pierwszą cesarską złotą monetą w obiegu handlowym, ale nie przyjęły się do szerszego użytku. Rolę tę lepiej odegrały nieco lżejsze floreny (3,5 g), których emisję rozpoczęto w Toskanii dwa lata po śmieci cesarza.

Najdziwniejsza krucjata

Fryderyk mógł być władcą autorytarnym na Sycylii i w południowej Italii, ale na północy półwyspu i w Niemczech nie było to możliwe. Północne Włochy zdominowała Liga Lombardzka składająca się z najpotężniejszych miast regionu. Wiele problemów sprawiła ona słynnemu dziadkowi Fryderyka, Barbarossie, a teraz została odnowiona w związku z planami cesarza dotyczącymi podporządkowania całej Italii. Fryderyk był jednak znakomitym wodzem i pokonał przeciwników w bitwie pod Cortenuovą w listopadzie 1237 r., a po zwycięstwie odbył uroczysty triumf w Cremonie na czele pochodu słoni!

Liga, korzystając z poparcia papieskiego, odnowiła jednak swoją działalność, co przysporzyło Fryderykowi wielu kłopotów. Ostatecznie rozwiązała się dopiero po jego śmierci, gdy miejscowi politycy uznali, że nie zagraża im już cesarski autorytaryzm.

Inna sytuacja miała miejsce w Niemczech, gdzie władza królewska nigdy nie była zbyt silna. Monarcha był tam raczej przewodniczącym miejscowych książąt, a nie realnym władcą. Tym bardziej że tron niemiecki był elekcyjny, co zawsze mogło oznaczać groźbę zmiany rodziny panującej.

Fryderyk był zajęty we Włoszech i musiał pójść na ustępstwa wobec swoich niemieckich wasali. W 1232 r. zgodził się na utratę podatków i świadczeń od wolnych chłopów oraz kompetencji sądowniczych na rzecz książąt. Wszelkie inicjatywy prawodawcze władcy stały się zależne od Sejmu Rzeszy, co w przyszłości miało stać się przyczyną znacznego osłabienia władzy centralnej w Niemczech.

Ustępstwa cesarza były spowodowane jego konfliktem z papiestwem. Chociaż wbrew swoim poglądom wydał surowe prawa przeciwko heretykom, to jednak papieży bardziej niż kwestie wiary interesowały polityka i dominacja w Italii. Walka z papiestwem rozpoczęła się od poślubienia przez Fryderyka Izabeli II, królowej Jerozolimy. Fryderyk zobowiązał się wówczas do organizacji krucjaty, na co jednak niespecjalnie miał ochotę. Inna sprawa, że małżeństwo układało się fatalnie i chociaż nastoletnia żona (w chwili ślubu miała 13 lat) urodziła mu dwoje dzieci, to Fryderyk uwiódł jej kuzynkę, a Izabelę umieścił w swoim haremie w Palermo. Cesarzowa niebawem zmarła z powodu powikłań po porodzie syna, który odziedziczył po niej tytuł króla Jerozolimy. Cesarz został ogłoszony regentem, ale wciąż nie miał zamiaru płynąć do Palestyny. Gdy jednak papież Grzegorz IX obłożył go klątwą, Fryderyk wyruszył na wschód. Jego krucjata miała zadziwiający przebieg.

Papież Innocenty IV rzuca ekskomunikę na Fryderyka II
FOT. COMMONS WIKIMEDIA

eprasa.pl ffb67b0033

Zamek Castel del Monte, wybudowany przez Fryderyka II

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, PARIS TARAS

Królestwo Jerozolimskie straciło już wcześniej stolicę oraz Nazaret i Betlejem, co podawało w wątpliwość sens jego istnienia. Teraz Fryderyk zamierzał je opanować, ale nie planował przelewać krwi za wiarę. Uznał, że dyplomacją może osiągnąć znacznie więcej niż za pomocą oręża, i dlatego rozpoczął rokowania z sułtanem Al-Kamilem z dynastii Ajjubidów. Cesarz okazał się równie zdolnym dyplomatą jak wodzem i odzyskał Jerozolimę. Warunkiem było zachowanie przez muzułmanów kontroli nad Kopułą na Skale i meczetem Al-Aksa.

Fryderyk koronował się w Jerozolimie na króla, choć z powodu papieskiej ekskomuniki z dostojników kościelnych towarzyszył mu tylko wielki mistrz zakonu krzyżackiego, Hermann von Salza. Zakonnik miał powody, by okazać wierność cesarzowi, ponieważ trzy lata wcześniej otrzymał od niego Złotą bullę sankcjonującą przyszłe zdobycze krzyżackie w Prusach.

Krwawy koniec dynastii

Odzyskanie Jerozolimy przyniosło cesarzowi ogromną sławę na całym kontynencie i papież – bardzo niechętnie – musiał zdjąć z niego klątwę. W zamian władca zrzekł się prawa do zatwierdzania biskupów i zwrócił zagarnięte majątki kościelne. Nie zmienia to tego, że papiestwo wciąż darzyło władcę niechęcią, uważając go za wroga Kościoła.

„Bestia pełna imion bluźnierczych – opisywała Fryderyka kancelaria papieża – która srożąc się niedźwiedzimi łapami i lwią paszczą, resztą członków do pantery podobny, usta swe otwiera do bluźnierstw przeciwko Bogu […]. Przyjrzyjcie się głowie, środkowi i końcowi tej bestii, Fryderyka, tak zwanego cesarza".

Sam monarcha miał jednak na swój temat znacznie lepsze zdanie: „Iesi, szlachetne miasto Marche, dostojne miejsce, z którego wzięliśmy nasz początek, gdzie nasza boska matka wydała nas na świat […], nasze Betlejem, miasto Marche, nie jest zgoła najlichsze spośród miejsc książęcego naszego rodu, albowiem z ciebie wyszedł książę, władca królestwa rzymskiego".

Niebawem papież ponownie obłożył cesarza klątwą, a bezpośrednią przyczyną było nadanie przez Fryderyka Sardynii jego, pochodzącemu z nieprawego łoża, synowi Enziemu. Grzegorz IX uważał wyspę za swoje lenno i przy okazji ogłosił cesarza Antychrystem. Wprawdzie kolejny papież, Innocenty IV, musiał zdjąć ekskomunikę, ale w 1245 r. ogłosił złożenie Fryderyka z tronu. W Niemczech wybrano antykróla, lecz mimo to cesarz utrzymał się na tronie.

U schyłku życia władca cierpiał na problemy gastryczne i wiele czasu spędzał w klasztorze Cystersów w Apulii. Zmarł w grudniu 1250 r. na dyzenterię.

Zwłoki w ogniu

Władzę w Niemczech objął jego syn z małżeństwa z Izabelą II, Konrad, którego jednocześnie ogłoszono królem Sycylii i Jerozolimy. Następca Fryderyka zmarł jednak na malarię cztery lata później, a w tym czasie zdążył się doczekać papieskiej klątwy. Zwłoki Konrada spłonęły przed pogrzebem w czasie pożaru katedry w Messynie.

Władzę na Sycylii przejął nieprawowity syn Fryderyka II, Manfred (urodzony przez Biankę), który odniósł kilka sukcesów w wojnie z papieżem. Innocenty IV nadał jednak Sycylię Karolowi Andegaweńskiemu, bratu króla Francji Ludwika Świętego. Francuski dynasta pokonał Manfreda w lutym 1266 r. w bitwie pod Benewentem. Król Sycylii zginął, a jego synowie byli przez kilkadziesiąt (!) lat więzieni przez Andegaweńczyka.

Pretensje do tytułu królewskiego podniósł syn Konrada IV, 15-letni Konradyn. Na czele swoich zwolenników wyruszył w kierunku Sycylii, w związku z czym papież Klemens IV ogłosił krucjatę przeciwko ostatniemu z Hohenstaufów. Konradyn poniósł klęskę z rąk Andegaweńczyka w sierpniu 1268 r. w bitwie pod Tagliacozzo i niebawem został pojmany wraz z przyjacielem, starszym o trzy lata Fryderykiem, księciem Badenii.

W końcu października młodzieńców publicznie ścięto w Neapolu za pomocą pierwowzoru gilotyny. Jako pierwszy zginął Fryderyk. Konradyn miał podnieść głowę przyjaciela i ucałować, po czym sam został stracony. Podobno w miejscu ich pochówku z ziemi zaczęła wypływać woda i twierdzono, że ziemia opłakiwała w ten sposób straconych. Z czasem zbudowano w tym miejscu kapliczkę, a pod koniec XVIII w. powstał tam kościół, gdzie do dzisiaj znajduje się posąg Konradyna autorstwa Bertela Thorvaldsena. W Polsce rzeźbiarz jest znany jako twórca warszawskiego pomnika księcia Józefa Poniatowskiego.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Cytaty za: E. Wies, „Cesarz Fryderyk II".

eprasa.pl ffb67b0033

Tomasz Stańczyk

XVIII w. / Rosyjski ambasador rządzi w Polsce

Moskale porywają biskupa

Kajetan Sołtyk dał się uwikłać w perfidną grę przeciw Stanisławowi Augustowi. Gdy przejrzał na oczy, Rosjanie postanowili go ukarać

Jak przypuszczał Kazimierz Rudnicki, autor biografii bp. Kajetana Ignacego Sołtyka, jego ród wywodził się z Wielkiego Księstwa Moskiewskiego, na co może wskazywać podobieństwo herbów polskich Sołtyków i rosyjskich Morozowów. Jeden z tych ostatnich miał przydomek Sałtyk lub Sołtyk i od niego pochodzą rosyjscy Sałtykowie. „Prawie pewnym jest – pisał Rudnicki – że zawierucha czasów samozwańczych rzuciła do Polski jakiegoś Sołtykowa, jednego z rosyjskich zwolenników dynastii Wazów, i że od niego wywodzi się ród Sołtyków".

Kajetan Ignacy Sołtyk, syn kasztelana lubelskiego, urodzony w 1715 r., był protegowanym prymasa Teodora Potockiego, którego matka była z domu Sołtyk. Dobrą stroną protekcji jest to, że ułatwia awans ludziom uzdolnionym, a taki był właśnie ten młodzieniec.

Już jako siedemnastolatek został – oczywiście jeszcze bez święceń – kanonikiem łęczyckim, następnie studiował teologię w Rzymie. „Pewnym jest, że nie miał powołania do życia duchownego" – wyrokował znany historyk Adam Skałkowski. Ale już do politycznego jak najbardziej. Józef Ignacy Kraszewski komplementował Sołtyka: „Żywego umysłu, ognistego temperamentu, szlachetnego serca, podobał się wszystkim [...]. Był Sołtyk według współczesnych opisów, wzrostu miernego, ale poważnej i pięknej postaci, wejrzenie miał pańskie, obejście arystokratyczne. Mówił kilkoma językami biegle. Temperamentu gwałtownego, miarkował się rozumem i trzymał, dopóki mógł, na wodzy".

„Kajetan Sołtyk". Obraz Marcella Bacciarellego

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, MUZEUM NARODOWE W POZNANIU

eprasa.pl ffb67b0033

„Wjazd biskupa Kajetana Sołtyka do katedry na Wawelu". Grafika Michała Stachowicza

FOT. BIBLIOTEKA NARODOWA

Po powrocie ze studiów Sołtyk został kanonikiem gnieźnieńskim, następnie koadiutorem stryja – Macieja Sołtyka, proboszcza gnieźnieńskiego. W 1749 r. został koadiutorem w diecezji kijowskiej, a później biskupem kijowskim. Lecz Kijów, niegdyś – o czym warto pamiętać – stolica województwa Rzeczypospolitej, był już poza jej granicami: należał do Rosji. Siedzibą diecezji stał się więc Żytomierz.

W czasie swoich rządów Sołtyk założył pierwsze seminarium w diecezji kijowskiej, wybudował pałac biskupi w Żytomierzu i koronował cudowny obraz Matki Boskiej w kościele karmelitów w Berdyczowie. Z jego doniesienia odbył się przed sądem grodzkim proces Żydów oskarżonych o mord rytualny. Zapadło kilkanaście wyroków śmierci, lecz dwóch oskarżonych, w tym jednego, który chciał się ochrzcić, biskup uratował od egzekucji. Kilkunastu Żydów zostało natomiast uniewinnionych.

Książę i pasterz

W 1759 r. Kajetan Sołtyk został biskupem prestiżowej, największej polskiej diecezji – krakowskiej – do której należało księstwo siewierskie. Zawdzięczał ten awans przyjaźni i protekcji ministra Henryka Brühla i marszałka nadwornego Jerzego Wandalina Mniszcha. W ten sposób stał się jednym z trzech (poza dwoma wspomnianymi) najbardziej wpływowych ludzi u boku Augusta III.

Według Kraszewskiego „Sołtyk, gorący obrońca ojczyzny, w życiu prywatnym więcej jest księciem siewierskim niż pasterzem owczarni Chrystusowej; dwór jego, teatr, muzyka, cieplarnia, zabawy, żywiej zajmują go niż losy powierzonej mu diecezji". Nie zaniedbywał jednak spraw kościelnych, choć faktycznie często przebywał w pierwszych latach swoich biskupich rządów w Warszawie na dworze Augusta III i wówczas rzeczywiście kierował diecezją na odległość.

Herb bp. Sołtyka w kościele św. Macieja Apostoła w Siewierzu

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, MANFRED RACKELHUHN

Po śmierci Augusta III, a przed kolejną elekcją, bp Sołtyk pisał: „Wsławiliśmy się z nierządu, staliśmy się śmiechem i igrzyskiem sąsiadów, oziębła ojczyzny miłość, prywatnych zysków ściganie górę wzięło, rozwiązłość obyczajów wprowadzona, wolność, ten najszacowniejszy klejnot, którego nam świat prawie cały zazdrościł do najwyższego, przez złe jej użycie, zbytku wyniesiona stopnia zamiast zaszczytu, ohydza nas, stając się instrumentem bezprawia, gwałtów, słabszych od mocniejszych uciemiężenia i przeszkodą wszystkim najzbawienniejszym ojczyzny ratowania środkom".

Wydawać by się mogło, że Sołtyk widzi niebezpieczeństwo utrzymywania liberum veto, prawa odpowiadającego rosyjskiej polityce dominacji nad Rzecząpospolitą, paraliżującego możliwość uzdrowienia jej ustroju. Nie wypowiedział się jednak na ten temat i – co więcej – stał się przeciwnikiem nowego króla – Stanisława Augusta – który miał plany reform ustrojowych wzmacniających państwo.

Król pozbawił biskupa, dotąd tak wpływowego na dworze senatora Rzeczypospolitej, wszelkiego znaczenia. Stąd też mogła pochodzić osobista uraza ambitnego i dumnego Sołtyka wobec króla. „Grywał z nim Stanisław August w pikietę, zapraszał na »assamble« – pisał Rudnicki – lecz od spraw publicznych trzymał z dala".

Jednak na prośbę króla Sołtyk jako kanclerz Akademii Krakowskiej przeprowadził w 1766 r. wizytację uczelni, porządkując jej sprawy finansowe. W raporcie dla króla napisał, że wykładowcy są tak marnie opłacani, że dziwi się, iż wciąż tam pracują. Apelował przy tym do Stanisława Augusta, jako znanego miłośnika nauki, o gest hojności wobec Akademii Krakowskiej.

Spór o dysydentów

Wkrótce po objęciu tronu przez Stanisława Augusta pojawił się problem równouprawnienia dysydentów, czyli prawosławnych i protestantów. Forsował je bezpardonowo Nikołaj Repnin, ambasador rosyjski, nadzorca Stanisława Augusta. Imperatorowej Katarzynie II nie chodziło bynajmniej o swobodę wyznania, lecz o prawa polityczne – dostęp dysydentów do godności i urzędów państwowych. Liczyła, że uczyni z nich stronnictwo prorosyjskie i jednocześnie pogłębi podziały w społeczeństwie polskim na tle wyznaniowym.

Niestety, chętnych do służenia ambasadorowi rosyjskiemu nie brakowało także wśród katolików. Katarzyna II – jak zauważał prof. Andrzej Sulima Kamiński – dążyła do przeprowadzenia prawosławnej „rekonkwisty" na ziemiach ruskich Rzeczypospolitej. Osiemdziesiąt procent tamtejszej ludności należało do Kościoła unickiego i „chwaląc imię Boże, zanosiło jednocześnie modły na pomyślność Rzeczypospolitej". Tego caryca nie zamierzała tolerować. Dążyła do tego, by tamtejsza ludność stała się znów prawosławna, gdyż Cerkiew była podporządkowana jej – czyli Rosji. Pod płaszczykiem walki o równouprawnienie dysydentów kryła się więc akcja rozbicia Kościoła unickiego, lojalnego wobec Rzeczypospolitej.

eprasa.pl ffb67b0033

W reakcji na stanowczy sprzeciw Sołtyka wobec równouprawnienia dysydentów ambasador Repnin poprosił Petersburg o zgodę na wprowadzenie wojsk rosyjskich do dóbr biskupa krakowskiego (co też się stało), ale – jak pisał Rudnicki – nie czekając na odpowiedź, próbował zastraszyć lub przekupić biskupa. Natomiast w razie odmowy poparcia równouprawnienia dysydentów „o osobie jego pomyśli", co sugerowało aresztowanie. Brutalny rosyjski nacisk umocnił tylko biskupa w oporze. W jednym z listów tak o tym pisał: „Nigdym zdrowszy i lepszego humoru nie był, jak jestem teraz z osobliwszej Boga Opatrzności, kiedy widzę, iż mię tu przeznaczyła do obrony wiary i wolności". I w tym duchu przemawiał gorąco w parlamencie, argumentując m.in., że przyznanie prawosławnym prawa do budowy cerkwi spowoduje odpływ wiernych od Kościoła unickiego (greckokatolickiego), a to może być początkiem buntów – jak za czasów rebelii Chmielnickiego. Przypomniał też, że podczas szwedzkiej inwazji (potopu) polscy luteranie i kalwini poparli Karola Gustawa przeciw swojemu królowi – Janowi Kazimierzowi.

Intryga Repnina

Sołtyk przyłączył się do inspirowanej przez Repnina konfederacji radomskiej, zawiązanej w 1767 r. w odpowiedzi na dysydenckie konfederacje w Toruniu (protestanci) i Słucku (prawosławni), także powstałe z namowy Rosjan. Była to perfidna gra ambasadora Repnina. Gromadząc w Radomiu zdeklarowanych przeciwników króla, chciał uderzyć w nie dość uległego Stanisława Augusta. Konfederaci radomscy, w tym Sołtyk, byli zwodzeni przez rosyjskiego ambasadora sugestiami o możliwej detronizacji króla, a jednocześnie zostali przymuszeni do uznania konfederacji dysydenckich oraz wyrażenia zgody na przyznanie politycznego równouprawnienia wyznawcom prawosławia i protestantyzmu.

Biskup Sołtyk zrozumiał wreszcie, że Rosjanie nie pozwolą na zrzucenie z tronu Stanisława Augusta i zamierzają przeprowadzić równouprawnienie dysydentów. „Wtedy odezwała się w nim duma, tak jaskrawa wobec swoich, a tak

Ambasador Nikołaj Repnin

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, REPNINE.ORG

tłumiona dotąd wobec potencji rosyjskiej […]. Odezwała się w duszy jego buta przodków, bojarów, którzy nie mogli znieść srogości rządów carskich i łaknęli swobód świata zachodniego, i poczucie godności senatora polskiego, księcia Kościoła, i zapał biskupa, czynnego przed laty na kresach, i… poczucie popełnionych win i błędów" (Skałkowski). Przeciwnicy króla, w tym bp Sołtyk, poniewczasie zorientowali się, że są instrumentalnie wykorzystywani przez ambasadora Repnina.

„Znamy dobrze – mówił bp Sołtyk do Repnina – wspaniałą duszę rosyjskiej monarchini, jesteśmy pełni rekognicji dla jej dobrych intencji przywrócenia starych praw i wolności naszych, ale jesteśmy narodem wolnym i, jeśli nie chcemy znosić samowładczych zachceń naszego króla, to tym bardziej nie możemy poddawać się despotyzmowi obcej władczyni". Wściekły Repnin powiedział wówczas ironicznie biskupowi, żeby w takim razie zebrał armię i wypowiedział wojnę Katarzynie II.

Na zjeździe posłów małopolskich w październiku 1767 r. Sołtyk wypowiedział się krytycznie o obecności wojsk rosyjskich w Polsce, rzekomo posiłkowych. Pytał retorycznie: cóż to za wojsko posiłkowe, skoro Rzeczpospolita żadnej wojny nie prowadzi. A poza tym – obce wojska powinny być „pod komendą narodu", któremu przychodzą – rzekomo – z pomocą.

Gdy w tymże miesiącu jeden z posłów zaprotestował przeciw obecności wojsk rosyjskich, został na polecenie Repnina aresztowany. W Sejmie w październiku 1767 r. bp Kajetan Sołtyk „nie tylko bronił wiary, ale i niepodległości Polski, odrzucał gwarancję rosyjską, potępiał konfederację radomską" (Skałkowski). Sołtyk sprzeciwił się, wraz z innymi – a był wśród nich poseł Józef Wybicki, późniejszy twórca hymny narodowego – żądaniu Repnina, by Sejm wyłonił delegację w celu napisania ustaw, które miały być następnie, i to bez dyskusji, przyjęte przez Sejm. Było to jawne pogwałcenie prawa Sejmu do stanowienia ustaw. Obmyślane przez rosyjskiego ambasadora prawa miały nie tylko zagwarantować równouprawnienie dysydentów, lecz także nienaruszalność liberum veto i wolnej elekcji.

Aresztowanie w pałacu

W nocy z 13 na 14 października 1767 r. bp Sołtyk został aresztowany w domu marszałka Mniszcha. „Repnin zwlekać dłużej nie chciał, bojąc się rosnącego wpływu Sołtyka. Gdy więc do godziny 2 w nocy biskup nie opuszczał pałacu, poseł rosyjski, który wraz z Kreczetnikowem kilkakrotnie wychodził osobiście na zwiady pod pałac marszałkowski, polecił Igelstromowi wziąć rotę grenadierów i zabrać Sołtyka z pałacu przemocą. Igelstrom, wysadziwszy bramę pałacową, wszedł na pokoje marszałkowskie, gdzie Sołtyk, po uprzednim, na odgłos rozbijania bramy, spaleniu niektórych papierów spokojnie oczekiwał aresztowania" (Rudnicki).

Być może Stanisław August wiedział albo przynajmniej domyślał się, że Sołtyk zostanie aresztowany, ale nie mógł czy też może nawet nie chciał temu zapobiec. Biskupa krakowskiego uważał przecież za swojego zaciętego wroga. Po aresztowaniu Sołtyka próbował wprawdzie interweniować, lecz bezskutecznie. Razem z Sołtykiem poszli na zesłanie hetman Wacław Rzewuski, jego syn Seweryn (przyszły targowiczanin) i biskup kijowski Józef Załuski. Spędzili je w większości w Kałudze, gdzie wiele lat później – w 1944 r. – przebywali internowani żołnierze AK z Wileńszczyzny.

Podczas zesłania Sołtyka sterroryzowany przez rosyjskiego ambasadora Sejm uchwalił w 1768 r. nie tylko równouprawnienie dysydentów, lecz także nienaruszalne prawa kardynalne, a wśród nich destrukcyjne liberum veto i wolną elekcję. Aby poniżyć Sejm,

eprasa.pl ffb67b0033

Aresztowanie bp. Kajetana Sołtyka FOT. DOMENA PUBLICZNA

Repnin nie tylko siedział obok króla Stanisława Augusta, lecz także żądania Katarzyny II, do których posłowie mieli się zastosować, przeczytał po rosyjsku, a dopiero potem odczytano tekst po łacinie.

Katarzyna II zdecydowała się wypuścić na wolność Sołtyka dopiero w 1773 r., po stłumieniu konfederacji barskiej (pierwszego polskiego, antyrosyjskiego powstania narodowego). Konfederaci barscy, których jednym z przywódców był inny opozycyjny hierarcha, Adam Krasiński, biskup kamieniecki, walczyli wówczas z wojskami rosyjskimi w imię obrony wolności.

Kajetan Sołtyk został powitany w kraju entuzjastycznie, jak męczennik. Obsypywano go podarkami, pisano na jego cześć wiersze. I liczono, że będzie odgrywał ważną rolę polityczną w oporze przeciw rosyjskiej dominacji. Do takich działań Sołtyk nie był już jednak zdolny – być może złamało go pięć lat zesłania. Niemniej jednak napisał do ambasadora Ottona Magnusa Stackelberga, że Polak głosujący za zaakceptowaniem rozbioru grzeszyłby i byłby „monstrum", czyli potworem.

„Toteż – rozwijał otwarcie swą myśl Sołtyk – nie chcąc aprobacji, nie mogłem chcieć sejmu, nie chcąc sejmu, nie mogłem chcieć sejmików, i z tych przyczyn... dołożyłem jak najusilniejszego starania... do zerwania wszędzie onychże" (Rudnicki).

Było to ostatnie polityczne działanie biskupa senatora. Jak stwierdza Rudnicki, w jego wypowiedziach i listach zaczęła przejawiać się „anormalność". W liście do Stackelberga napisał bowiem, że gdy nadejdzie nowa epoka – zapewne miał na myśli detronizację Stanisława Augusta – będzie prosił go o urząd generała adiutanta dla siebie i wypełni wszelkie rozkazy ambasadora.

W 1774 r. Sołtyk popadł w rodzaj „melancholii". Nie opuszczał przez parę lat pałacu biskupiego, nie przyjmował nawet krewnych. Później jednak wyszedł z tego swoistego letargu, przewodniczył m.in. sądowi duchownemu w sprawie Hugona Kołłątaja, wykładowcy Akademii Krakowskiej, na tle jego sporów z innymi księżmi, odwołał kanclerza księstwa Siewierskiego, ks. Gorzeńskiego za to, że odprawiał mszę w towarzystwie swego pudla. Czy rzeczywiście tak było czy też były to tylko urojenia – nie wiadomo.

Biskup jednak zdradzał oznaki rozstroju psychicznego i – jak pisał Ludwik Łętowski – „od ołtarza znieważał kapłanów, udzielał św. Sakramenty z roztargnieniem gorszącym, iż obawa była o ich ważność". Wdał się w końcu biskup w spory personalne z kapitułą, a ta w 1782 r. uznała go za obłąkanego i zaprosiła do objęcia rządów bp. Michała Poniatowskiego, brata Stanisława Augusta. Nieprawdopodobne, żeby się to odbyło bez konsultacji z monarchą. Nominacja brata króla wzbudziła podejrzenia, że bp Sołtyk nie jest wcale chory na umyśle, a chodzi w tej sprawie o zrobienie miejsca dla Poniatowskiego. Oczywiście stało się to powodem do ataków na Stanisława Augusta.

Biskup Sołtyk wysłał protest do papieża – widać nie był całkowicie nieprzytomny – a członków kapituły obłożył interdyktem. W odpowiedzi zastosowali oni wobec biskupa areszt domowy. Chorobę hierarchy potwierdzili wyznaczeni przez króla komisarze i ostatecznie Sołtyka internowano w pałacu biskupim w Kielcach, gdzie zmarł w 1788 r. Tuż przed śmiercią zwołał księży i powiedział im: „Za pychę, bracia, Bóg mnie słusznie skazał na rozumie, bierzcie z tego naukę". Dwa lata później śląskie księstwo siewierskie należące do biskupów krakowskich od XV w. zostało anektowane przez Rzeczpospolitą.

Prorocze słowa

Aresztowanie bp. Sołtyka na rozkaz Repnina i wywiezienie go do Rosji zszokowało Rzeczpospolitą. Wybitny historyk Szymon Askenazy pisał we wstępie do pracy Kazimierza Rudnickiego o Sołtyku, że był to „pierwszy, niebywały, nieprawdopodobny akt brutalnej przemocy [...] na wolnej Rzplitej i Kościele katolickim w osobie kapłana i senatora polskiego".

Askenazy nazwał wywiezienie Sołtyka aktem bez precedensu, a zarazem precedensem dla działań podobnych, na coraz większą skalę. Tak też się stało. Podczas powstania styczniowego Rosjanie postąpili podobnie z arcybiskupem warszawskim Zygmuntem Szczęsnym Felińskim i biskupem wileńskim Adamem Stanisławem Krasińskim, wywożąc ich na zesłanie. Askenazy pisał te słowa w 1906 r., gdy cały czas trwały carskie zesłania, i cztery dekady przed porwaniem do Moskwy 16 przywódców Polskiego Państwa Podziemnego.

„Pałac Mniszchów". Obraz Bernarda Bellotta Canaletta FOT. ZAMEK KRÓLEWSKI W WARSZAWIE

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

WYBRANA BIBLIOGRAFIA:
Kraszewski J.I., ***„Polska w czasie trzech rozbiorów 1772–1779"***; *Łętowski L.*, ***„Katalog biskupów, prałatów i kanoników krakowskich"***; *Rudnicki K.*, ***„Biskup Kajetan Sołtyk 1715–1788"***; *Skałkowski A.*, ***„O cześć imienia polskiego"***; *Sulima-Kamiński A.*, ***„Historia Rzeczypospolitej Wielu Narodów 1505–1795"***.

eprasa.pl ffb67b0033

Wieki XIX–XXI / Wojna secesyjna wciąż trwa

Niezabliźniona rana Wuja Sama

Zbiegli niewolnicy przed kwaterą gen. Lafayette'a McLawsa

FOT. WIKIPEDIA, YALE UNIVERSITY, AUTOR: MATTHEW BRADY

Grzegorz Janiszewski

Wygrana Unii w wojnie secesyjnej sprawiła, że przed USA otworzyła się droga do światowej hegemonii. Jednak sposób, w jaki 160 lat temu połączono rozdarty kraj, sprawił, że nierozwiązane wtedy problemy do dzisiaj dają o sobie znać

Przed wojną secesyjną Stany Zjednoczone składały się z dwóch bardzo różnych części. Na Północy przyjął się model gospodarczy z szybko rozwijającym się przemysłem i postępującą mechanizacją rolnictwa. Na Południu siłą napędową gospodarki były wielkie plantacje tytoniu, bawełny i trzciny cukrowej. Dla obu części paliwem były tanie zasoby ludzkie. Z jednej strony przybywający masowo imigranci, z drugiej – niewolnicy.

Na Północy wyższe sfery osiągnęły swoją pozycję dzięki pomnażaniu zysków z inwestycji w zaawansowany technologicznie przemysł i usługi – również finansowe. Na Południu również rządził pieniądz. Ogromne dochody przynosiła bawełna. Dzięki zastosowaniu wynalezionej w 1794 r. odziarniarki między rokiem 1801 a 1835 jej eksport wzrósł ze 100 tys. do ponad miliona beli, stanowiąc połowę całego eksportu USA. Gospodarka wpływała na stosunki społeczne. Na szczycie hierarchii stali właściciele największych plantacji, którzy kierowali się specyficznymi zasadami, z honorem i przeświadczeniem o wyjątkowości Południa na czele. Południowy dżentelmen nie musiał parać się pracą, oddając się balom i polowaniom. Niższe klasy starały się ich naśladować. Najcięższe prace wykonywali za nich niewolnicy. Byli nie tylko źródłem taniej siły roboczej, lecz także gwarancją wolności i dobrobytu białych – nawet tych, którzy niewolników nie posiadali.

Różnice między Południem i Północą narastały wraz z ekonomicznymi

eprasa.pl ffb67b0033

sprzecznościami. Cła na wyroby przemysłowe nałożone przez rząd w Waszyngtonie, by wspomóc przemysł na Północy, bardziej uderzały w uboższych mieszkańców Południa. Podobnie było z federalnymi podatkami.

Stawało się coraz bardziej jasne, że funkcjonowanie dwóch kompletnie różnych systemów gospodarczych w jednym państwie jest niemożliwe. Dalsze istnienie zjednoczonych stanów zależało od fundamentalnych zmian gospodarczych. Wybór na prezydenta zdeklarowanego nie tyle abolicjonisty, ile unionisty Abrahama Lincolna w listopadzie 1860 r. przyspieszył ten proces. Do historii przeszły jego słowa: „Jeżeli niewolnictwo nie jest złem, to nic nie jest złem". Nikt jednak nie myślał o skutkach jego zniesienia. Lincoln na spotkaniu z byłymi niewolnikami w 1862 r. poradził im, aby wracali do Afryki. W latach 1861–1862 Kongres przyjął dwie ustawy, uznające zbiegłych niewolników za „kontrabandę wojenną", podlegającą konfiskacie. Nie było natomiast projektów uwłaszczenia ich samych.

Początek kłopotów

Kraj po wojnie był zniszczony i wyczerpany. Bardziej dotknęło to oczywiście Południa. Po przyjęciu przez Kongres XIII poprawki do Konstytucji w styczniu 1865 r., wojska Unii zaczęły ogłaszać Murzynom na południu, że są wolni. Generał Sherman wydał nawet rozkaz nadający byłym niewolnikom po 40 akrów ziemi zabranej plantatorom w okolicach Savannah i muła z zasobów armii, ale nowy prezydent Andrew Johnson szybko go cofnął. Również Kongres stał na stanowisku, że niewolnicy powinni być zadowoleni z tego, że są wolnymi.

Murzyni zostali więc wolnymi ludźmi, właściwie tak jak stali, praktycznie bez żadnego majątku. Nie pozostawało im często nic innego, niż nająć się do pracy u swoich byłych właścicieli. Bycie wolnym czyniło oczywiście kolosalną różnicę. Szybko jednak przekonali się, że od faktycznego niewolnictwa oddziela ich bardzo cienka linia. Tym razem nie prawa, a finansów. Wynagrodzenia oferowane za pracę były niskie, a teraz trzeba było płacić za wszystko: za narzędzia, jedzenie, ubranie, opał na zimę czy lekarstwa i opiekę medyczną. Plantatorzy organizowali własne sklepy, w których sprzedawali towary po zawyżonych cenach. Byli niewolnicy szybko popadali w długi, które musieli bez końca odpracowywać, co nie pozwalało im opuścić plantacji.

Nie lepiej było z ich pozycją polityczną. Kongres co prawda uchwalił poprawki do konstytucji zapewniające, że czarni są równi białym i mają prawo głosować, ale nie trwało to długo. Dopóki prezydentem był Ulysses Grant, dopóty na Południu stacjonowało wojsko, wymuszając przestrzeganie praw czarnych i skutecznie walcząc z Ku Klux Klanem. Jednak od końca lat 70. XIX w. biali zaczęli forsować rozwiązania dyskryminujące czarnych, zwane „prawami Jima Crowa". Część z nich nie różniła się zasadniczo od funkcjonujących we wczesnych demokracjach cenzusów majątkowych czy wykształcenia. Na Południu uderzały one jednak głównie w czarnych, którzy zwykle niczego nie posiadali. Byli też analfabetami – przed wojną odmawiano im przecież edukacji.

Przyjmowanie takich praw wynikało z obaw białych przed przejęciem władzy przez czarną biedotę. W niektórych hrabstwach, nie tylko na głębokim Południu, lecz także np. w Wirginii, czarni stanowili większość populacji, ale przez następne 100 lat liczba uprawnionych do głosowania wśród nich nie przekraczała 5 proc. Inne prawa były czysto rasistowskie. Zabraniały nie tylko małżeństw między przedstawicielami różnych ras czy tworzenia wspólnych szkół. W Georgii czarni fryzjerzy nie mogli zajmować się fryzurami białych kobiet. W Alabamie biali pracujący z czarnymi musieli mieć osobne toalety. Nawet w Maryland, stanie, który nigdy nie wystąpił z Unii, były osobne przedziały w pociągach dla czarnych i białych. Potwierdzały to wyroki Sądu Najwyższego, które akceptowały segregację w sektorze prywatnym, a w publicznym zasadę „rozdzieleni, ale równi". Południe zostało perfekcyjnie podzielone na strefy – lepsze dla białych, gorsze dla czarnych.

Jednocześnie wśród białych na Południu rozwijał się ruch tzw. Lost Cause – mitu „przegranej sprawy". Jego zwolennicy idealizowali przedwojenne Południe, ukazując je jako krainę honoru i rycerskiego etosu, która broniła się przed agresją groszorobów z Północy. Prawdziwą przyczyną wojny miała być drapieżność ekonomiczna Jankesów, a nie niewolnictwo. Generał Lee był genialnym strategiem, niepokonanym w boju, który musiał w końcu ulec przed przewagą ekonomiczną i ludnościową przeciwnika pod dowództwem „rzeźnika" Granta. Na całym Południu powstawały pomniki poświęcone żołnierzom Konfederacji. Nazwiska konfederackich generałów nosiły bazy wojskowe, uczelnie i parki.

Jak zwięźle ujął to podejście historyk Ty Seidule: „Wojna secesyjna toczyła się o prawa stanowe, nie o niewolnictwo, niewolnicy byli lojalni, niewolnictwo skończyłoby się szybko po zakończeniu wojny, obie strony walczyły dzielnie, Północ wygrała ze względu na większe

eprasa.pl ffb67b0033

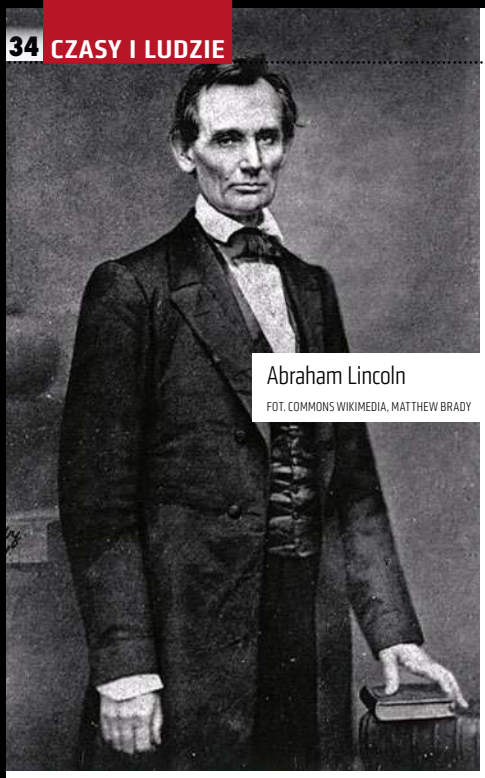

Abraham Lincoln
FOT. COMMONS WIKIMEDIA, MATTHEW BRADY

zasoby, a Robert E. Lee był wielkim wojownikiem, który sprzeciwiał się niewolnictwu".

Miało to m.in. służyć usuwaniu z publicznej dyskusji rozmów o przyczynach wojny i wspieraniu narodowego pojednania w imię rozwoju gospodarczego. Amerykanie mieli patrzeć w przyszłość, jednocześnie pamiętając o swoich bohaterach po obu stronach. Przeszkadzało to niewielu Amerykanom. Czarnoskóry działacz społeczny i komunista W.E.B. Du Bois, podróżując na początku lat 30. XX w. przez Południe, tak opisywał pomniki konfederacji: „Najbardziej przerażającą rzeczą na Południu – jestem o tym przekonany – są pomniki. Okropna rzecz, do zbudowania której zostaliśmy zmuszeni, żeby upamiętnić ofiary".

Powierzchowna orka

Prawa Jima Crowa były stopniowo uchylane przez wyroki Sądu Najwyższego. W wyniku działań i protestów ruchów obywatelskich, w połowie lat 60. XX w., czyli prawie 100 lat po zakończeniu wojny secesyjnej, przyjęta została ustawa o prawach obywatelskich. Jednak aż do lat 70. XX w. czarni podróżujący samochodami przez południowe stany posługiwali się tzw. zieloną książką, zawierającą adresy hoteli, stacji benzynowych i warsztatów, które obsługiwały czarnych. Pozwalało im to uniknąć odmowy świadczenia usług, znieważania, a nawet pobicia w miejscach tylko dla białych.

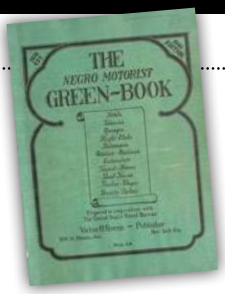

Znoszenie segregacji wywoływało reakcję odwrotną, niż zakładały to władze federalne. Rodzice białych dzieci często natychmiast przenosili je do szkół prywatnych albo sami organizowali szkoły tylko dla białych, korzystając z funduszy stanowych. Przyczyny nie były jedynie rasistowskie. Uczniowie uczęszczający dotychczas do gorszych szkół dla czarnych zaniżali poziom w zdesegregowanych. Często były też do nich przenoszone zachowania typowe dla gett, w których żyli czarni – przestępczość, a potem także narkotyki. Z podobnych powodów osiedlaniu czarnych w centrach miast towarzyszyły często protesty białych, a nawet zamieszki. W odpowiedzi biali rozpoczęli też tzw. white flight, czyli przenosiny na przedmieścia, gdzie żyli w bardziej homogenicznym środowisku. Zwykle też bezpieczniejszym – jeżeli od złych, amerykańskich statystyk kryminalnych odejmie się przestępstwa popełniane przez czarnych i Latynosów, to są one porównywalne z europejskimi.

Zmiany lat 60. XX w. przeorały USA, choć dotyczyły głównie wielkich miast, środowiska akademickiego i artystów. Reszta Amerykanów żyła po staremu, mając swoich bohaterów, muzyków i sportowców. Ustalił się stan równowagi, w którym Amerykanie zainteresowani głównie swoją sytuacją finansową nie wchodzili sobie w drogę w imię tolerancji i zachowania społecznego spokoju. Idee „Lost Cause" przygasły, a południowa tożsamość traktowana była tylko jako wspomnienie chwalebnych, ale na zawsze przebrzmiałych czasów. Pomniki konfederatów stały na swoich miejscach, a na stanowych flagach wciąż powiewał krzyż Południa. W zasadzie sprawa została zamknięta.

Większość – przynajmniej białych – Amerykanów z Południa postrzegała to tak, jak urodzony w latach 80. XIX w. Ryan C. Cordell, profesor na University of Illinois. Wychowywał się w typowej południowej rodzinie z niższej klasy średniej. Jego ojciec był zawodowym żołnierzem, który przenosił się razem z rodziną z garnizonu do garnizonu na Południu i Środkowym Zachodzie. „W salonie naszego domu zawsze wisiały dwa obrazy. Pierwszy przedstawiał modlącego się w namiocie gen. Jacksona, drugi gen. Lee czytającego Biblię małemu chłopcu, który zasnął w jego objęciach. Żaden z odwiedzających nas gości nigdy nie skomentował obrazów. Ojciec nie widział nic dziwnego w konfederackich pomnikach, którymi usiane było Południe. Byliśmy typową południową rodziną, żadnymi białymi suprematystami. Doskonale wiedziałem, że niewolnictwo było złe. Zawsze jednak byłem uczony, aby oddzielać niewolnictwo od bohaterów Konfederacji. Niewolnictwo było złe, ale walczący o jego utrzymanie byli bohaterami. Mogłem być dumny z »dziedzictwa Południa«, nie zwracając uwagi na idee i doświadczenia czarnych, ponieważ niewolnictwo było skończone, a rasizm złem".

Tęcza zamiast lekarza

Sytuacja zmieniła się wraz z powstaniem tzw. Nowych Demokratów i szerszym procesem przekształcania partii politycznych na Zachodzie w ugrupowania skupiające intelektualistów i biznesmenów, oderwanych od szerszej bazy społecznej. Wybrany w 1981 r. na prezydenta republikanin Ronald Reagan zaordynował przeżywającej kryzys amerykańskiej gospodarce neoliberalną kurację. „Reaganomika" – stosowana zarówno przez republikanów, jak i demokratów – pozwoliła na wzrost gospodarczy, ale doprowadziła nierówności majątkowe do monstrualnych rozmiarów. Receptą

Ilustracja z książki Harriet Beecher Stowe „Chata wuja Toma" FOT. DOMENA PUBLICZNA

eprasa.pl ffb67b0033

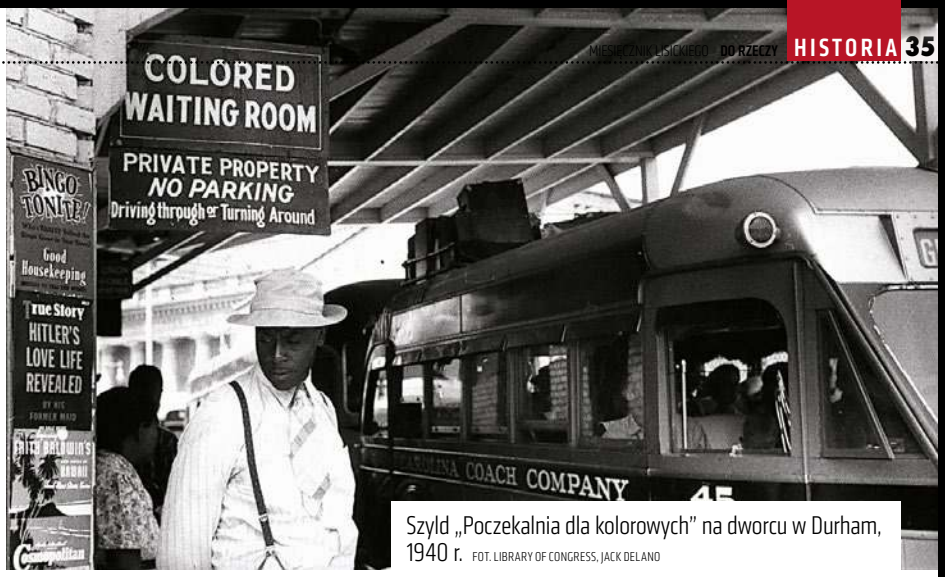

Szyld „Poczekalnia dla kolorowych" na dworcu w Durham, 1940 r. FOT. LIBRARY OF CONGRESS, JACK DELANO

na gospodarcze kłopoty były dalsza deregulacja i liberalizacja rynków. W końcu doprowadziło to do światowego kryzysu gospodarczego w 2008 r.

Wybrany wtedy na prezydenta demokrata Barack Obama szedł do wyborów z progresywnym programem społecznym, zakładającym pomoc uboższym i wyrównywanie szans i nierówności majątkowych. Tymczasem już na początku pierwszej kadencji poparł plan ratunkowy dla sektora finansowego, wsparł też przemysł samochodowy. Jego „rewolucja" w zakresie ubezpieczeń zdrowotnych doprowadziła natomiast do zwiększenia kosztów leczenia.

Nie mogąc spełnić swoich obietnic wyborczych, Obama zaczął uciekać w retorykę dotyczącą praw mniejszości. Umożliwiało to odwracanie uwagi od prawdziwych problemów, a jednocześnie mobilizowało elektorat i ułatwiało rządzenie skłóconym społeczeństwem. Doskonałym celem ataków stali się prawdziwi czy też wyimaginowani zwolennicy „Lost Cause". Żołnierze Konfederacji w ciągu kilku lat z bohaterów walczących o prawa stanowe teraz stali się bandytami broniącymi niewolnictwa. Głównym wrogiem stał się oczywiście gen. Lee.

Począwszy od 2015 r., po strzelaninie w kościele w Charleston, zaczęła się akcja usuwania z miejsc publicznych konfederackich pomników i flag. Spowodowało to reakcję środowisk konserwatywnych. Takie wydarzenia były doskonałym paliwem dla demonstracji organizowanych przez obie strony już podczas prezydentury Donalda Trumpa. W 2017 r. podczas marszu w obronie pomnika gen. Lee w Charlottesville w Wirginii doszło do zamieszek, w których zginęła jedna osoba, a 35 zostało rannych. W zamieszkach, które przetoczyły się przez Stany Zjednoczone po śmierci Georga Floyda w maju 2020 r., zginęło 17 osób, natomiast aresztowano 11 tys. Protestujący plądrowali sklepy, palili policyjne samochody i niszczyli pomniki.

Demonstracje pomogły Joe Bidenowi wygrać prezydenturę. Za jego kadencji promocję mniejszości doprowadzono do absurdalnych rozmiarów. Galerie i muzea zaczęły rozbudowywać ekspozycje dotyczące historii czarnych mieszkańców USA, przede wszystkim z okresu niewolnictwa. Wydawało się, że czarni – stanowiący od czasów wojny secesyjnej niezmiennie ok. 13 proc. społeczeństwa – odegrali główną rolę w historii kraju. Do publicznych instytucji wprowadzano programy „różnorodności i włączania", które zwykle ograniczały się do propagowania równościowych haseł.

Sarkofag gen. Lee w kaplicy uniwersyteckiej w Lexington zaczęto odgradzać murem. Jego pomnik, usunięty z Charlottesville, w tajemnicy przetopiono, wcześniej palnikiem odcinając twarz. Niektóre miasta zaczęły wypłacać czarnym mieszkańcom reparacje za niewolnictwo...

Uśmiech miliarderów

Wszystko to powodowało reakcje uboższych białych, zwykle zwolenników Donalda Trumpa, którzy nie mogli liczyć na takie preferencje. Potomkom żołnierzy Konfederacji, których prapradziadkowie – zwykle nawet nie posiadając ani jednego niewolnika – walczyli i ginęli za swoje małe ojczyzny, wmawiano teraz, że byli oni wcieleniem zła. Powodowało to też radykalizacje zwolenników Partii Republikańskiej i przechodzenie ich na pozycje MAGA, co przyczyniło się do wygrania wyborów prezydenckich przez Trumpa w 2024 r.

Jego druga kadencja zaczęła się zresztą od przywrócenia dawnej nazwy bazie US Army Fort Bragg (Braxton Bragg był konfederackim generałem). Z pewnością nie zakończy jednak amerykańskiej wojny domowej. Przed wyborami tamtejsze konserwatywne media pełne były wezwań do powrotu do amerykańskich wartości i „ducha pionierów". W praktyce będzie to prawdopodobnie powrót do XIX-wiecznych zasad: transakcjonizmu w polityce międzynarodowej, izolacjonizmu i egoizmu społecznego.

Ameryka być może znowu będzie wielka, ale to, czego potrzebuje najbardziej, to normalność, czyli równe szanse w edukacji, ochronie zdrowia i zmniejszenie różnic majątkowych. Doktor Quinn potrafiła wyleczyć nawet wściekliznę, przyjmując pionierów za kilka dolarów w swoim gabinecie. Dzisiaj Amerykanie leczą się często sami, bo nie stać ich na lekarza. Czesne za studia od czasów Reagana wzrosło o 155 proc., a płaca przeciętnego pracownika o zaledwie jedną czwartą.

Z dzisiejszej sytuacji cieszą się obecni na inauguracji Trumpa milionerzy i miliarderzy, którzy pewnie skorzystają na obniżkach podatków dla najbogatszych. Dla gawiedzi pozostaną bajki o przywróconej wielkości Ameryki i jej wartościach. Kolejna szansa na prawdziwe, a nie pozorne rozwiązanie problemów ciągnących się od wojny secesyjnej jest marnowana na naszych oczach. Czego skutki nie tylko dla USA, lecz także całego świata właśnie zaczynamy odczuwać.

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Pomnik gen. Roberta E. Lee w Charlottesville usunięty w 2021 r. FOT. COMMONS WIKIMEDIA, CVILLE DOG

eprasa.pl ffb67b0033

Mansa Musa. Wizerunek z mapy Angelina Dulcerta (XIV w.) FOT. COMMONS WIKIMEDIA

XIV w. / Złoto Afryki

Miliarder z Mali

Anna Szczepańska

Mansa Musa uchodzi za najbogatszego człowieka, jaki kiedykolwiek żył. Jego legenda wzięła się od podróży do Mekki, podczas której rozdał istną fortunę

Każdy muzułmanin przynajmniej raz w życiu musi odbyć pielgrzymkę do Mekki. Hadżdż to jeden z filarów islamu. Wiedział o tym również pobożny muzułmanin Musa, dziewiąty Mansa (władca) Imperium Mali. Jego państwo było bardzo bogate, ale jednocześnie niemal kompletnie nieznane. Podróż do Mekki miała być więc szansą nie tylko na oddanie czci Allahowi, lecz także na pokazanie potęgi, którą mogło się poszczycić rozległe imperium w zachodniej Afryce.

Musa nie ukrywał, że pragnie chwalić się bogactwem, budzić podziw i zazdrość spotykanych po drodze władców i dostojników, którzy na długo mieliby zapamiętać ociekający kosztownościami, liczący kilkanaście–kilkadziesiąt tysięcy osób orszak władcy Mali. Mansa Musa zamierzał rozdać tyle dóbr, ile tylko zdoła. W sumie w ciągu kilku miesięcy przeznaczył na to nawet 18 ton złota. Na zdziwione spojrzenia obdarowywanych ludzi odpowiadał jakby od niechcenia, że przecież w jego państwie złoto wyrasta wprost z ziemi, niczym rośliny. Władca może więc sobie pozwolić na taki gest...

„Złote” wielbłądy

Mansa Musa wyruszył do Mekki w 1324 r. Musiał pokonać ponad 4 tys. km. Organizacja wyprawy z pewnością trwała wiele miesięcy. Nie był to bowiem zwykły królewski orszak, ale de facto całe ruchome miasto. Oprócz arystokratów, uczonych i doradców władcy do Mekki zmierzali niezliczeni żołnierze, heroldowie, tragarze, kupcy, pasterze, poganiacze wielbłądów oraz ponad 12 tys. niewolników. Wszyscy, łącznie z tymi ostatnimi, ubrani byli w drogocenne jedwabie i brokaty – uczestnicy pielgrzymki Musy mieli przecież odzwierciedlać splendor władcy.

eprasa.pl ffb67b0033

W karawanie szło kilkadziesiąt wielbłądów przystrojonych w zdobione pledy, które niosły po kilkadziesiąt kilogramów złotego pyłu. Musa rozdawał go po drodze biedakom oraz włodarzom miast, namawiając ich do budowy meczetów i szkół koranicznych. Za karawaną podążały ponadto bydło, owce i kozy. Orszak był niemal samowystarczalny – zaopatrzono się na wiele miesięcy podróży, wszyscy byli karmieni na koszt władcy.

Przekazy źródłowe podają, że Musa w każdy piątek ofiarowywał pieniądze na budowę nowego meczetu, a ponadto wymieniał złoto na miejscowe wyroby i pamiątki. Jego sława podążała przed nim. Kiedy w lipcu 1324 r. dotarł do stolicy Egiptu, od dawna był tam wyczekiwany. Każdy chciał zobaczyć uginającą się pod złotem karawanę króla pochodzącego z głębi Afryki.

Zanim jednak wkroczył do Kairu, kazał rozbić obóz pod piramidami w Gizie, gdzie przebywał przez trzy dni. 19 lipca przeszedł Nil i dotarł do centrum miasta. Czekał tam na niego mamelucki sułtan, Al-Nasir Muhammad, nie mniej od swych poddanych ciekaw szastającego kosztownościami władcy z dalekiego Mali. Przywódcy wymienili kurtuazyjne powitania, lecz już po chwili doszło do dyplomatycznego zgrzytu. Sułtan uważał się bowiem za władcę stojącego ponad przybyszem z zachodu, więc oczekiwał, że ten mu się pokłoni. Musa odmówił oddania pokłonu, co wywołało oburzenie sułtana. Zapewne tylko dzięki interwencji doradców obydwu władców udało się uniknąć konfrontacji. Mansa Musa zgodził się ostatecznie skłonić przed obliczem sułtana, lecz powiedział, że robi to tylko dla Boga. Po krótkim czasie obaj władcy doszli do porozumienia, a nawet spotykali się na ucztach i wymieniali bogate podarunki.

Podczas trwającego trzy miesiące pobytu w Kairze Musa poznał także innych egipskich dostojników. Korzystał z poruszenia, które wywołała jego wizyta, i wszystkim chętnie opowiadał o swym dalekim państwie. Bardzo wielu mieszkańców Kairu odczuło hojność Mansy Musy. Władca obdarowywał wszystkie napotykane osoby. Kiedy 18 października 1324 r. opuszczał stolicę sułtanatu, cena złota leciała już na łeb. Faktyczna wartość kruszcu, ze względu na jego

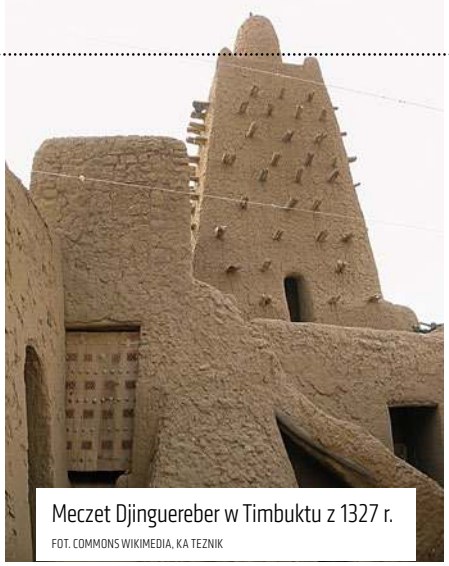

Meczet Djinguereber w Timbuktu z 1327 r.
FOT. COMMONS WIKIMEDIA, KA TEZNIK

nagły, potężny przypływ na rynku, zaczęła gwałtownie spadać. Dla Egiptu był to początek kryzysu gospodarczego, trwającego wedle niektórych ustaleń nawet kilka lat.

Tymczasem Mansa Musa nie przestawał rozdawać drogich prezentów. W dalszej drodze do Mekki obdarowywał kolejnych władców, pielgrzymów i zwykłą biedotę. Hojnie wspierał mieszkańców Medyny oraz Mekki. Wartość złota zdewaluowała się na całym Bliskim Wschodzie na kolejne miesiące.

W Mekce, duchowej stolicy islamu, a później w czasie drogi powrotnej Musa spotkał licznych uczonych, których przekonał do wyjazdu do Mali. Przybycie mędrców dało impuls do rozwoju nauki w całym jego imperium, którego liczne miasta, z Timbuktu na czele, stały się

Sułtan Al-Nasir Muhammad
FOT. COMMONS WIKIMEDIA

z czasem symbolem kultury i oświecenia na mapie średniowiecznego świata islamu.

Wracając do swego królestwa, Musa był w końcu zmuszony ograniczyć rozdawnictwo. Nie dlatego, że stał się biedny – w Mali nadal czekały na niego nieprzebrane bogactwa – ale dlatego, że rzeczywiście rozdał w zasadzie wszystko, co wziął ze sobą. Do tego stopnia, że kiedy dotarł do Suezu, był podobno zmuszony zapożyczyć się u kilku majętnych kupców (nie wiadomo, czy zdążył spłacić swoje długi). Inne przekazy negują jednak konieczność wzięcia pożyczek, wskazując, że Musa chciał w ten sposób jedynie ratować gospodarkę Egiptu, usuwając część złota z obiegu.

W Kairze mógł sobie odbić chwilowe niedogodności dzięki pomocy znajomego sułtana, który w podzięce za ofiarowane wcześniej dary wyposażył orszak na dalszą drogę.

Oświecony władca

Imię Musa to inna wersja imienia Mojżesz. Pochodzące z tradycji islamskiej (a także chrześcijańskiej) imiona były w tamtym czasie częste wśród mieszkańców Afryki Zachodniej. Jego przodkowie nie są dokładnie znani ze względu na nieścisłości w przekazach źródłowych. Możliwe, że ojcem Musy był Faga Leye, a dziadkiem od strony ojca Abu Bakr, a od strony matki Sunjata Kayita, pierwszy władca Imperium Mali (Sunjata mógł być też bratem Abu Bakra).

Musa urodził się na przełomie wieków XIII i XI. Do władzy doszedł, mając ok. 20 lat, kiedy poprzedni Mansa, Muhammad ibn Qu, mianował go swym następcą na czas swej nieobecności. Ósmy Mansa, zafascynowany żeglugą, chciał podobno poznać wybrzeże Oceanu Atlantyckiego. Miał wyruszyć na wyprawę w towarzystwie kilku tysięcy ludzi, lecz nigdy nie powrócił (niektórzy są zdania, że władca Mali dotarł aż do Ameryki Południowej, ale nie ma na to żadnych dowodów). Po jakimś czasie lud okrzyknął „namiestnika" Musę kolejnym władcą. W ten sposób sukcesja przeszła z potomków Sunjaty Kayity na potomków Abu Bakra.

Możliwe, że już w chwili objęcia tronu Musa zaczął planować swą podróż

eprasa.pl ffb67b0033

Manuksrypty astronomiczno-matematyczne z Timbuktu

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, ELIAS ALTMIMI

życia do Mekki. Jednak aby wszystko poszło tak, jak zapragnął, potrzebni byli niewolnicy. Prawdopodobnie m.in. z tego względu Musa uwikłał Mali w wiele konfliktów z sąsiednimi plemionami i miastami. W trakcie kilku lat podbojów Musa miał zająć ponad 20 znaczących miast.

Jednak nie tylko podboje zaprzątały głowę dziewiątego Mansy. Wydaje się, że znacznie większy nacisk kładł on na rozwój swojego państwa; w dzisiejszych czasach nazwalibyśmy go może nawet mecenasem sztuki. Islamski kronikarz Ibn Chaldun twierdził, że Musa „był prawym człowiekiem i wielkim królem, a opowieści o jego sprawiedliwości są opowiadane do dziś".

Musa promował zakrojony na szeroką skalę program budowlany zarówno w swoich „starych" miastach, jak i w nowo zajętych ośrodkach. Płacił za wznoszenie meczetów, szkół, bibliotek, medres. Najbardziej znane budowle to ośrodek naukowy i meczet Djinguereber oraz szkoła teologiczna Sankore, które znajdują się w Timbuktu. Miejsca te istnieją do dzisiaj i znane są jako Uniwersytet Sankore albo Uniwersytet w Timbuktu.

W tym samym mieście za panowania Musy powstała też Sala Audiencyjna przy rozbudowywanym pałacu królewskim. Budownictwo stało na wysokim poziomie. Wiele budowli wznoszono z ciosanego kamienia, wnętrza zdobiono złotem i srebrem. Nadzór nad projektami architektonicznymi sprawowali specjaliści sprowadzeni do Mali z Andaluzji i Kairu, w tym słynny Abu Ishaq al-Sahili odpowiedzialny za rozbudowę Timbuktu.

W czasach panowania Musy w Imperium Mali rozwijały się dziesiątki miast. Nieprzypadkowo jednak tak często przy jego imieniu pojawia się Timbuktu. To on uczynił je nie tylko stolicą swojego imperium, lecz także stolicą teologii muzułmańskiej w Afryce, centrum handlowym i mekką artystów pochodzących z całego świata islamu. Do stolicy Mali przybywali m.in. matematycy, astronomowie, pisarze, poeci i uczeni w prawie koranicznym z terenów dzisiejszej Nigerii, Egiptu i Bliskiego Wschodu. Sława Timbuktu przekroczyła wkrótce granice Czarnego Lądu. O egzotycznych bogactwach tego miejsca rozprawiano w Italii czy na Półwyspie Iberyjskim. W końcu w Timbuktu zaczęli pojawiać się kupcy z Wenecji i Genui.

W 1330 r. ludność Mossi zaatakowała Timbuktu, lecz w niedługim czasie Musa odbił miasto. Po tych wypadkach umocnił je i zbudował w środku kamienny fort. Dziś trudno sobie nawet wyobrazić, jak Timbuktu mogło wyglądać za panowania Mansy Musy. Aż do połowy XIX w. to malijskie miasto stanowiło symbol afrykańskiego eldorado i cel podróży licznych europejskich poszukiwaczy przygód i odkrywców. Współcześnie Timbuktu jest już jednak tylko cieniem samego siebie.

Mansa Musa zmarł najpewniej w roku 1337. Niektóre podania wskazują, że już po powrocie do Mali rozmyślał jeszcze o kolejnej pielgrzymce do Mekki, gdyż pragnął zostać tam na stałe, ale nie zdążył już tej podróży zorganizować.

Następcą Musy został jego syn Magha (Maghan), który niedługo został zdetronizowany przez swojego wuja Sulejmana. Panowanie tego władcy osłabiło Imperium Mali, które nigdy nie wróciło już do potęgi z czasów Musy. Choć państwo przez kolejne trzy wieki wciąż istniało, to jego terytorium było stopniowo okrawane przez rosnących w siłę sąsiadów, w tym Imperium Songhaju, Królestwo Denanke czy Królestwo Mossi. Ostateczny upadek dawnego państwa Mali przyszedł ok. 1670 r., kiedy zostało ono

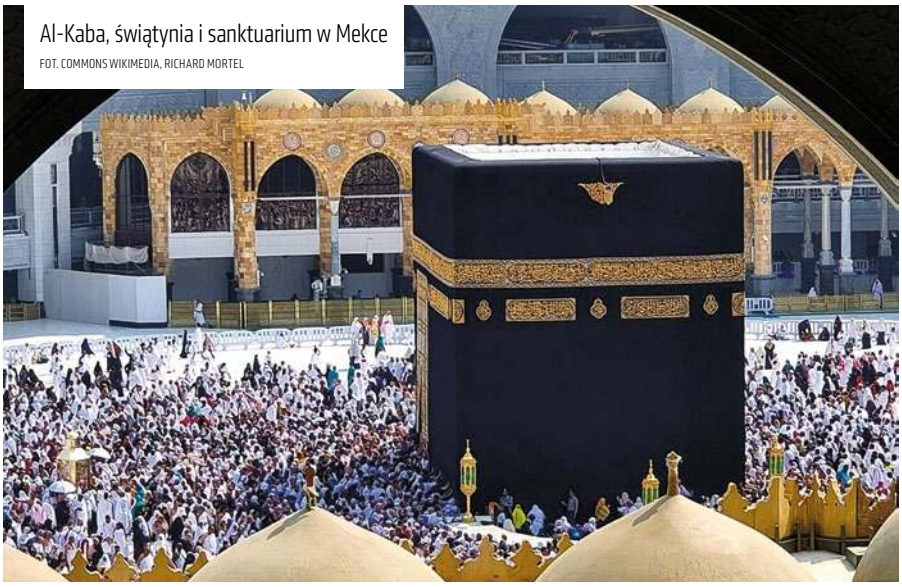

Al-Kaba, świątynia i sanktuarium w Mekce

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, RICHARD MORTEL

eprasa.pl ffb67b0033

rozbite na pojedyncze wodzostwa przez Imperium Bamana.

Nie tylko złoto

Dziewiąty Mansa zapisał się – oczywiście głównie ze względu na swą ekstrawagancką podróż do Mekki – w pamięci muzułmańskich dziejopisów: Al-Umariego i Ibn Chalduna. Informacje o jego życiu przekazywali także autorzy XVII-wiecznych manuskryptów sporządzonych w Timbuktu: Tarikh Ibn al-Mukhtar i Tarikh al-Sudan.

Dzięki muzułmańskim historykom informacje o bajecznie bogatym władcy Mali dotarły do Europy. Już w połowie XIV w. Musa był znany w Europie Zachodniej. Z 1375 r. pochodzi jego wizerunek umieszczony w Atlasie Katalońskim – mapie świata sporządzonej na zlecenie Piotra IV Aragońskiego, króla Aragonii, Sardynii i Korsyki. Na mapie Afryki Musa został ukazany jako siedzący na tronie czarnoskóry władca w złotej koronie ze złotą monetą w ręku. Taki obraz Musy był z pewnością odbiciem opowieści o nim, które od kilku dekad krążyły po świecie.

Przypuszcza się, że Mansa Musa sprawował przez pewien czas kontrolę nad połową zasobów złota w Afryce. W jego państwie wydobywano je głównie w Bambuk i Bure na południu kraju. Bogactwo nie brało się jednak tylko z wydobycia tego kruszcu. Musa bogacił się także na handlu solą czy przyprawami, a w dużej mierze również na handlu niewolnikami. Przez Imperium Mali prowadziły liczne trasy kupieckie zaczynające się na dalekiej północy. Przewożono nimi nawet tak luksusowe dobra, jak jedwab, kość słoniowa i ceramika. Dochody z kontroli nad szlakami handlowymi stanowiły pokaźną część majątku władcy. Znaczna część zysków pochodziła też z opodatkowania handlu miedzią.

Imperium Mali zaczęło się rozwijać za panowania wuja (lub dziadka) Mansy Musy – Sunjaty Keyity. Władca odziedziczył państwo, które obejmowało wchłonięte już wcześniej dawne Imperium Ghany, a także część dzisiejszych Senegalu, Mauretanii, Burkina Faso, Nigru, Gambii, Gwinei Bissau, Gwinei i Wybrzeża Kości Słoniowej oraz południową część Mali. Za panowania Musy obszar państwa jeszcze się powiększył. Dziewiąty Mansa włączył w swoje granice ważne ośrodki miejskie i kulturalne, jak Gao i Timbuktu. W tym ostatnim rozpoczął budowę znanego do dziś charakterystycznego meczetu Djinguereber.

A czy poddani Musy byli nim tak samo zafascynowani, jak islamscy historycy czy kairscy kupcy? Wydaje się, że wręcz przeciwnie. Ludność żyjąca na terenach, które znajdowały się pod jego władzą, nie wspomina Musy przesadnie często, przynajmniej w porównaniu z innymi władcami tego państwa, co może stanowić wskazówkę, że Musa nie był uznawany za wybitnego przywódcę. Poza tym wielu griotów, bajarzy historyków przekazujących w formie śpiewanej opowieści o dawnym Mali (pieśniarze ci to postacie charakterystyczne dla Afryki Zachodniej; w Mali znani są też jako „jeli"), często krytykowało Mansę Musę za odwrócenie się od tradycji, porzucenie istniejących wcześniej zwyczajów czy też po prostu za marnotrawienie bogactwa Mali, którego ogromną część miał rozdać w czasie swojej pielgrzymki do Mekki.

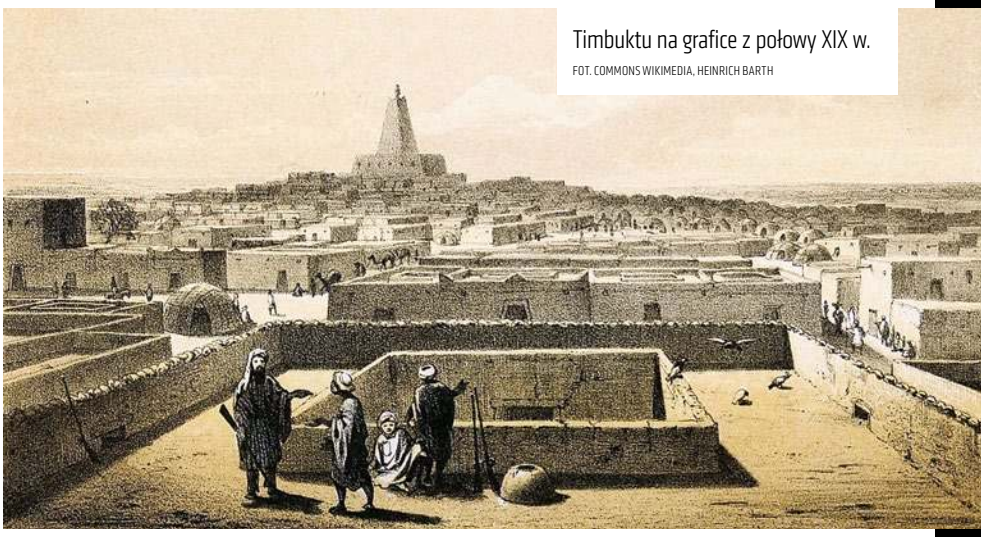

Timbuktu na grafice z połowy XIX w.

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, HEINRICH BARTH

Najbogatszy?

A czy Mansa Musa był faktycznie aż tak majętny, że można uznać go za najbogatszego człowieka w dziejach? To pytanie pojawia się w ostatnich latach bardzo często. Historia podróży Musy do Mekki rzeczywiście daje powody, aby tak sądzić. Wartości majątku Musy nie da się jednak dokładnie określić. Nie chodzi tylko o zmieniające się na przestrzeni lat ceny złota i innych kruszców, ale przede wszystkim o to, że nie jesteśmy nawet w stanie podać dokładnie, jak rozległe było Imperium Mali, a w konsekwencji, jak wielki obszar i ile szlaków handlowych kontrolował Musa, choć z całą pewnością jego państwo było potężne i liczono się z nim w Afryce. Czy można przyjąć, że do niego, jako swoistego władcy absolutnego, należała każda rzecz w państwie? Na tej podstawie można by postawić tezę, że faktycznie mógł być to najbardziej majętny człowiek w historii. Czy jednak jesteśmy w stanie rozdzielić majątek osobisty władcy od majątku państwa?

Bez względu jednak na to, czy Mansa Musa faktycznie był najbogatszym człowiekiem wszech czasów czy znajdowałby się niżej w tym rankingu, jest on postacią godną uwagi. Musa to symbol tego, z czego Afryka może być dumna. I nie chodzi tu o nazbyt kosztowną pielgrzymkę do Mekki, ale o podejście do sprawowania władzy, liczne inwestycje w edukację i rozwój życia naukowego oraz kulturalnego. Szkoda, że sami Afrykanie tak rzadko odwołują się do swoich korzeni, biorąc niekiedy na sztandary XX-wiecznych watażków, zamiast może i nieco legendarnych, ale jednak mających wizję rozwoju państwa władców z dawnych wieków.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl ffb67b0033

10 marca 1944 r. / „Pociski jak paciorki różańca”

Żołnierze AK i BCh w Sahryniu

FOT. COMMONS WIKIMEDIA

Masakra w Sahryniu

Arkadiusz Karbowiak

Polskie podziemie dokonało tam największej zbrodni, jaką można mu przypisać w trakcie całej wojny. Wbrew obiegowym opiniom Sahryń nie był ufortyfikowaną bazą UPA – ponad połowę z 606 zamordowanych we wsi Ukraińców stanowiły kobiety i dzieci

W marcu 1944 r. oddziały Armii Krajowej oraz Batalionów Chłopskich przeprowadziły, głównie na Hrubieszowszczyźnie, serię ataków na ok. 50 ukraińskich miejscowości. Wydarzenia te przeszły do historii jako „rewolucja hrubieszowska”. Zasadniczym celem tych akcji miała być eksterminacja ukraińskiej ludności cywilnej, a przy okazji zniszczenie funkcjonujących w niektórych wsiach konspiracyjnych struktur OUN-B-UNS oraz legalnej samoobrony ChLS (Chełmskiego Legionu Samoobrony).

Zastosowanie tak drastycznych metod miało wzbudzić przerażenie i sparaliżować miejscowe, bardzo słabe struktury OUN-B, a tym samym nie dopuścić do rozpętania na Lubelszczyźnie fali masowych mordów, jak na Wołyniu i w Galicji Wschodniej. Głównymi inicjatorami operacji byli oficer AK z Obwodu AK Hrubieszów, por. Stefan Kwaśniewski „Wiktor”, oraz komendant tegoż obwodu kpt. Marian Gołębiewski „Ster” (znany też jako „Korab”). Wsparcia temu drugiemu udzieliły oddziały tomaszowskiej AK oraz oddział Batalionów Chłopskich kpr. Stanisława Basaja „Rysia”.

Pomysł przeprowadzenia „rewolucji hrubieszowskiej” zyskał również akceptację komendanta Inspektoratu Zamojskiego AK i Komendy Okręgu AK Lublin. Jego realizacja (od 9 marca do 2 kwietnia 1944 r.) pociągnęła za sobą śmierć 2073 Ukraińców. W liczbie tej mieści się niewielu poległych, w zdecydowanej większości ofiary były bowiem zamordowane.

Nie ulega wątpliwości, że ta antyukraińska operacja zaostrzyła konflikt polsko-ukraiński tlący się od wielu miesięcy na Lubelszczyźnie. Pierwszy poważny i zauważalny wzrost napięcia we wzajemnych relacjach miał miejsce zimą–wiosną 1943 r. w związku z roz-

eprasa.pl ffb67b0033

Wypędzanie Polaków z Zamojszczyzny podczas niemieckiej „Aktion Zamość", przełom lat 1942 i 1943 FOT. COMMONS WIKIMEDIA

Ukraiński Chełmski Legion Samoobrony na Hrubieszowszczyźnie FOT. DOMENA PUBLICZNA

poczętą przez Niemców na Zamojszczyźnie akcją przesiedleńczą. Okupanci włączyli wówczas w nią, przymusowo, Ukraińców, uznając, że planowany na Zamojszczyźnie niemiecki pas osiedleńczy powinien być chroniony obszarem zasiedlonym przez ludność ukraińską.

Współpracujące z Niemcami Ukraińskie Komitety Pomocowe (UDK), będące terenowymi agendami UCK (Ukraiński Komitet Centralny), starały się minimalizować dolegliwości związane z przesiedlaniem swych rodaków do nowych miejsc zamieszkania. Nie dysponując siłami policyjno-wojskowymi, nie były jednak w stanie uchronić ich przed atakami ze strony polskiego podziemia. Tymczasem odziały AK i BCh zaczęły uderzać w nasiedlone przez Niemców wsie, czemu towarzyszyły akcje likwidacyjne działaczy ukraińskich pracujących w różnych powołanych za zgodą okupantów ukraińskich instytucjach. Ginęli więc sołtysi, agronomowie, nauczyciele, spółdzielcy, księża, członkowie UDK. Pod hasłami walki z kolaborantami zaczęto metodycznie wybijać przedstawicieli ukraińskiej inteligencji.

Z biegiem czasu akcję rozszerzono na członków ich rodzin, a następnie na zwykłych cywili (początkowo mężczyzn, a potem także kobiety). Polskie podziemie zainicjowało także akcję palenia wsi zasiedlonych przez Ukraińców (osadzono ich w gospodarstwach należących wcześniej do Polaków). Tylko w maju 1943 r. w atakach w miejscowościach Mołożów, Tuchanie i Strzelce spalono 176 gospodarstw i zabito 43 ukraińskich chłopów (Ukraińcy odpowiedzieli na te ataki tylko raz w Nabrożu, zabijając pięciu Polaków).

Można odnieść wrażenie, że lubelskie agendy Polskiego Państwa Podziemnego uwierzyły, iż Ukraińcy wraz z Niemcami współdecydowali o Aktion Zamość i Ukraineraktion czy o użyciu do przesiedleń policji ukraińskiej, co oczywiście było mylnym wyobrażeniem.

Sahryń na celowniku

Kolejna faza drastycznych wydarzeń nastąpiła jesienią 1943 r., co miało związek z napływającymi z Wołynia uchodźcami, opowiadającymi o horrorze masowych mordów. Te informacje wpłynęły na brutalność działań polskiej partyzantki. Dodatkowo spotęgowały ją ataki ukraińskiego podziemia na Polaków dokonywane przez nieliczne bojówki OUN-UNS lub ukraińskich policjantów związanych z OUN-B. Przykładem są mordy na Polakach popełnione 3 października 1943 r. w Wasylowie Wielkim (13 ofiar), 15 października w Stajach (9 ofiar) czy w nocy z 15 na 16 grudnia w Starej Wsi (25 zamordowanych Polaków).

Z kolei polskie podziemie dokonało 1 października 1943 r. mordów we wsi Pasieki, gdzie oddział hrubieszowskiej AK por. Stefana Kwaśniewskiego „Wiktora" zabił 14 Ukraińców (w tym trzy kobiety i dwoje dzieci). W nocy z 21 na 22 października 1943 r. w Mirczach oddział BCh Stanisława Basaja „Rysia" zabił 29 osób (w tym 12 kobiet i jedno dziecko), a 27 października 1943 r. oddział AK por. Józefa Śmiecha „Ciąga" zabił w Mołodiatyczach 16 osób (w tym pięć kobiet i czworo dzieci). Cechą charakterystyczną tych zbrodni było to, że zabijano również dzieci, co wcześniej się nie zdarzało.

Na początku 1944 r. na Lubelszczyźnie pojawiła się sotnia UPA z Wołynia. Zbrodnia popełniona przez nią w nocy z 2 na 3 lutego 1944 r. w Prehoryłe skłoniła niektórych dowódców AK do postawienia radykalnych postulatów. Porucznik Stefan Kwaśniewski „Wiktor", przedstawił swemu zwierzchnikowi kpt. Marianowi Gołębiewskiemu „Sterowi" propozycję przeprowadzenia operacji skierowanej przeciwko Ukraińcom. Po latach wspominał: „Pierwszy raz w historii oręża polskiego postanowiliśmy działać na płaszczyźnie pełnej brutalności".

Ta sugestia spotkała się z pełnym zrozumieniem Gołębiewskiego. Jako cele ataku wybrano wsie, które uważano

eprasa.pl ffb67b0033

Upamiętnienie partyzantów i polskich ofiar pacyfikacji Smoligowa 27 marca 1944 r. FOT. COMMONS WIKIMEDIA, EDCIECH

za ufortyfikowane bastiony ukraińskiego nacjonalizmu. Za taką miejscowość uznano m.in. Sahryń. Rankiem 9 marca 1944 r. w lesie Lipowiec nieopodal Tyszowic pojawiły się siły gotowe do rozpoczęcia działań. Na dowódcę grup szturmujących tę miejscowość został wyznaczony por. Zenon Jachymek „Wiktor". W związku z rozkazem zabijania cywilów postanowił on wzmocnić motywację swoich podwładnych i uodpornić ich na wątpliwości. W tym celu udał się wraz z nimi do miejscowości Miętkie, gdzie Ukraińcy dokonali mordów na Polakach. Jak się okazało, zbrodni dopuścili się policjanci z posterunku Ukraińskiej Policji Pomocniczej (UPP) w Sahryniu. Zabójcami kierował Michał Struk, funkcjonariusz UPP i tłumacz niemieckiej żandarmerii, a po wojnie ksiądz rzymskokatolicki i jednocześnie tajny współpracownik SB występujący pod kryptonimem Ostrożny. Nie był to jedyny „wyczyn" jego i współpracującej z nim grupy policjantów, którzy w ten sposób ukształtowali negatywną opinię o sahryńskim posterunku. Jego komendantem był nieuczestniczący w tych działaniach, powiązany z OUN-B, późniejszy dowódca sotni M-1 i M-3 w kureniu Mesnyky (Mściciele) por. Iwan Szymański „Szum".

Kula w szyję

Sahryń, wbrew obiegowym opiniom, nie był ufortyfikowaną bazą Ukraińskiej Powstańczej Armii. We wsi nie stacjonowała wówczas żadna sotnia UPA, a takowych w dniu rozpoczęcia „rewolucji hrubieszowskiej" na Lubelszczyźnie w ogóle nie było. W miejscowości tej przebywała natomiast pewna grupa członków Chełmskiego Legionu Samoobrony. Ponadto we wsi ukrywało się kilku lub kilkunastu dezerterów ze złożonego z Ukraińców 5. Ochotniczego Galicyjskiego Pułku SS i Policji.

Sahryń został zaatakowany 10 marca 1944 r. o godz. 4.30. Wieś wypełnioną uciekinierami z innych miejscowości ostrzelano pociskami zapalającymi. Opór stawili przede wszystkim ukraińscy policjanci. Część z nich, wraz z komendantem, przebywała poza posterunkiem i udało im się przerwać pierścień okrążenia i przebić do Werbkowic, a następnie dotrzeć do Hrubieszowa. Potwierdza to niemiecki meldunek: „W nocy 10.03.44 bandyci zaatakowali ukraińskie wsie Sahryń, Miętkie i Turkowice, mieszkańców wymordowano, a wsie spalono. Posterunek policji ukraińskiej został zaatakowany karabinami maszynowymi, ale nie mógł się przebić na drugą stronę. Część załogi 10.03.44 r., około 7.30, dotarła do Hrubieszowa".

Policjanci, którzy zostali we wsi, bronili budynku posterunku, na którym znalazła się też pewna grupa cywilów. Według por. Zenona Jachymka „Wiktora" w sumie były tam 22 osoby, w tym dwie kobiety. Wszyscy ci ludzie zginęli. Zina Małymon, która była świadkiem zdobycia posterunku, uszczegółowiła przekaz „Wiktora": „Kobiety i dzieci zgonili na dół, a na strychu zapalili ogień. Pytali kobiety o kenkarty, a która pokazała, zabijali na miejscu".

Poza posterunkiem opór AK-owcom stawiono w rejonie cmentarza oraz cerkwi. Trudno powiedzieć, ilu ludzi się tam broniło. Według historyków członkowie ChLS posiadali we wsi ok. 60–70 sztuk broni. Straty poniesione przez szturmujących (jeden zabity, dwóch–trzech rannych) wskazują, że albo we wsi nie było tylu sztuk broni, albo obrońcy nie zdążyli jej użyć, albo nie posiadali wystarczającej ilości amunicji.

Po opanowaniu Sahrynia partyzanci rozpoczęli masakrowanie mieszkańców. Często przywoływana jest tu relacja por. Jachymka „Wiktora", która zdaniem wielu wskazywać ma na wydanie przez niego rozkazów mających oszczędzić cywilów. On sam wspominał: „Wysyłam gońców po liniach z rozkazem, by oszczędzać ludność cywilną. Przed akcją zostały wydane też takie rozkazy. Zawsze u nas obowiązywały i ściśle były przestrzegane. Zdaję sobie sprawę, że w Sahryniu nie wszyscy się do nich zastosowali".

O tym, że relacja Jachymka jest zwykłą konfabulacją niemającą nic wspólnego z rzeczywistością, przekonują nas relacje ukraińskich cywilów. Jedną z najbardziej przejmujących przekazała ponad miesiąc po tych wydarzeniach Anastazja Szufel: „Moja 12-letnia córka na widok bandytów zemdlała. Bandyci kazali ojcu polać ją wodą. Ojciec uczynił to i doszła ona do siebie. Prosiła, by darowali jej życie, bo jest młoda i chce żyć… Wtedy bandyci strzelili do mojego ojca, który szybko skonał, potem do mojej mamy… Zaraz po tym zabrali się za moją córeczkę, która rzuciła mi się na szyje, prosząc o wybaczenie wszystkiego… Jeszcze raz zwróciła się do napastników i błagała o litość. Wtedy dostała kulę w szyję… szybko skonała". W sumie 10 marca

Stanisław Basaj „Ryś" – na karym koniu FOT. COMMONS WIKIMEDIA, EDCIECH

eprasa.pl ffb67b0033

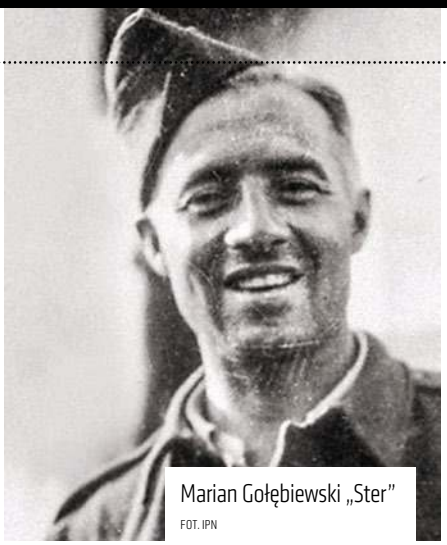
Marian Gołębiewski „Ster"
FOT. IPN

1944 r. w Sahryniu zginęło 606 osób (niektóre poległy w walce), w tym 151 dzieci i 231 kobiet. Wśród pomordowanych było kilkoro Polaków, zabitych przypadkowo jako Ukraińcy.

Szychowice w ogniu

Sahryń nie był jedyną wsią spacyfikowaną tamtego dnia. Polskie podziemie dokonało też masakry w Szychowicach, gdzie zabito 138 osób. O tym, jak uczestniczący w ataku polscy partyzanci potraktowali ukraińską ludność cywilną, opowiadał partyzant BCh o pseudonimie Grzmot: „W czasie tej akcji zginęło wiele osób cywilnych narodowości ukraińskiej. Nie jestem w stanie podać liczby osób, które zginęły w tym dniu w Szychowicach, ale było wśród nich wiele kobiet i starców. Ginęły osoby, które zostały napotkane w trakcie akcji bez względu na wiek, jak i płeć. Szczególnie oddział AK, który z tego, co wiem, przybył zza Buga… nie pozostawiał nikogo przy życiu, kogo napotkał na swojej drodze".

Tym oddziałem była współdziałająca z BCh grupa dowodzona przez ppor. Jana Ochmana „Kozaka". Przybyła ona z Wołynia, gdzie w Iwoniczach Ochman zorganizował grupę samoobrony uzbrojonej przez Niemców i traktowanej jako jednostka policji lub żandarmerii. Ochman zdezerterował ze służby niemieckiej na początku lutego 1944 r. Dramatyczne przeżycia z Wołynia, gdzie on i jego podkomendni byli świadkami eksterminacji polskiej ludności, spowodowały, że w czasie akcji antyukraińskiej oddział „Kozaka" wykazywał się największą bezwzględnością.

Podczas ataku na Szychowice por. Stefan Kwaśniewski „Wiktor" lub któryś z jego podkomendnych w kryjówce bunkrze miejscowej bojówki UNS (Ukraińska Ludowa Samoobrona) znalazł dokumenty, z których wynikało, że 16 marca na Lubelszczyznę wkroczyć ma sotnia UPA. Po latach „Wiktor" pisał: „Nie potrafię powiedzieć, co mnie pchało, co było motorem oporu w wyznaczeniu właśnie na dzień 10 marca 1944 akcji na Sahryń, Szychowice, Łasków… Pod zdobyciu dokumentów ukraińskich w Szychowicach, przestudiowaniu ich zorientowałem się – była to siła wewnętrzna wyczuwająca niebezpieczeństwo wiszące nad życiem Polaków w tym regionie po 10 marca 1944".

W tym kontekście w polskich publikacjach często pojawiają się sugestie, że polska akcja przeciwukraińska stanowiła uderzenie wyprzedzające atak UPA. To oczywiście nieprawda, skoro dokumenty znaleziono dopiero 10 marca, już w trakcie przeprowadzania operacji. Nie można jednak wykluczyć, że akcja antypolska na Lubelszczyźnie była planowana i że rozkazy przeprowadzenia jej rzeczywiście mogły zostać wydane na początku stycznia 1944 r. Niestety, z powodu braku konkretnej wiedzy możemy w tej materii jedynie snuć hipotezy.

Trzecią dużą ukraińską wsią zaatakowaną 10 marca 1944 r. był Łasków. Wymordowano w niej wszystkich mieszkańców. W tej niezwykle krwawej akcji przeprowadzonej m.in. przez oddział kpr. Stanisława Basaja „Rysia" zamordowano 326 Ukraińców. Potwierdza to zapis zawarty w kronice oddziału wskazujący, że ze wsi „nikt żywy nie wyszedł".

MARIUSZ SAWA
„POCISKI JAK PACIORKI RÓŻAŃCA"
KOLEGIUM EURUPY WSCHODNIEJ IM. JANA NOWAKA JEZIORAŃSKIEGO

„Całkowita przegrana"

„Rewolucja hrubieszowska" nie zapewniła bezpieczeństwa Polakom żyjącym na tamtych terenach. W połowie marca 1944 r. na Lubelszczyźnie pojawiły się wołyńskie i galicyjskie sotnie UPA, zabijając ok. 1,2–1,5 tys. Polaków. Celną krytykę wobec tej akowsko-bechowskiej akcji (choć o udziale BCh słowem nie wspomniał) sformułował oficer BCh por. Józef Błasiak „Grom": „Inspirowane przez okupanta niemieckiego walki narodowościowe na terenie Obwodu nr 5 Batalionów Chłopskich przyniosły stronie polskiej całkowitą przegraną... Ten smutny stan rzeczy przypisać należy nie tylko przewrotnej inspiracji okupanta niemieckiego oraz nienawiści i barbarzyństwu Ukraińców – jak to się powszechnie sądzi – i całkowicie błędnej taktyce stosowanej w tej walce przez czynniki wojskowe polskie. Nasze stanowisko w tej sprawie było takie: zorganizować samoobronę wsi polskich i nie przeprowadzać akcji zaczepnych w stosunku do wsi ruskich, a uderzać w poszczególne jednostki, które akcją Ukraińców kierują. Tymczasem ZWZ, początkowo idący po tej linii, zmienił taktykę i zaczął stosować akcje odwetowe przez palenie pierwszych z brzegu wsi ruskich i mordowanie ich mieszkańców przy pomocy ściągniętych w tym celu ludzi z powiatu tomaszowskiego".

Pomnik ofiar pacyfikacji Sahrynia
FOT. COMMONS WIKIMEDIA, LORAINE

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Artykuł powstał w znacznej mierze na podstawie informacji zaczerpniętych z książki dr. Mariusza Sawy pt. „Pociski jak paciorki różańca", która właśnie ukazała się na rynku wydawniczym. Jest to pierwsza publikacja prezentująca wieloaspektowo problematykę największej zbrodni polskiego podziemia dokonanej podczas drugiej wojny światowej.

eprasa.pl ffb67b0033

1888–1976 / Opuszczony dowódca ze Stalingradu

Walther von Seydlitz-Kurzbach (z lewej) i Friedrich Paulus pod Stalingradem

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, BUNDESARCHIV

Tajemnice gen. von Seydlitza

Piotr Semka

Ten świetny sztabowiec najpierw robił wszystko, by nie dopuścić do okrążenia niemieckich wojsk. Gdy jednak w końcu trafił do niewoli, gen. von Seydlitz zaczął służyć Sowietom w najgorszym możliwym stylu, stając się dla swoich byłych kolegów z Wehrmachtu obiektem pogardy

Gdy 28 kwietnia 1976 r. niemiecki generał Walther von Seydlitz-Kurzbach umierał w zachodnioniemieckiej Bremie, otaczały go pustka i zapomnienie. Tymczasem jeszcze dwie dekady wcześniej ta postać bulwersowała wielu Niemców. Bardzo często określano go mianem zdrajcy, który podeptał wojskowy honor i którego podejrzewano, że wciąż może utrzymywać kontakty z sowieckimi służbami. Ten arcypruski generał przeżył w piekle Stalingradu upadek świata, w który wierzył. A potem, już w niewoli, zasypywał Stalina ofertami walki pod jego dowództwem. Dlaczego więc na koniec zrobił coś, co skłoniło Sowietów do wtrącenia go do najcięższych więzień?

Ród von Seydlitzów wywodzi się z Westfalii i na karty historii trafił już w XIII stuleciu. W epoce rządów króla Prus Fryderyka II Hohenzollerna rębajło Friedrich Wilhelm von Seydlitz był legendarnym dowódcą kawalerii pruskiej. Straceńcze szarże von Seydlitza w pierwszej i drugiej wojnie śląskiej, a potem w wojnie siedmioletniej wywindowały go do statusu ulubieńca „starego Fryca". Wilhelm von Seydlitz wychodził cało nawet z tych ataków na wroga, które wyglądały jak mieszanina szaleństwa z bezczelnością. I właśnie w kulcie swego wielkiego przodka z epoki „starego Fryca" wyrastał urodzony w 1888 r. w Oławie na Śląsku Walther von Seydlitz, pruski dowódca artylerii.

Już w czasie pierwszej wojny światowej zyskał sławę dzięki odwadze – aż cztery razy był ciężko ranny. W okresie Republiki Weimarskiej służył w 2. pułku artylerii w Schwerinie. Oficer cieszył się bardzo dobrą reputacją i tuż przed kolejną wojną mógł się już pochwalić stopniem pułkownika i funkcją dowódcy 22. pułku artylerii. Dla takich jak von Seydlitz dojście do władzy Adolfa Hitlera było spełnieniem wieloletnich marzeń o rozbudowie sił zbrojnych i o błyskotliwych karierach.

eprasa.pl ffb67b0033

Drugą wojnę światową zaczyna w mało dramatyczny sposób – jego jednostka pilnuje granicy z neutralną Holandią. Więcej emocji przynosi mu objęcie 1 grudnia 1939 r. (w randze generała majora) 12. Meklemburskiej Dywizji Piechoty. W maju 1940 r., podczas kampanii francuskiej, jego dywizja dokonuje przełamania Linii Maginota, a następnie przekracza rzekę Sommę. Za kampanię francuską zostaje odznaczony Krzyżem Rycerskim Krzyża Żelaznego.

Upadek armii

22 czerwca 1941 r. bierze udział w inwazji na Związek Sowiecki. Szybko zdobywa prestiż wśród dowódców działających na froncie wschodnim dzięki umiejętności dostosowania taktyki podległych sobie wojsk do dość chaotycznego stylu walki dowódców Armii Czerwonej. Za przełamanie rosyjskiego okrążenia w rejonie Chołma do Krzyża Rycerskiego Krzyża Żelaznego dostaje Liście Dębowe.

W 1942 r. po raz pierwszy staje wobec politycznych realiów walki na froncie wschodnim. Otóż wyznaczono go jako członka trybunału wojskowego, który miał sądzić gen. Hansa von Sponecka. Oficerowi groziło rozstrzelanie za wycofanie się mimo wyraźnego zakazu Hitlera. Von Sponeck został uratowany wskutek determinacji właśnie von Seydlitza. Wykorzystał on swoje wpływy, aby dotrzeć do samego Führera i zamienić karę śmierci na sześć lat więzienia.

Jako dobry taktyk von Seydlitz zaczął z wolna rozumieć, jak szkodliwe dla operacji Wehrmachtu na Wschodzie były dogmatyczne rozkazy Hitlera zakazujące cofania się choćby o metr. Duże rosyjskie przestrzenie nadawały się przecież idealnie do prowadzenia wojny manewrowej. Cóż z tego, gdy Hitler był więźniem swojej wyobraźni, która zatrzymała się na wzorcach z czasów pierwszej wojny światowej? Wódz III Rzeszy oczekiwał, że jego Wehrmacht będzie się okopywać w ważnych punktach i będzie tam „trwać w trwaniu".

W 1942 r. von Seydlitz zyskał powszechne uznanie za uratowanie niemieckich oddziałów otoczonych w kotle pod Diemiańskiem. I wreszcie 8 maja 1942 r. został mianowany dowódcą LI Korpusu

Friedrich Wilhelm von Seydlitz
FOT. COMMONS WIKIMEDIA, ADOLPH MENZEL

Wehrmachtu, który wchodził w skład 6. Armii gen. Friedricha von Paulusa. To właśnie ten korpus miał zdobyć Stalingrad. 13 września jednostka von Seydlitza zajęła sławny Kurhan Mamaja, a tydzień później dotarła do brzegu Wołgi.

Traf chciał, że akurat w latach 30. w Niemczech ogromną popularność zdobyła piosenka „Wolgalied" pochodząca z operetki „Carewicz" Franza Lehára. „Pieśń o Wołdze" stała się nieformalnym hymnem 6. Armii. Niemieccy oficerowie tłumaczyli swoim żołnierzom, że zdobycie Stalingradu otworzy drogę do połączenia się z armią Rommla, która w tym samym czasie wypychała Brytyjczyków z zachodniego Egiptu w kierunku Kanału Sueskiego. Faktem jest, że to właśnie von Seydlitz, który miał za sobą udane operacje wyrwania niemieckich żołnierzy z kotłów pod Chołmem i Diemiańskiem, jako pierwszy apelował do Paulusa, by porzucić plan zdobywania Stalingradu – zbliżała się zima, więc należało się wycofać, okopać i nie dać się wepchnąć w pułapkę walk w zrujnowanym mieście.

Co z tego, skoro Hitler uznał, że zdobycie miasta, które nosi nazwisko przywódcy Związku Sowieckiego, jest jego misją i byłoby ukoronowaniem mijającego właśnie roku 1942? Von Seydlitz raz jeszcze udał się do Paulusa, tym razem błagając go już o rozpoczęcie ewakuacji lotniczej. Rozmowa miała miejsce 21 listopada, gdy Wermacht marnował bezcenny czas na gonitwy z krasnoarmiejcami w zniszczonych fabrykach Stalingradu. Von Seydlitz jako znacznie lepszy sztabowiec od Paulusa widział, że rosyjskie kleszcze powoli zaciskają się na coraz bardziej wyczerpanym cielsku 6. Armii. Już miesiąc później nie było z niej czego zbierać.

Walther von Seydlitz-Kurzbach FOT. COMMONS WIKIMEDIA

Otoczona szczelnym kordonem resztka armii wymierała dosłownie z dnia na dzień. 31 stycznia 1943 r. Seydlitz, nie czekając na zgodę Paulusa, oddał siebie i kwaterę główną swojego korpusu do sowieckiej niewoli. Parę dni później w kierunku krasnoarmiejskich pozycji wyruszył upiorny pochód blisko 90 tys. niemieckich żołnierzy z rękoma podniesionymi wysoko nad głowami. Do niewoli poszedł też jego zwierzchnik – feldmarszałek Paulus.

Świat obiegły zdjęcia długich kolumn ubranych w łachmany niemieckich żołnierzy, którzy musieli znosić zemstę zwycięzców, uważanych dotąd przez nazistowską propagandę za podludzi. Rosjanie zaśmiewali się, patrząc, jak niemieccy jeńcy walczyli ze sobą na pięści o rzuconą im skórkę od chleba.

Wyławianie jeńców

Dziś trudno sobie wyobrazić, jak wielką traumą dla Niemców był Stalingrad. Utrata gigantycznej 6. Armii była wyraźną zapowiedzią klęski Hitlera. Od tego momentu żołnierze niemieccy na froncie wschodnim stali się zwierzyną łowną, coraz częściej uciekającą przed Armią Czerwoną. Von Seydlitz na własne oczy mógł obserwować, jak wiele błędów popełniał Hitler, któremu ulegali dużo bardziej utalentowani od niego oficerowie sztabowi. I tak powoli w jego głowie krystalizował się częsty u Niemców zmagających się z realiami klęski motyw zrzucenia całej winy za niepowodzenie na dyletantyzm Hitlera. To

eprasa.pl ffb67b0033

Niemieccy żołnierze w Stalingradzie

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, BUNDESARCHIV

z kolei pchało go w kierunku idei, która głosiła, że skoro oficerowie Wehrmachtu dali się wepchnąć w rosyjską pułapkę, to teraz muszą oni z pomocą Rosjan sformować armię, która uwolni Niemcy od szaleńca z wąsikiem.

Von Seydlitz znalazł się w grupie założycieli Związku Oficerów Niemieckich. W tym kręgu snuto marzenia o uratowaniu Niemiec w granicach z 1937 r. Ceną miało być zgięcie karku przed Stalinem. Oczywiście była w tym też troska pruskich junkrów o uchronienie Niemców przed ostrymi rozliczeniami za wyniesienie do władzy NSDAP. Jeśli nawet przez jakiś czas Stalin rozważał, czy przypadkiem nie byłoby dobrze stworzyć taką armię, to stosunkowo szybko uznał, że będzie to jednak zbyt niebezpieczne. Postanowił, że Związek Oficerów Niemieckich będzie częścią Komitetu Narodowego Wolne Niemcy, w którego skład jako siła przewodnia wchodzili niemieccy komuniści.

Von Seydlitz posłużył natomiast Sowietom do działań propagandowych. Niemieckiego generała dostarczano na wysunięte linie frontu i tak zaczynał się „Von Seydlitz show". Poinformowany dokładnie przez sowiecki wywiad, które jednostki znajdują się naprzeciwko, von Seydlitz apelował o poddanie się, odwołując się do pruskiej tradycji prawa do nieposłuszeństwa. Najlepszym symbolem tego prawa było zerwanie przez króla Prus Fryderyka Wilhelma III z Napoleonem w 1813 r. Pruscy żołnierze przeszli wówczas do czynnej walki u boku rosyjskiej konnicy, nacierając na jednostki cesarstwa wycofujące się na zachód, do „słodkiej Francji".

Komitet Narodowy Wolne Niemcy przydawał się też do opracowywania rozmaitych ulotek zachęcających do oddawania się do niewoli sowieckiej. Niezwykle ważne było to, że von Seydlitz, także z racji słynnego przodka rębajły z czasów Fryderyka Pruskiego, był dla niemieckich żołnierzy symbolem prusactwa. Niektórzy żołnierze mogli rozumować w ten sposób: „Skoro przedstawiciel najświetniejszego rodu pruskiego mówi nam o moralnym prawie do poddania się, to czemu ja mam mieć jakieś wątpliwości?".

Cała operacja z tworzeniem Komitetu Narodowego Wolne Niemcy zakończyła się względnym sukcesem. Co trzeci z 18,2 tys. niemieckich jeńców, którzy dobrowolnie przekroczyli linię frontu, miał przy sobie ulotkę drukowaną i sygnowaną przez kolegów gen. von Seydlitza. Sowieckie władze stworzyły nawet z byłych jeńców małe grupy sabotażowe, które zrzucano na tyłach Wehrmachtu. Gdy przygotowano pierwszą taką grupę, gen. von Seydlitz osobiście się z nią pożegnał i przyjął nawet od tych żołnierzy przysięgę. Nie wiadomo, czy efekty tego typu sabotażu były warte nakładów. Faktem jest, że Rosjanie zrezygnowali z tworzenia tych grup i skupili się na przygotowywaniu nowych kadr dla komunistycznych Niemiec w oparciu o ochotników wyławianych z masy niemieckich jeńców.

Informacje o tego typu jawnym działaniu przeciwko III Rzeszy dotarły w końcu do władz nazistowskich. 26 kwietnia 1944 r. sąd wojskowy w Dreźnie skazał von Seydlitza zaocznie na karę śmierci pod zarzutem zdrady stanu. Jego żonę zmuszono do złożenia pozwu o rozwód, a jego dwie córki zostały skierowane do domu dziecka, gdzie powtarzały, że nie mają już ojca.

Co ciekawe, mimo tak gorącego zaangażowania von Seydlitza na rzecz władz sowieckich mauzoleum jego pradziada Friedricha Wilhelma von Seydlitza w Oławie zostało zniszczone przez Armię Czerwoną po zajęciu przez nią miasta. Rosjanie poszukiwali w grobowcach złota i kości członków rodziny generała zostały wyrzucone na podłogę. Von Seydlitz nie miał jednak o tym pojęcia. Sowieckie władze bardzo pilnowały, żeby nie opuszczał Moskwy.

Co poszło nie tak?

Stary Prusak naiwnie myślał, że po zakończeniu wojny Związek Oficerów Niemieckich zostanie rozwiązany, a on sam będzie mógł szybko wrócić do wymarzonych lepszych Niemiec bez Hitlera. 2 listopada 1945 r. Związek Oficerów Niemieckich rzeczywiście został rozwiązany, ale nikt nie proponował von Seydlitzowi powrotu do domu. Niejako na otarcie łez zorganizowano mu pobyt w specjalnej willi pod Moskwą, gdzie generał opowiadał historykom sowieckim, jak poszczególne bitwy z pierwszej fazy wojny wyglądały z niemieckiego punktu widzenia.

W styczniu 1949 r. von Seydlitz złożył podanie o zgodę na wyjazd do sowieckiej strefy okupacyjnej Niemiec, obiecując skupienie się na pracy w gospodarstwie. A konkretnie – chciał się podjąć hodowli koni. Generał uznał zapewne, że będzie

eprasa.pl ffb67b0033

to odpowiednia nagroda od Rosjan za jego wierną służbę. Zarówno głównodowodzący wojsk sowieckich na terenie Niemiec gen. Wasilij Czujkow, jak i komuniści niemieccy zgodzili się na przyjęcie von Seydlitza, ale nagle do akcji wkroczył Friedrich Paulus, który von Seydlitza nie cierpiał (choć również dołączył do Komitetu Narodowego Wolne Niemcy). Paulus wysyłał do sowieckich władz raporty, w których przestrzegał przed von Seydlitzem i sugerował, że tak naprawdę chce się on znaleźć w NRD tylko po to, by przedostać się stamtąd do swego rodzinnego majątku położonego w sektorze brytyjskim. Ale sam donosik Paulusa zapewne nie spowodowałby gwałtownej odmiany losów Seydlitza. Musiało być coś jeszcze, co rozwścieczyło Sowietów. Co konkretnie? Niektóre źródła niemieckie mówią dosyć enigmatycznie o „odmowie złożenia przysięgi wierności wobec Stalina".

24 maja 1950 r. generał spod Stalingradu został aresztowany, osadzony w więzieniu Butyrki i oskarżony o popełnianie – jako wysoki rangą oficer Wehrmachtu – zbrodni wojennych na terenie ZSRS. Sowieci wyciągnęli wtedy jak z pudełka dwóch niemieckich generałów

Walther Seydlitz von Kurzbach i członkowie komitetu Freies Deutschland FOT. COMMONS WIKIMEDIA, BUNDESARCHIV

– Ingo von Collaniego i Hansa Boeckha-Behrensa – którzy zeznali, że von Seydlitz wydawał zbrodnicze rozkazy.

Wyrok ogłoszono 8 lipca 1950 r. na zamkniętym posiedzeniu sądu wojskowego. Nie pozwolono na wystąpienie jakichkolwiek świadków obrony. Rozprawa rozpoczęła się o godz. 11.35, a już o 15.55 zapadł wyrok: 25 lat więzienia. Von Seydlitz trafił do więzienia w Nowoczerkawsku. Umieszczono go w izolatce i nie szczędzono mu szykan. W jego celi przez całą dobę raziło go w oczy jasne światło. Nic dziwnego, że w takich warunkach generał stosunkowo szybko uległ załamaniu psychicznemu.

Niemieccy jeńcy po bitwie o Stalingrad FOT. COMMONS WIKIPEDIA, BUNDESARCHIV

Adenauer na pomoc

Na ratunek musiał czekać pięć lat. W 1955 r. do Moskwy przybył kanclerz RFN Konrad Adenauer i w zamian za hojne pożyczki uzyskał od Nikity Chruszczowa zgodę na wyciągnięcie z łagrów i więzień większości ostatnich jeńców i więźniów niemieckich. Wydawało się, że von Seydlitz ma okazję wyjechać ze Związku Sowieckiego z resztkami honoru. Jednak dusza politycznego lokaja kazała mu przed powrotem napisać specjalny list z podziękowaniami dla szefa Prezydium Rady Najwyższej ZSRS Klimienta Woroszyłowa. Czytamy w nim: „Jutro, opuszczając terytorium Związku Sowieckiego, będę odczuwał głęboką potrzebę wyrażenia mojej szczerej wdzięczności Radzie Najwyższej ZSRS za wszystkie dobre rzeczy, których doświadczyłem i których się tu nauczyłem podczas mojego dwunastoletniego pobytu".

Do NRD już nie mógł pojechać, ponieważ komuniści z Berlina Wschodniego, idąc za towarzyszami sowieckimi, odwrócili się plecami do kłopotliwego generała. Z kolei generałowie na zachodzie uważali go za karierowicza, który przechował się w latach 1943–1945 w ośrodkach „wolnych Niemiec", podczas gdy reszta zwykłych jeńców niemieckich wziętych pod Stalingradem wymierała z głodu i chorób w brutalnej rzeczywistości łagrów.

W 1956 r. von Seydlitz wystarał się o uchylenie hitlerowskiego wyroku śmierci. Werdykt podkreślał, że generał kierował się w swojej aktywności przede wszystkim wrogim nastawieniem do narodowego socjalizmu. Jednak starzy oficerowie Wehrmachtu, którzy cenili swoją wojenną służbę, pluli na jego widok, uważając go za sowiecką marionetkę. I do tego przedwcześnie porzuconą przez Sowietów. Jesień życia niemiecki wojskowy spędził w samotności. Zmarł w zachodnioniemieckiej Bremie w wieku 87 lat.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl ffb67b0033

Lata 30. XX w. / „Polrajonowi" pisarze na służbie

„Polska kultura proletariacka"

Manifestacja w Mińsku w 15. rocznicę wyzwolenia Białorusi spod „białopolskiej okupacji", 1935 r. FOT. MUZEUM SZTUKI MULTIMEDIALNEJ/MOSKIEWSKI DOM FOTOGRAFII

Mikołaj Iwanow

Przed wielkim terrorem partia komunistyczna zachęcała polskich twórców żyjących w ZSRS do pisania o komunizmie we własnym języku. Efekty tej polityki wiele mówią o sytuacji polskiej mniejszości

Dziwne rzeczy działy się w Związku Sowieckim w międzywojniu, przed horrorem wielkiego terroru. 17 sierpnia 1931 r. w Mińsku, stolicy sowieckiej Białorusi, przy hucznym akompaniamencie propagandy komunistycznej odbył się I Zjazd Polskich Pisarzy Proletariackich ZSRS. Udział wzięło w nim 45 delegatów, reprezentujących – jak pisano w sprawozdaniu organizatorów tego wydarzenia – „wszystkie ośrodki zamieszkiwania Polaków w Kraju Rad". Do Mińska zjechali się reprezentanci z Ukrainy, Moskwy, Leningradu, Syberii, południa Rosji, a nawet Dalekiego Wschodu. Polskojęzyczna gazeta „Trybuna Radziecka" z zachwytem pisała, że wśród delegatów było 19 robotników i 11 chłopów trudniących się literaturą. Kim byli ci ludzie? Dlaczego władza komunistyczna zebrała ich w Mińsku?

Polska literatura sowiecka albo – mówiąc inaczej – literatura sowiecka w języku polskim stanowi do dziś dla wielu zjawisko kuriozalne. Polskę okresu międzywojennego odbierano przecież w społeczeństwie sowieckim jako jednego z największych wrogów. Dla wielu obywateli ZSRS słowa „faszysta" czy „faszystowski" kojarzyły się przede wszystkim z II RP, a nie z III Rzeszą czy ówczesnymi Włochami. Ale mimo tak wrogiego stosunku wobec międzywojennej Polski w ZSRS bardzo aktywnie lansowano potrzebę stworzenia tzw. polskiej kultury proletariackiej. A jej głównymi „piewcami" mieli się stać liczni polskojęzyczni pisarze, dziennikarze, aktorzy i inni pracownicy tzw. frontu kultury.

Polskie rejony

Współczesnego badacza całokształt „polskiej kultury proletariackiej" przeraża swym ideologicznym zaślepieniem, prymitywizmem i brakiem samodzielności twórczej. Ale jednocześnie mimo tych

eprasa.pl ffb67b0033

wszystkich negatywnych cech literatura ta była jaskrawym świadectwem czasu, a niektórzy jej twórcy mimo tak niesprzyjających warunków stworzyli utwory odzwierciedlające ówczesne realia życia Polaków – najdalszych Kresowiaków.

Polscy pisarze w ZSRS tworzyli w bardzo specyficznych warunkach. W latach 20. i w pierwszej połowie lat 30. w ramach tzw. leninowskiej polityki narodowościowej przeprowadzono w ZSRS bezprecedensowy eksperyment z ludnością polską, zamieszkałą w rejonach przygranicznych z II RP. Miał on na celu utworzenie w rejonach zwartego zamieszkiwania Polaków na Białorusi i Ukrainie polskiej autonomii narodowościowej, działającej jednak w ramach zasad regulujących życie sowieckiego społeczeństwa.

Pierwszym i najważniejszym krokiem w realizacji tej polityki było utworzenie w roku 1925 Polskiego Rejonu Narodowego im. Juliana Marchlewskiego na Żytomierszczyźnie. Zgodnie z przepisami najważniejszym elementem tego eksperymentu było wprowadzenie we wszystkich państwowych i partyjnych instytucjach Marchlewszczyzny (z milicją i sądem włącznie) języka polskiego jako urzędowego. Prawie całe szkolnictwo w polskim rejonie narodowościowym przełączono na język polski. W 1932 r. na tych samych zasadach proklamowano w granicach Białoruskiej Socjalistycznej Republiki Sowieckiej drugi autonomiczny twór – Polski Rejon Narodowy im. Feliksa Dzierżyńskiego, czyli tzw. Dzierżyńszczyznę.

Komuniści Polscy w ZSRS wystąpili z planem „stworzenia zarówno na Marchlewszczyźnie, jak i na Dzierżyńszczyźnie dużych zakładów przemysłowych w celu kształtowania warstwy proletariackiej w polskim społeczeństwie kresowym". Polska literatura sowiecka miała ich wesprzeć w tym przedsięwzięciu.

Rzeczywistość była jednak dość daleka od tych idealistycznych planów. Nowi robotnicy w większości wywodzili się z miejscowej ludności, bardzo religijnej, wychowanej przeważnie w duchu polskiej tradycji kresowej. Represje antypolskie w drugiej połowie lat 30. wyraźnie dowodzą, że uznanie ich za przyszłych bojowników o Polską Republikę Rad było jednym z dziwnych paradoksów tej polityki.

Tomasz Dąbal (w kapeluszu) podczas pobytu w Kijowie, 1925 r. FOT. COMMONS WIKIMEDIA, AMY

Psychoza

W Związku Sowieckim panowała atmosfera psychozy wobec II RP, choć wciąż łudzono się, że w Polsce pojawi się w końcu sytuacja sprzyjająca rewolucji. Spodziewano się, że Polska stanie się pierwszym ogniwem przyszłej socjalistycznej Europy. W trafny sposób nastawienie propagandy komunistycznej odzwierciedla wiersz Czesława Groniaka, polskiego poety delegata na wspomniany I Zjazd Polskich Pisarzy Proletariackich ZSRS. Wiersz ten był wydrukowany na pierwszej stronie polskojęzycznej gazety „Orka", organu Komitetu Centralnego Partii Komunistycznej Białorusi:

Będzie za dziesięć lat, dwadzieścia
Świat cały jednym Związkiem Rad.
Ozdobią wieńce chwały, części
Nasz pierwszy socjalistyczny kraj.

Bruno Jasieński
FOT. COMMONS WIKIMEDIA, ISKRY.COM.PL

Liderzy polskiej autonomii w ZSRS traktowali rozwój literatury polskojęzycznej jako ważne narzędzie walki klasowej, instrument podważania i przebudowy tradycyjnej, patriotycznej świadomości ludności kresowej na świadomość klasową. Za jedyny, nieomylny i wszechobowiązujący kanon twórczości literackiej uznawano zasady realizmu socjalistycznego. Powstająca w wyniku przestrzegania tych zasad literatura dawała całkowicie upolityczniony obraz świata. Ostra walka wewnątrzpartyjna, powszechne szukanie wrogów i różnego rodzaju „odchyleńców ideologicznych" doprowadziły do tego, że w literaturze zapanowało dążenie do prześcigania się w gloryfikowaniu zdobyczy stalinowskiego ustroju.

W rezolucji wspomnianego zjazdu czytamy na ten temat: „Podstawowym zadaniem każdego pisarza jest wyrobienie sobie światopoglądu marksistowsko-leninowskiego i całkowite opanowanie metody dialektyczno-materialistycznej, gdyż polska literatura proletariacka musi być na wskroś bolszewicka, żyjąca życiem partii i jej walką na dwa fronty. Tylko wtedy zdoła ona należycie uwypuklić te liczne procesy, które zachodzą w zdążającej do socjalizmu wsi polskiej i socjalistycznej fabryce. Ale nie fotograficzne odbicie tych procesów jest zadaniem literatury proletariackiej. Odzwierciedlając ruch polskich mas robotniczych i chłopskich ku socjalizmowi, polska literatura proletariacka musi walczyć o bojowe tempo uprzemysłowienia Kraju, o szturmowość w pracy i współzawodnictwo socjalistyczne polskich mas robotniczych, o organizacyjno-gospodarcze umocnienie kolektywów, o rewolucję kulturalną i nowy układ życia. Demaskując wroga klasowego, kontrrewolucję kułacką i księży, musi zwalczać wpływy

eprasa.pl ffb67b0033

ideologiczne Polski faszystowskiej oraz przeżytki szlachetczyzny i mieszczaństwa w ideologii i życiu codziennym".

Ściśle określone przez partię ramy „swobody" twórczości zmieniały zasadniczo samo pojęcie twórczości literackiej. Przekształciła się ona w propartyjną propagandę i apologię stalinowskiego systemu władzy.

„Młodzi" i „starzy"

W środowisku polskich pisarzy sowieckich istniały dwie grupy, określane przez polską prasę komunistyczną jako „młodzi" i „starzy". Ta druga, o wiele mniej liczna grupa pisarzy składała się przeważnie z działaczy KPP, przebywających w ZSRS na emigracji. Swój pobyt w „kraju zwycięskiego proletariatu" traktowali jako tymczasowy i bez względu na swoje przekonania komunistyczne za swoją ojczyznę uznawali jednak Polskę. Najbardziej „odważni" spośród „starych" (Tomasz Dąbal, Bruno Jasieński, Witold Wandurski) próbowali nawet uzmysławiać „młodym" bezsens budowania w ZSRS odrębnej „polskiej kultury proletariackiej". W latach 30. jednak, w miarę nasilenia w ZSRS terroru stalinowskiego, wszyscy oni powoli przestawali manifestować swoje „reakcyjne" poglądy.

Dla „starych", w większości wychowanych na najlepszych wzorcach wielkiej polskiej literatury romantycznej, tworzenie według zasad „kultury proletariackiej" oznaczało obniżenie poziomu utworów, prymitywizację własnego pisarstwa. Podobnie działo się w literaturze rosyjskiej, jednak wśród pisarzy rosyjskich tolerowano twórczość nie do końca „proletariacką" (m.in. Bułhakowa). Na odcinku polskim podobnej tolerancji nie obserwujemy. Dlatego prawie wszyscy „starzy" po licznych niepowodzeniach i ostrych starciach na tle ideologicznym dostosowywali się w końcu do nowych warunków politycznych. Najlepiej widać tę tendencję w twórczości Brunona Jasieńskiego, którego stopniowe odchodzenie od polskości zakończyło się przejściem na pisanie w języku rosyjskim.

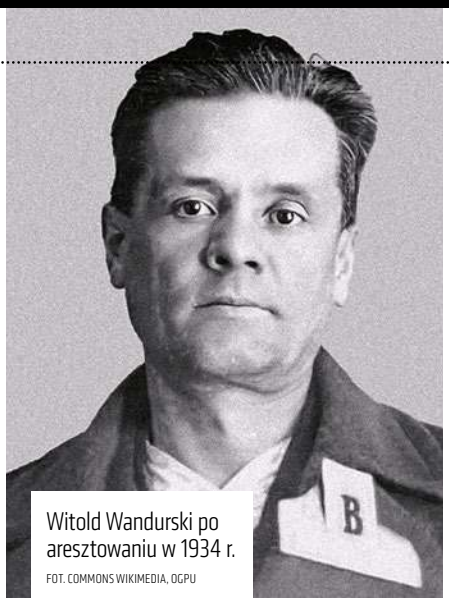

Witold Wandurski po aresztowaniu w 1934 r.
FOT. COMMONS WIKIMEDIA, OGPU

Głównym centrem „młodych" był Mińsk. To w tym mieście, w środowisku polskim, związanym z redakcją gazety „Orka", ukształtował się mocny ośrodek walki o „polską kulturę proletariacką". Rygorystyczne partyjne kierownictwo nad życiem polskiej mniejszości narodowej nie sprzyjało jednak rozwojowi talentów młodych, zdolnych literatów. Była to na ich drodze twórczej przeszkoda nie do pokonania. Niestety, nie zawsze byli oni tego świadomi.

Przy czym podział na „starych" i „młodych" był w dużej mierze umowny, ponieważ główną rolę w środowisku tych drugich odgrywali ludzie, których według kategorii wiekowej można było zaliczyć do „starych". Dotyczy to przede wszystkim jednego z czołowych rzeczników idei odrębnej „polskiej kultury proletariackiej" – Jana Nejmana, który w latach 20. pełnił funkcję pierwszego sekretarza obwodowej organizacji partyjnej w Homlu.

Na przełomie lat 1929 i 1930 w polskim środowisku literackim w ZSRS toczyła się zażarta dyskusja na temat możliwości zbudowania „polskiej kultury proletariackiej". Była ona przejawem otwartego konfliktu między „starymi" i „młodymi", zakończonego całkowitą porażką tych pierwszych. „Młodzi" forsowali ideę ustawowego kształcenia poetów i pisarzy, rekrutujących się z uzdolnionej polskiej młodzieży kresowej. W rezolucji mińskiego zjazdu pisarzy polskich czytamy na ten temat: „Zasadniczym źródłem kompletowania kadr pisarzy proletariackich powinny być szeregi szturmowców z fabryk i kolektywów".

W związku z podobnym podejściem prezentowanym przez liderów polskiej autonomii w ZSRS większość „starych" zmuszona była zrezygnować z działalności literackiej albo zaangażować się w trudny i bolesny proces „kajania" się. Przykładem tego była sprawa Heleny Bobińskiej, którą zmuszono do napisania książki „Ludzie Czerwonego Frontu. Powieść z życia kolektywników polskich na Białorusi", wydaną w 1932 r. „Trybuna Radziecka" w następujący sposób przedstawiała jej proces „wychowania się na nowo": „Bobińska jest ciekawym przekładem pisarza, którego literacka kultura burżuazyjna uległa przekształceniu pod wpływem środowiska radzieckiego,

Uczestnicy zjazdu polskich pisarzy proletariackich w Mińsku. W środku siedzi Stanisław Ryszard Stande
FOT. COMMONS WIKIMEDIA, BIBLIOTEKA NARODOWA BIAŁORUSI

eprasa.pl ffb67b0033

który opisując rzeczywistość radziecką, kształtuje się, jako pisarz proletariacki i w którym na każdym kroku spotyka się stare pomieszane z nowym, pokonywane przez nowe. Ideologicznie jest to pisarz proletariacki, przełamujący w sobie przeżytki form burżuazyjnych".

Neoficki zapał

Do początku lat 30. rolę centrum literatury sowieckiej pisanej w języku polskim odgrywała Moskwa. Tu żyli i pracowali czołowi literaci ze środowiska „starych": Bruno Jasieński, Stanisław Stande, Helena Bobińska, Tomasz Dąbal i inni. Porażka „starych" w sporze ideologicznym z „młodymi" spowodowała także przesunięcie centrum ruchu literackiego na dalsze Kresy, gdzie w wyniku wdrożenia autonomii polskiej ukształtowała się początkowo nieliczna, ale bardzo aktywna w sensie politycznym krzykliwa grupa polskiej inteligencji sowieckiej. Byli to ludzie pełni neofickiego zapału, zaskakujący często swych nauczycieli skrajnością i dogmatyzmem. „Młodzi" Kresowiacy wyraźnie ustępowali moskiewskim Polakom pod względem talentu, doświadczenia literackiego, edukacji i wiedzy, kultury słowa, ale wyprzedzali ich wyraźnie w ideologicznej poprawności i wyczuleniu na sygnały z partii.

W Mińsku polską sekcję pisarzy proletariackich założono w 1925 r. przy Polskim Technikum Pedagogicznym im. Bronisława Wesołowskiego. W początkowym okresie skupiała ona prawie wyłącznie studentów i nauczycieli PTP i nie odgrywała dostrzegalnej roli w życiu mińskich Polaków. Na początku lat 30., wraz ze zmianą polityki partii na odcinku polskim, jej znaczenie wyraźnie wzrosło. Wśród najbardziej znanych pisarzy należących do tej grupy wymieńmy Władysława Kowalskiego, Helenę Romanowską, Michała Żarskiego, Jadwigę Moszyńską-Heltman, Jana Kraczkowskiego i Antoninę Horawską. W 1930 r. grupa ta liczyła 11 osób i jej największą zasługą było zorganizowanie w Mińsku I (i zarazem ostatniego) Zjazdu Polskich Pisarzy Proletariackich ZSRS

Twórczość polskich pisarzy proletariackich okresu międzywojennego jest

Jadwiga Moszyńska-Heltman
FOT. BIBLIOTEKA NARODOWA

dziś praktycznie nieznana zarówno w Polsce, jak i w krajach byłego ZSRS. Wynika to ze stosunkowo niskiego poziomu ich twórczości oraz bardzo jednostronnego i prymitywnego ukierunkowania politycznego.

Polski ruch literacki w międzywojennym Związku Sowieckim nie stał się zjawiskiem dostrzegalnym w ogólnym dorobku kultury polskiej XX stulecia. Trudno znaleźć w jego spuściźnie

Helena Bobińska FOT. NAC

chociażby jeden utwór nadający się do włączenia do antologii tego czy innego rodzaju literatury polskiej. Przeważającą większość utworów polskich pisarzy proletariackich cechowały skrajny dogmatyzm artystyczny i podporządkowanie się dyrektywom partyjnym. Jednak uznanie ruchu w całości za zjawisko prymitywne, kompletnie bezwartościowe pod względem intelektualnym i artystycznym byłoby krzywdzącym uproszczeniem.

Matka prezydenta

Duch polskości kresowej zawsze był żywym podłożem, pobudzającym rozwój wielkich talentów wybitnych polskich patriotów i wieszczów narodu. Zmiany po roku 1918 na Kresach rzecz jasna w znacznym stopniu zniszczyły to podłoże, ale jednak nie doszczętnie. W warunkach stalinowskiego totalitaryzmu wszystkie talenty kresowe miały bardzo ograniczone możliwości, ale mimo to się rozwijały. Przykładem takiego talentu był Włodzimierz Kowalski, rozstrzelany w 1937 r. w wieku zaledwie 25 lat. Był on autorem kilku książek, wierszy, sporo pisał dla polskich teatrów w ZSRS. Jego tłumaczenia dzieł Puszkina i Majakowskiego na język polski do dziś nie straciły swej wartości.

Innym wybitnym przedstawicielem polskiej literatury na międzywojennej Białorusi była Helena Romanowska, matka przyszłego prezydenta (przewodniczącego Rady Najwyższej) niepodległej Białorusi Stanisława Szuszkiewicza. Była ona jednym z liderów „młodych", aktywnie walczyła o zwycięstwo koncepcji „polskiej kultury proletariackiej". W roku 1934 jako przedstawicielka polskiej literatury sowieckiej uczestniczyła w I Zjeździe Pisarzy Sowieckich. Była niewątpliwie piewcą tamtych czasów, całkowicie oddanym idei komunistycznej. Jej prace – „Dzieci radzieckich pól", „Październik" czy „W zimowy ranek" – naznaczone są tym piętnem.

„Wielkiego terroru" (1937–1938) prawie nikt z polskich literatów nie przeżył. Stali się oni ofiarami tzw. operacji polskiej, która w rzeczywistości była ludobójstwem na Polakach.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl ffb67b0033

Wrocławski pomnik Ofiar Zbrodni Katyńskiej. Autor rzeźby: Tadeusz Tchórzewski

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, PAJU COMMONSWIKI

1940 r./ W 85. rocznicę zbrodni katyńskiej

Niezastąpieni

Marek Gałęzowski

W dołach śmierci znaleźli się nie tylko zawodowi oficerowie, lecz także ci, którzy współtworzyli polską inteligencję

Wybuch wojny zastał Andrzeja Riegera w Cieszynie. Był oficerem rezerwy Wojska Polskiego i jak wielu z tych, którzy nie otrzymali przydziału w końcu sierpnia 1939 r., kierowany poczuciem obowiązku wyruszył na ziemie wschodnie RP. Liczył, że dołączy tam do którejś z jednostek i weźmie udział w walce z Niemcami. W drodze towarzyszyli mu przez pewien czas żona i dwaj synkowie. Rozstanie nastąpiło 14 września w Turzysku pod Kowlem. To wówczas pięcioletni syn Janusz widział ojca ostatni raz: „Pamiętam, że szliśmy szosą, że nucił »O mój rozmarynie…«, a gdy nadjechało auto ciężarowe wiozące lotników, pożegnał się z nami już krótko i dołączył do nich".

Notatnik z katyńskiej mogiły

Trzeba stale powtarzać, nie tylko przy każdej rocznicy zbrodni katyńskiej, że została ona dokonana na tych, którzy współtworzyli polską elitę inteligencką. Wśród wziętych do niewoli przez Armię Czerwoną po agresji na Polskę 17 września 1939 r. byli bowiem oprócz zawodowych oficerów lekarze, prawnicy, urzędnicy państwowi i samorządowi, nauczyciele szkolni i akademiccy, inżynierowie, literaci, dziennikarze, działacze polityczni i społeczni, ziemianie, przedstawiciele duszpasterstwa wojskowego różnych wyznań. Wśród nich – wywodzący się ze Śląska Cieszyńskiego ppor. rez. Andrzej Rieger, ewangelik, absolwent prestiżowego gimnazjum im. Jana III Sobieskiego w Krakowie, ukończonego z wyróżnieniem, a następnie prawa na Uniwersytecie Jagiellońskim. Po studiach pracował w sądownictwie, m.in. jako wiceprokurator w Katowicach. Rok przed wojną wrócił na ziemię cieszyńską, znalazłszy zatrudnienie w biurze Spółki Akcyjnej Karwina-Trzyniec.

Służbę wojskową odbył zaraz po ukończeniu studiów – w Centrum Wyszkolenia Kawalerii w Grudziądzu, którą ukończył z wynikiem bardzo dobrym i lokatą 29 na 172. Kilka miesięcy przed wybuchem wojny odbył ćwiczenia w 24. Pułku Ułanów im. Hetmana Wielkiego Koronnego Stanisława Żółkiewskiego. Uzyskał znakomitą opinię: „Inteligencja bardzo duża. Ambicja pracy bardzo duża. Sumienny i obowiązkowy. Charakter zrównoważony, poważny i solidny. Koleżeński. Zasób wiadomości wojskowych duży […]. O podwładnych

eprasa.pl ffb67b0033

dbały i przez nich lubiany. Zdolności wychowawcze duże. Pracę traktuje ideowo, dużo czasu poświęcał żołnierzowi poza normalnymi zajęciami […]. W czasie służby w szwadronie wykazał duże zamiłowanie do służby. Z nałożonych obowiązków wywiązał się bardzo dobrze. Bardzo dobry dowódca plutonu tak w czasie pokoju, jak i wojny".

Jakie były losy tego oficera po rozstaniu z rodziną? W nocy z 16 na 17 września 1939 r. dotarł do koszar 19. pułku ułanów w Ostrogu na Wołyniu (a nie jak zapisał w swoim notesie – artylerii, gdyż ten pułk stacjonował na Wileńszczyźnie). Tam został wzięty do niewoli przez Armię Czerwoną. Kontynuował zapiski rozpoczęte z chwilą wybuchu wojny, kiedy przebywał jeszcze w Cieszynie. Początkowo był więziony w Szepietówce. 23 września zanotował: „Rano ruszamy naprawdę »w nieznane«. Zaczyna się gehenna jazdy ros.[yjską] koleją nie wiadomo dokąd" (wszystkie cytaty z notatnika Andrzeja Riegiera podajemy za: A. Rieger, „Zapiski z Kozielska…", oprac. J.A. Rieger, Warszawa 2015). Jak się okazało, tym celem był Kozielsk, do którego transport oficerów dotarł rankiem 4 listopada 1939 r. Tydzień później przypadła rocznica odzyskania niepodległości. „Ponure, rozpaczliwe Święto. Rok temu po zajęciu Zaolzia – a dziś! Śpiewamy Rotę i Boże coś P.[olskę] i płyną łzy" – pisał Rieger.

I tak mijały kolejne dni. „Nic specjalnego, dzień za dniem […]. Tęsknię szalenie. Chandra" – notował podporucznik, dając jednak wyraz nadziejom na powrót do kraju i najbliższych. Zwiększyły się one, kiedy z początkiem kwietnia z obozu zaczęły odchodzić pierwsze transporty kolejowe. „Gubimy się w domysłach dokąd?" – zapisywał 3 kwietnia 1940 r., dwa tygodnie później zastanawiając się: „Dlaczego ja jeszcze nie jadę. Wzrasta nadzieja wyj.[azdu] do p[aństw] neutr.[alnych]". Opuścił Kozielsk transportem z 22 kwietnia 1940 r. Zginął najprawdopodobniej dwa dni później w Lesie Katyńskim. Ledwie pół roku wcześniej obchodził 33. urodziny.

W jego notesie wydobytym trzy lata później z mogiły katyńskiej poza codziennymi zapiskami odczytujemy także adresy przedwojennych znajomych oraz kilkunastu oficerów, z którymi zetknął się w obozie. Najwięcej jest adresów

Andrzej Rieger FOT. IPN

warszawskich, ale figurował tam także wileński rtm. Wacława Stankiewicza, zamieszkałego przy ul. Piłsudskiego 27 m. 2, zawodowego oficera kawalerii, ppor. rez. artylerii Zygmunta Romana Florkiewicza – urzędnika z Lublina, męża Genowefy, ojca Andrzeja i Bożeny czy Augustyna Dyjasa, także urzędnika, ale z Mysłowic, którego notatnik również odnaleziono w 1943 r. w czasie ekshumacji. Dyjas opisywał w nim m.in. wigilię w Kozielsku: „Rybę otrzymaną na śniadanie zostawiliśmy sobie na wieczerzę. Prócz tego 3 kolegów ofiarowało po puszce zaoszczędzonych konserw. Nasza piątka ofiarowała kisiel, inni suchary z chleba. Kupiliśmy jabłek, zrobiliśmy choinkę i świece. Wigilia była skromna, ale czuliśmy się jak w rodzinie".

Adres dr. Chaima Inwentarza został zatarty w mogile katyńskiej. Dopisujemy go w tym miejscu – Dzika 63 m. 35, Warszawa. Tam mieszkał ten lekarz – Polak wyznania mojżeszowego, absolwent Uniwersytetu Warszawskiego, weteran wojny z bolszewikami, oficer rezerwy, o którym przełożony z 82. pp pisał w początku lat 30.: „Bardzo chętny i staranny w pracy. Taktowny. Nadaje się na lekarza wojskowego".

Notes ppor. Andrzeja Riegera jest najobszerniejszym objętościowo dokumentem tego rodzaju, odnalezionym w dołach katyńskiego lasu.

Ostatni z braci

Wśród świadectw pozwalających zrozumieć ogrom straty narodowej spowodowanej tą zbrodnią sowiecką na inteligencji polskiej wyjątkową rolę odgrywają „Wspomnienia starobielskie" Józefa Czapskiego. W krótkiej, liczącej nieco ponad 30 stronnic opowieści sportretowano bowiem kilkunastu przedstawicieli polskiej elity, z którymi ich autor spędził kilka miesięcy w obozie. Wśród nich ppor. rez. Zygmunta Miterę. Czapski nieprzypadkowo zwrócił nań

Profesor Vincenzo Palmieri nad zwłokami jednego z oficerów zamordowanych w Katyniu FOT. COMMONS WIKIMEDIA, IMPERIAL WAR MUSEUMS

eprasa.pl ffb67b0033

uwagę. Niemający jeszcze 40 lat naukowiec był młodszym bratem Kazimierza Mitery, artysty malarza, legionisty, uczestnika wojny ukraińskiej i bolszewickiej, absolwenta Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie, redaktora „Głosu Plastyków". I przyjaciela Czapskiego, który po jego przedwczesnej śmierci napisał wzruszające wspomnienie o człowieku z „nigdy niesłabnącym zapałem i uporczywością, namiętnym oddaniem sprawom sztuki i kultury plastycznej w Polsce [...] [będącym] w naszym życiu zjawiskiem jedynym i niezastąpionym".

Wspomniał jeszcze o ideowym dziedzictwie przejętym po najstarszym z braci Miterów – Stanisławie, absolwencie Uniwersytetu Jagiellońskiego, uzdolnionym literaturoznawcy, oficerze Legionów, „uwielbianym dla zalet swego charakteru i umysłu przez swych podwładnych", który poległ w walkach z Rosjanami na Wołyniu jesienią 1915 r.

Młodszy od nich, urodzony w 1903 r. Zygmunt, inaczej niż starsi bracia, miał zdolności do nauk ścisłych. Po ukończeniu studiów w Akademii Górniczej w Krakowie z dyplomem inżynierskim wyjechał na Zachód, by kształcić się w dziedzinie geofizyki. Wiele lat spędził w Stanach Zjednoczonych jako stypendysta Fundacji Kościuszkowskiej. To dzięki jej wsparciu, jak napisano w jego biogramie na stronie Akademii Górniczo-Hutniczej w Krakowie, w 1933 r. „jako pierwszy Polak otrzymał stopień doktora nauk technicznych geofizyki stosowanej za pracę z zakresu elektrycznych metod poszukiwawczych".

Nie chciał pozostać na drugiej półkuli, gdzie czekały go perspektywy znakomitej kariery. Wrócił do ojczyzny, do Krakowa, by tam jesienią 1939 r. jako docent rozpocząć zajęcia na swojej macierzystej uczelni. Ale do tego już nie doszło. Wybuchła wojna, a Zygmunt Mitera jako doskonale oceniany oficer łączności otrzymał kartę mobilizacyjną. W liście do najbliższych wysłanym kilka dni przed wybuchem wojny napisał:

Nieśmiertelniki oficerów zamordowanych w Charkowie

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, IVONNA NOWICKA

„Cieszmy się jednak, że obecna chwila, tak krytyczna dla nas, a może i dla całej Europy, zastała mnie w mundurze oficera. Jest to dla mnie zaszczyt, że mogę bronić ojczyzny, by zachować jej niepodległość, o którą walczyli w szeregach Legionów Stach, a potem Kazik. Wszak sama Mamusia pisała mi nieraz, że Stach mówił, że po to idzie walczyć, by Zygmuś i Tadzik [najmłodszy z braci – przyp. M.G.] nie musieli bić się o wolność kraju.

Zygmunt Mitera

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, MUZEUM KATYŃSKIE

Stało się inaczej. Obecna chwila wymaga dużo ofiar od całego społeczeństwa. Wszyscy stajemy do walki o słuszne prawa, nie uznajemy bowiem pokoju »za wszelką ceną«".

Po zakończeniu wrześniowych walk został aresztowany przez okupacyjne władze sowieckie w pobliżu Kowla. Ileż żalu było w słowach Czapskiego o jego dalszych losach: „Ten człowiek miał w obozie niespożyte siły i humor; pomagał nam wszystkim, wygłaszał odczyty z dziedziny geologii i jeszcze pięknie śpiewał, gdy zbieraliśmy się razem wieczorami. Ten człowiek o rzadkiej wartości serca i umysłu zaginął razem z innymi w chwili, kiedy po wielu latach pracy liczył, że nareszcie wiedzę swoją będzie mógł dać Polsce".

Stary lekarz z Ziemiańskiej

Kapitan Jerzy Lucjan Kempner chlubił się tym, że w mieszkaniu jego babki odbyło się ostatnie posiedzenie Rządu Narodowego kierującego powstaniem styczniowym. W listopadzie 1918 r. ten nieco ponad 30-letni lekarz wstąpił do wojska i już w pierwszych dniach stycznia następnego roku brał udział w walkach na froncie ukraińskim pod Lwowem w 3. pp Legionów, a następnie 36. pp Legii Akademickiej.

W czasie wojny z bolszewikami służył jako kapitan w 9. Pułku Artylerii Ciężkiej i w szpitalu wojskowym w Kielcach. „Fachowiec dbający bardzo sumiennie nad stanem zdrowia jako też stosunkami sanitarnymi baterii, b. skrupulatny i chętny do pracy, charakteru wyrobionego" – pisano w opinii służbowej, wśród innych jego zalet wymieniając dużą energię w wykonywaniu powierzonych obowiązków, podkreślano też, że był lubiany przez innych oficerów.

Po wojnie wrócił do rodzinnej Warszawy. Pracował jako psychiatra. Józef Czapski spotykał go czasem w Ziemiańskiej, słynnej kawiarni skamandrytów,

eprasa.pl ffb67b0033

która przyciągała też inne postaci świata kultury okresu międzywojennego. Znał go słabo – jak przyznawał – jako obiekt trochę lekceważących żartów przesiadujących tam młodych artystów. „Jak kto nie miał paru złotych, pożyczał u doktora i doktor dobrodusznie wyciągał z portmonetki ostatnie złotówki".

Kempner dostał się do niewoli w szpitalu wojskowym w Tarnopolu. Czapski wspominał, że w obozie starobielskim początkowo przebywali razem z innymi oficerami „w jakimś urzędzie czy więzieniu pośrodku miasta […], na otoczonym murami podwórzu, w czterech malutkich klitkach i w wielkiej wozowni".

W marcu 1942 r., prawie dwa lata po śmierci kpt. Kempnera Czapski, który jeszcze o niej – i pozostałych kolegów – nie wiedział, ale już ją przeczuwał, zapisał w dzienniku: „Czuję [ich] jak kolce w sercu, jak ludzi, którzy dali całą swoją miarę wielkości właśnie poprzez cierpienie i może, i pewno śmierć swoją". Wśród nich – tego „doktora z Warszawy, starego Żyda z ogromnym nosem i czułym, hojnym sercem i gorącym polskim patriotyzmem, który mi wśród wszy, brudu i smrodu klitki więziennej w pierwszym naszym locum w Starobielsku dał pierwsze 5 rubli z kilkunastu, które posiadał".

Ileż planów…

„Co najbardziej nęka wyobraźnię, to indywidualność morderstwa, zwielokrotniona w swej potwornej masie" – napisał Józef Mackiewicz, autor pierwszej książki o zbrodni katyńskiej. Te słowa nabierają jeszcze bardziej dramatycznego wymiaru, kiedy przyglądamy się każdemu z tych tysięcy. „Ileż planów, ileż żywych młodych projektów miał ten niski, rudy chłopak w głowie". Tak wspominał Czapski kolejnego z kolegów ze starobielskiego obozu, Lecha Piwowara, poetę, jednego z inicjatorów powołania Krakowskiego Klubu Literatów i pisma „Antena Literacka", gdzie opublikował swoje pierwsze utwory. Politycznie sympatyzował z radykalną lewicą, udzielając się w organizacjach, które pozostawały w orbicie wpływów komunistycznych. Jednak po 1936 r. przerwał tę działalność, o czym zdecydowało może bardziej niż dostrzeżenie potworności tej ideologii poznanie artystki malarki Wandy Markiewicz i uczucie, które ich połączyło, doprowadzając do małżeństwa latem 1939 r.

Lech Piwowar FOT. COMMONS WIKIMEDIA

Kilka tygodni później Piwowar wyruszył na wojnę. Był bowiem nie tylko uzdolnionym poetą. W opinii ze służby w 1. Pułku Strzelców Podhalańskich pisano o nim jako oficerze rezerwy o wyrobionym charakterze, opanowanym, który wykazywał się dużym poczuciem obowiązkowości, o dobrej prezencji i wytrzymałości na trudy wojskowe. „Umysł jasny, bystry. Orientowanie się w nowych warunkach – zupełnie dobre. Zdolności kierownicze i wychowawcze – dobre. Poczucie dyscypliny duże. Wpływ na podwładnych – dodatni".

Ocalony z sowieckiej zbrodni autor „Na nieludzkiej ziemi" włożył ogromny wysiłek, by nie zaginęła pamięć o poecie, który w chwili śmierci przekroczył zaledwie 30. rok życia. I o jego twórczości, której ostatnie wyrazy powstały w obozie starobielskim: „Wożę ze sobą od tego czasu »książeczkę« uratowaną poprzez liczne rewizje" – w kolejnych obozach sowieckich – pisał Czapski. Przeszła ona następnie z nim cały szlak armii gen. Władysława Andersa i doczekała się publikacji po wojnie. W ostatnich latach wiersze Piwowara opublikowano także na stronie upamiętniającej paryską „Kulturę", w wersji dźwiękowej, w opracowaniu Stanisława Mancewicza i przezeń znakomicie odczytane. Jeden z nich – „Żołnierz, który klęczy" – dał też tytuł małej antologii poetów katyńskich, opracowanej przez Sławomira Gowina. Oto ostatnia strofa tego wiersza:

A w środku tego morza, szara muszla bólu,
wśród kompanii, która przyrasta do zielonych bruzd,
jest żołnierz, co klęczy i wyciąga ręce.
Krzyczy jego ciało, co najżarliwiej do ziemi się tuli.
Nie wiem, jakie słowo wyjąć mu z czarnych ust?
Ja jestem drzewo i zamilkam w męce.

Starobielsk, 20 listopada 1939 r.

„Ileż planów…". To samo można powiedzieć o innych przedstawicielach polskiej inteligencji – naukowcach i twórcach kultury, którzy znaleźli się po 17 września 1939 r. w sowieckich obozach. Poza tym, że wszyscy ci oficerowie, którzy padli ofiarą komunistycznej zbrodni wiosną następnego roku, współtworzyli elitę polskiej inteligencji, łączyło ich jeszcze coś więcej. Córka kpt. Maksymiliana Hoffmana, weterana wojny bolszewickiej i obrońcy Lwowa z września 1939 r., uwięzionego następnie w Starobielsku, wspominała, że jej ojciec „miał silne poczucie obowiązku. Zresztą nie tylko on, całe tamto pokolenie. Z wielu różnych powodów mógł nie iść na wojnę, ale uważałby to za dyshonor. Jego pokolenie było takie dumne ze swojej ojczyzny".

„Co najbardziej nęka wyobraźnię, to indywidualność morderstwa, zwielokrotniona w swej potwornej masie" – napisał Józef Mackiewicz, autor pierwszej książki o zbrodni katyńskiej"

Żaden z nich nie krył tej dumy przed funkcjonariuszami komunistycznego reżimu, którzy nie mogli mieć złudzeń, że kiedykolwiek uczyniliby z tych polskich oficerów część sowieckiej masy.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest doktorem habilitowanym, pracownikiem Archiwum IPN.

eprasa.pl ffb67b0033

Wieki XVII–XXI / Ludzkości zmagania z bakteriami

Zabójcze „żyjątka”

Operacja przeprowadzona przez Josepha Listera z użyciem antyseptycznego karbolu FOT. BETTMANN/GETTY IMAGES

Jakub Ostromęcki

Medycy bardzo późno zrozumieli, że zwykłe mycie rąk i narzędzi chirurgicznych może uratować niezliczone istnienia ludzkie. Największe odkrycia w kwestii walki z drobnoustrojami były dziełem kompletnego przypadku

Antoniemu van Leeuwenhoekowi dni mijały na wypełnianiu obowiązków rajcy w niderlandzkim mieście Delft i prowadzeniu tam sklepu odzieżowego. Konstruktorem amatorem mikroskopów był głównie po godzinach. Jego przyrząd optyczny różnił się od współczesnych mikroskopów mniej więcej tak, jak bicykl od samochodu. Mikroskop van Leeuwenhoeka był płytką długości kilku centymetrów, w której Holender wywiercił otworek średnicy kilku milimetrów, umieszczając w nim malutką soczewkę, którą wcześniej pieczołowicie polerował całymi dniami. Leeuwenhoek patrzył przez soczewkę na badany obiekt, który znajdował się na końcu szpikulca po drugiej stronie płytki. Położenie szpikulca regulowało się dwoma śrubkami biegnącymi prostopadle do siebie. W ten sposób mikroskop Holendra powiększał obiekty 270 razy – żaden inny ówczesny przyrząd optyczny nie mógł się z nim równać po tym kątem.

Leeuwenhoek obserwował wszystko. Od pcheł i wszy, przez wole oczy, aż do ludzkiej krwi. Było to bardzo interesujące, ale jeszcze nie przełomowe. Pewnego dnia w 1675 r. kupiec na końcu swojej igły umieścił kroplę z deszczówki zebranej w brudnym garnku. Patrząc na nią, nie mógł wyjść z podziwu. Dostrzegł coś, co pieszczotliwie określił mianem „żyjątek” lub „stworzonek”. Tak oto stał się pierwszym człowiekiem, który zaobserwował bakterie.

Okazało się też, że prawidłowo obliczył ich długość, porównując ją z ziarenkiem piasku. Potem przyszedł czas na badanie własnego ciała, w tym osadu zebranego z zębów. „Wszystkich ludzi żyjących w naszych Zjednoczonych Niderlandach nie ma aż tylu, ile żywych zwierzątek, co je noszę w ustach dzisiejszego dnia” – puentował obserwacje. Leeuwenhoek dokonał wówczas kolejnego wiekopomnego odkrycia. Po zalaniu wymazu z własnej jamy ustnej octem winnym zauważył, że wirujące w nim bakterie zginęły.

Odkrycia Holendra były tak wielkie, że w 1680 r. pyszni Anglicy przyjęli go do Królewskiego Towarzystwa w Londynie dla Rozszerzenia Wiedzy o Przyrodzie. Człowieka nieznającego nie tylko angielskiego, lecz także łaciny, i do tego pochodzącego z kraju, z którym Anglia jeszcze kilka lat wcześniej toczyła krwawe zmagania na morzu.

Jaki był wpływ Leeuwenhoeka na ówczesną medycynę? Żaden. Holender

eprasa.pl ffb67b0033

był konstruktorem amatorem, nie lekarzem ani nawet chemikiem i nie wpadł w związku z tym na pomysł, by porównywać próbki wzięte z ciał osób chorych, sprzed infekcji i po niej. On sam i jemu współcześni byli więc wciąż nieświadomi roli bakterii.

Dopiero 100 lat później Słoweniec Marko Plenčič vel Plenciz zaczął podejrzewać, że niektóre choroby mogą brać się od drobnoustrojów. Nie miał jednak na to dowodów i zdobyć ich nie mógł – Leeuwenhoek zabrał tajemnicę budowy swoich soczewek do grobu.

Ślepa medycyna

Ludzie wciąż nie wiedzieli, dlaczego wymierają całe miasta i narody. Od czasów starożytnych, od Hipokratesa i Klaudiusza Galena, aż do epoki oświecenia, wszyscy medycy byli przekonani, że przyczyną chorób jest brak równowagi między „humorami", czyli maziami wypełniającymi nasze ciało. Dla ludu pozostawiano prostsze wyjaśnienie: zaraza to gniew Boga.

Coś się zaczęło zmieniać w XVIII w., choć dalej błądzono po omacku. Humory zostały zastąpione przez włókna. Aby być zdrowym, trzeba było utrzymywać owe włókna w odpowiednim napięciu. Należało unikać spazmów i onanizmu, a w Wielkiej Brytanii także ginu, który stał się prawdziwą miejską plagą. Zalecano oblewanie się zimną wodą – z wyjątkiem kobiet w połogu, które musiały przebywać w cieple. Do tego ruch i jazdę konną – najlepiej trzy godziny dziennie – a także zmianę powietrza z „gęstszego" na „rzadsze". Jak do tych ostatnich wymogów mieli zastosować się ubodzy chłopi i robotnicy – nie wyjaśniono.

Od XIX w. zalecano gimnastykę i dietę opartą na mięsie. Zdrowie zależało też od gleby i klimatu. Przykładowo: dobre powietrze w Marsylii miało powodować „skłonności wibracyjne", co odpowiednio działało na nerwy. Przyczyny cholery upatrywano natomiast w zaduchu panującym w dzielnicach nędzy. Aby go ograniczyć, trzeba było brukować i poszerzać ulice. Wyziewy, w tym te z fabryk, traktowano dość wybiórczo. Jeśli nie zmieniały koloru okolicznej flory, a robotnicy nie uznawali woni za nieprzyjemną, to fabryka musiała być niegroźna – tak specjalni inspektorzy ocenili w 1825 r. wytwórnię chemikaliów w Charenton.

Ochronny strój lekarza średniowiecznego podczas epidemii dżumy FOT. COMMONS WIKIMEDIA

Podatność na choroby diagnozowano na podstawie sylwetki. Ludzie z wklęsłymi klatkami piersiowymi i niekształtnymi szyjami byli urodzonymi kandydatami na gruźlików. Jeszcze w połowie XIX w. uważano, że choroby tej można się było nabawić przy barze. Było tu coś na rzeczy, ale winny był nie alkohol, lecz brudne szklanki. Wiedza ta miała jednak dopiero przyjść.

Idzie nowe

Wiek XVIII przyniósł jednak kilka rewolucyjnych zmian na lepsze. Nadszedł koniec upuszczania krwi. Ten stosowany od stuleci zabieg zamiast leczyć, osłabiał pacjenta. John Hunter, chirurg eksperymentator, postulował, aby mniej grzebać w ranach postrzałowych, bo powoduje to jeszcze gorsze skutki. Było to oczywiście spowodowane całą menażerią zarazków pełzających po narzędziach cyrulików, ale tej przyczyny nikt jeszcze nie znał.

Antoni van Leeuwenhoek
FOT. COMMONS WIKIMEDIA, RIJKSMUSEUM

Skutecznie wzięto się za ospę, chorobę, która w XVIII w. stała się bardziej śmiertelna niż 100 lat wcześniej (zmarli na nią Józef I i Ludwik XV). Lekarze nie znali oczywiście jej wirusowego podłoża, nie potrafili objaśnić immunologii, ale zdawali sobie sprawę z tego, jak ważna jest bardzo ogólnie zdefiniowana odporność wewnętrzna – był to skutek nauki o włóknach i ich wzmacnianiu.

We Francji i w Anglii zaczęto więc postulować szczepienia. Opór przeciwko zabiegowi był ogromny, a polegał on na zwykłym nakłuciu skóry zarażoną igłą lub (jak na Dalekim Wschodzie) wdmuchnięciu chorej tkanki do nozdrza osoby zdrowej. Twierdzono, że to znachorstwo typowe dla kaukaskich babek, gaszenie ognia prochem i narażanie pacjentów na niebezpieczeństwo. James Jurin, brytyjski lekarz i znajomy Newtona, ripostował, że choć faktycznie w wyniku szczepienia umiera jeden pacjent na 50 – dziś odsetek absolutnie nie do zaakceptowania – to jednak bez niego śmiertelność wynosi jeden na 14 zarażonych. Odbiór szczepień zaczął się zmieniać w 1774 r., gdy zabiegowi poddał się sam Ludwik XVI.

Dwa lata później Edward Jenner zaszczepił synowi swojego ogrodnika niezbyt groźne zarazki ospy krowiej, która uodparniała na ospę prawdziwą. Zaraz też w Wielkiej Brytanii i w innych państwach Europy zaczęto szczepić wojsko i marynarzy. We Francji doby restauracji skutki szczepień ospą krowią były na tyle pozytywne, że pierwszy raz w historii cywilizacji europejskiej zaczęto zastanawiać się nad zdrowiem publicznym i przymuszeniem ludzi do tego, aby o siebie dbali. Budziło to jednak opór zarówno konserwatystów, jak i aparatu władzy. Państwowe komitety do spraw walki z ospą całą robotę zwaliły bowiem na władze lokalne i kazały im szukać środków na kampanię szczepień. Od lekarzy, jako ludzi z misją, władza oczekiwała, że wspierani przez merów i żandarmów bezinteresownie ruszą

eprasa.pl ffb67b0033

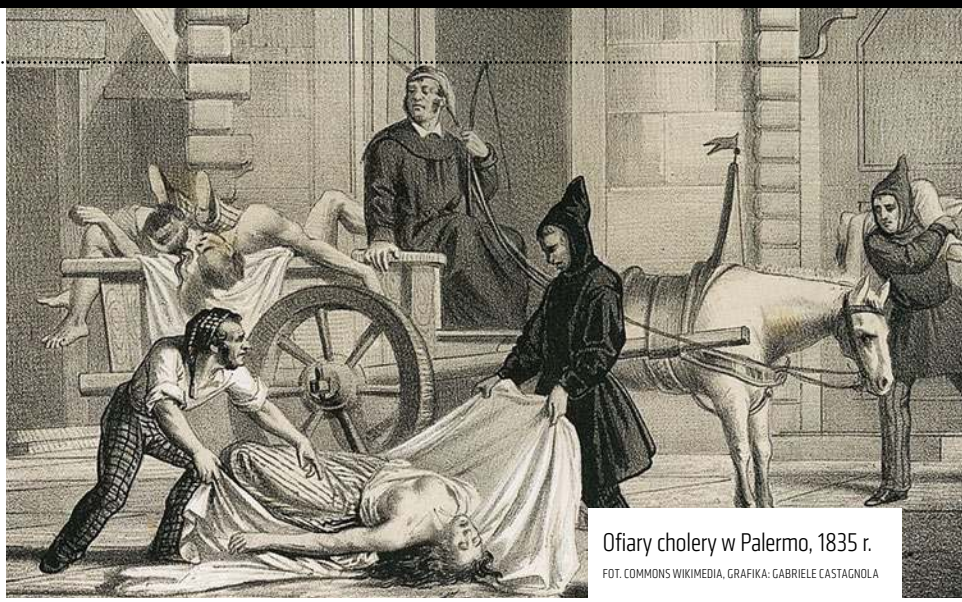

Ofiary cholery w Palermo, 1835 r.
FOT. COMMONS WIKIMEDIA, GRAFIKA: GABRIELE CASTAGNOLA

na wieś uzdrawiać lud. Pieniędzy nikt za to nie dostawał, monarchia zachęcała jednak lekarzy obietnicami awansu.

Skutki opisanych zmian były więcej niż zadowalające. Od rewolucji francuskiej do 1856 r. średnia długość życia wzrosła z 27 do 42 lat. Wśród robotników sytuacja wyglądała oczywiście znacznie gorzej niż u rodzącej się klasy średniej. Nie była to tylko zasługa szczepień przeciw ospie. Lepszej jakości życia, oprócz kalorii dostarczonych przez ziemniaki, sprzyjało wprowadzenie banalnych i oczywistych (dla nas) zabiegów, jak choćby izolacja chorych, zakaz spania w tych samych łóżkach, w których przed chwilą zmarli, przenoszenie cmentarzy poza miasto czy zmuszanie akuszerek do mycia rąk i paznokci – znów nie z powodu zarazków na nich żerujących. Ręce były po prostu widoczne. Brudem, pasożytami i wielomiesięcznym potem skrytym pod ubraniami i czepkami akuszerek nikt się jeszcze długo nie przejmował.

Przełom bakteriologiczny

Ignaz Semmelweis na krótko przed wybuchem Wiosny Ludów został lekarzem położnikiem w Wiedeńskim Szpitalu Ogólnym. Była to gigantyczna wielowydziałowa instytucja. Oddział położniczy szpitala podzielony był na dwie części – obsługiwane przez lekarzy i przez akuszerki. Semmelweis szybko zauważył, że posocznica połogowa zabija głównie pacjentki w części, gdzie pracowali lekarze. Chęć rozwikłania tej zagadki zaważyła na całym jego życiu. Porównywał wszystko – pochodzenie społeczne i ogólny stan zdrowia pacjentek, ściany w salach, powietrze, ubrania. I nic. Co więcej, czytając artykuły medyczne z całego świata, dowiedział się, że podobna sytuacja zdarza się też w innych szpitalach mających dwa pododdziały położnicze. Fakt, że lekarze chodzili wówczas robić sekcje zwłok do oddziału patologii, by po chwili udać się salę porodową, nie budził niepokoju ani Semmelweisa, ani nikogo z całej społeczności lekarskiej.

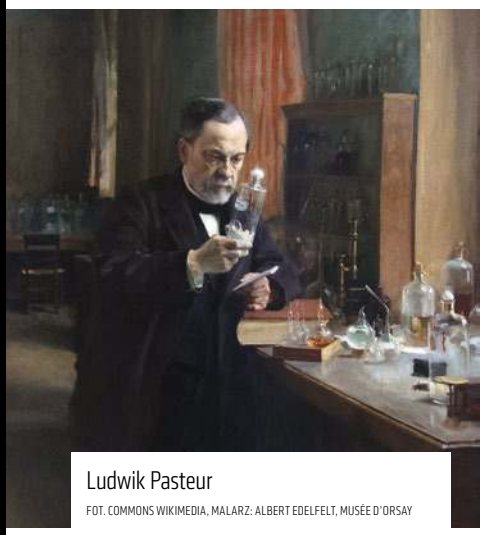

Ludwik Pasteur
FOT. COMMONS WIKIMEDIA, MALARZ: ALBERT EDELFELT, MUSÉE D'ORSAY

Wyjaśnienie pojawiło się w dość ponurych okolicznościach. W czasie sekcji zwłok student niechcący drasnął przyjaciela Semmelweisa. Lekarz szybko zmarł, a sekcja jego zwłok ukazała objawy identyczne jak te u kobiet z piętra wyżej. „Jeśli zatem w wypadku profesora Kolletschki ogólna sepsa rozwinęła się z zaszczepienia cząsteczek zwłok, to i gorączka połogowa musi pochodzić z tego samego źródła" – pisał Semmelweis. Na razie już jako szef oddziału zalecił mycie rąk w roztworze chloranu przed wejściem na salę porodową. Śmiertelność spadła niemal natychmiast i zrównała się ze szpitalami położniczymi, w których nie przeprowadzano sekcji zwłok. Problemem Semmelweisa było jednak to, że wciąż nie był w stanie pokazać światu naukowych dowodów – np. bakterii zabijających pacjentki. Zamiast o drobnoustrojach mówił o „trupich cząsteczkach". Nie uznawał innego źródła zakażeń jak tylko od trupa, ewentualnie od rozkładających się w pochwie lub w macicy resztek martwego płodu.

Dlaczego Semmelweis stronił od mikroskopów i nie szedł w ślady Leeuwenhoeka? Przyczyną był brak odpowiednich barwników. Soczewka Holendra pozwalała co prawda dostrzec bakterie, jednak wciąż nie wiadomo było, co te stworzenia robiły z komórką i jaki był ich cykl życia. Obraz tkanki w prymitywnym mikroskopie bez barwnika jest szary i nijaki. Dopiero wpuszczenie do próbki odpowiedniej substancji, która łączy się z komórką, pozwoliło dostrzec cale spektrum życia bakterii i ich wpływ na człowieka. Barwników takich Semmelweis nie miał.

Mimo to udałoby mu się pewnie przekonać konserwatywnie nastawionych lekarzy, gdyby nie jego charakter. Wiedeńczyk miał dość nabrzmiałe ego i był impulsywny. W swoich listach zaczął wymyślać sceptykom od morderców i Neronów. Koniec końców stracił stanowisko, wyjechał do Budapesztu i stoczył się zupełnie. Do stolicy cesarstwa wrócił w roku 1865, gdy dr Hebra, jego własny promotor i niegdysiejszy zwolennik, podstępem zwabił go do szpitala dla obłąkanych. Psychiatria, delikatnie mówiąc, była wówczas wciąż w powijakach, Semmelweisa więc na wstępie pobito, wciśnięto w kaftan, po czym wdrożono standardową procedurę polegającą na polewaniu wodą i lewatywie. Doktor zmarł w tym „szpitalu" kilka tygodni później w wyniku… zakażenia ran.

Studenci Semmelweisa przetłumaczyli jego artykuły na język angielski. Były one drukowane w prestiżowym magazynie naukowym „The Lancet". Nie wiemy,

eprasa.pl ffb67b0033

czy wpadły one w ręce Josepha Listera, chirurga i badacza z Glasgow. Pewne jest jednak, że w 1865 r. Brytyjczyk trafił na bardzo interesujący artykuł pewnego francuskiego chemika, opisujący badanie alkoholu zamienionego w bezwartościowy śluz. Chemikiem tym był Louis Pasteur, który w czasie swoich obserwacji pod mikroskopem zobaczył, że w badanej próbce alkoholu, oprócz drożdży, poruszają się również niespotykane wcześniej żywe pałeczki – to one odpowiadały za powstawanie ropnej mazi. Lister, również miłośnik obserwacji pod mikroskopem, natychmiast porównał ową maź z gangreną. Szybko zaczął więc szukać środka, który wzorem nafty zabijającej wszy zniszczy bakterie, nie robiąc krzywdy człowiekowi. Spacerując po Glasgow, stwierdził, że takim remedium będzie karbol, czyli wodny związek fenolu, który z kolei pozyskiwano w brytyjskich portach ze smoły węglowej.

Dzień przed śmiercią Semmelweisa, o której mało kto w Glasgow wiedział, na stół Listera trafił chłopak z otwartym złamaniem nogi. Zamiast amputować kończynę, jak to czyniono do tej pory w celu uniknięcia gangreny, Lister położył na ranie opatrunek nasączony karbolem. Rana szybko się zagoiła i chłopak wyszedł ze szpitala cały i zdrów. Była to jedna z pierwszych operacji z użyciem środka odkażającego. „W nauce uznanie zdobywa nie ten, kto pierwszy wpadł na jakąś myśl, lecz ten, kto przekona do niej świat" – kwitował cierpko syn Darwina, Francis. To właśnie dlatego jako pioniera antyseptyki historia zapamiętała Listera, a nie nieszczęsnego Semmelweisa.

Historia poznania bakterii nie byłaby pełna bez nazwiska Roberta Kocha, który w 1874 r., pracując w wolsztyńskiej kamieniczce, pastwił się nad biednymi myszami i królikami, wszczepiając im zarazki wąglika i opisując po raz pierwszy w świecie cykl rozwojowy bakterii. I to właśnie Koch odpowiada za stworzenie tego terminu. W 1882 r. opisał zaś działanie bakterii odpowiedzialnych za gruźlicę. Do jej ograniczenia wystarczyły proste środki higieniczne i chemiczne – pasteryzacje mleka oraz zakaz plucia gdzie popadnie.

Skutki odkryć innych bakterii przyszły równie szybko. W 1878 r. na francuskim parowcu przewożącym chorych żołnierzy z Indochin do metropolii ograniczono czerwonkę niemal do zera poprzez obowiązek picia przegotowanej wody i sterylizacji mleka. Wcześniej na tym samym statku umierało 20 proc. chorych żołnierzy. Cholerę udało się natomiast zwalczyć dzięki budowie wodociągów niezależnych od brudnej przeważnie wody z rzek. W ślad za antyseptyką i higieną szły śmiałe projekty mieszkaniowe. „Czysty dom to zdrowy dom" – hasło to tylko pośrednio wynika z odkryć Kocha czy Pasteura, ale okazało się, że w nowo zbudowanych osiedlach robotniczych przed pierwszą wojną światową śmiertelność była dwa razy mniejsza niż w dawnych slumsach, gdzie rezydowali przedstawiciele tej samej klasy społecznej. Świat, zdawałoby się, zmierzał ku lepszemu.

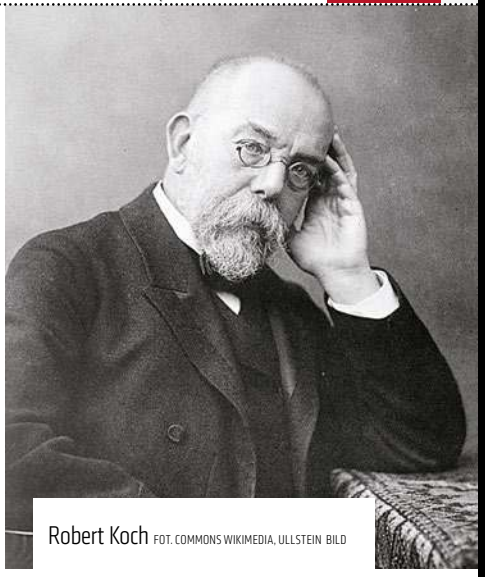

Robert Koch FOT. COMMONS WIKIMEDIA, ULLSTEIN BILD

Mycobacterium tuberculosis, bakteria wywołująca gruźlicę

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, CENTERS FOR DISEASE CONTROL AND PREVENTION

Złe i dobre bakterie

„Odkrycie mikrobów i jego konsekwencje odbudowały solidarność społeczeństwa" – stwierdził Georges Vigarello, autor słynnej monografii „Historia zdrowia i choroby". Historyk miał tu na myśli wielkie kampanie społeczne XIX w. propagujące szczepienia. Wzmacnianie odporności jednej osoby wpływało bowiem na innych, nawet tych niezaszczepionych. W szczególnej roli wystąpiła tu władza dbająca o obywateli, a także sami zaszczepieni, którzy – przynajmniej na zewnątrz – motywowali swoje działania patriotyzmem, mawiając, że w ten sposób budują siłę narodu.

Cywilizacja białego człowieka ruszyła do walki z drobnoustrojami, zapominając, że przecież większość bakterii ma na nas pozytywny wpływ. Antybakteryjny zelotyzm podsycały odkrycia Darwina, a raczej ich opaczne rozumienie, sprowadzające ewolucję jedynie do bezlitosnej walki o przetrwanie. Noblista Ilja Miecznikow próbował ostudzić rozgrzane głowy, wskazując, że picie kwaśnego mleka (tworzonego przecież przez bakterie) ma na ludzkie zdrowie pozytywny wpływ. Zdrowa moda przyjęła się tu i ówdzie, ale niewiele to zmieniło w podejściu do bakterii.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl ffb67b0033

1906–1907 / Zpomniane strajki szkolne w zaborze pruskim

Kościół Wszystkich Świętych w Skórczu FOT. COMMONS WIKIMEDIA, MAZBLN

Nie tylko Września

Adam Hlebowicz

Protest polskich dzieci i ich rodziców spotkał się z brutalnymi niemieckimi represjami

Kiedy przejeżdżamy przez Pomorze Gdańskie, w niewielu miejscowościach odnajdziemy upamiętnienia związane ze strajkiem szkolnym lat 1906–1907. Tablice pamiątkowe są w Skórczu i Kasparusie. Do tego kilka cennych opracowań, pozostających jednak raczej w wąskim kręgu odbiorców, od czasu do czasu konferencje naukowe. To wszystko. Tymczasem te wydarzenia, które objęły ok. 760 szkół Prus Zachodnich i prawie 47 tys. dzieci, były fundamentem odradzanej polskości na tych ziemiach, który przyniósł wymierny efekt kilkanaście lat później.

Początki oporu

Do Wiosny Ludów na terenie zaboru pruskiego, wyłączywszy okres napoleoński oraz wsparcie udzielone powstaniu listopadowemu, nie było większego oporu przeciwko rządom zaborczym. Wynikało to z jednej strony z szoku doznanego z powodu utraty niepodległości, z drugiej – z dość liberalnej polityki Prus w tym czasie. Do tego sprawnie działała tutejsza administracja oraz respektowane było prawo. Polityka pruska zmieniła się po listopadzie 1830 r. Swobody, którymi dotychczas cieszyli się Polacy w tym zaborze, zaczęto systematycznie ograniczać.

Od 1849 r. w Sejmie Pruskim działało Koło Polskie, które istniało do upadku państwa Hohenzollernów w 1918 r. Choć liczba polskich posłów nigdy nie przekroczyła 2–7 proc. ogółu parlamentarzystów, to jednak ich głos był dobrze słyszalny na terenie Niemiec. W 1869 r. w Toruniu powstało Towarzystwo Moralnych Interesów Ludności Polskiej pod Panowaniem Pruskim, które miało szerzyć oświatę i dbać o dobre imię Polaków. Jeden z twórców tej organizacji, Ignacy Łyskowski, opracował elementarz do nauki języka polskiego, który wydrukowano w łącznym nakładzie ok. 70 tys. egzemplarzy. Podstawą wychowania patriotycznego był dom rodzinny. Nie tylko mówiono w nim po polsku, lecz także coraz częściej, nawet w ubogich domostwach, można było na ścianach odnaleźć portrety bohaterów narodowych, niekiedy pilnie wycinane z nielicznych jeszcze wtedy polskich czasopism. Repre-

eprasa.pl ffb67b0033

sje wobec języka ojczystego, wbrew intencjom ich pomysłodawców, skonsolidowały Polaków w zaborze pruskim.

Walka o szkołę

Doba kulturkampfu, czyli polityki państwa skierowanej przeciwko Kościołowi katolickiemu w Niemczech, otworzyła również okres otwartej walki Prus z polskością. W jej wyniku w latach 1872–1874 prawie całkowicie wyrugowano język polski ze szkół. Wtedy zaczęła się pierwsza fala protestów w placówkach oświatowych. W odpowiedzi władze pruskie rozpoczęły przenoszenie polskich nauczycieli na tereny zamieszkiwane przez ludność niemiecką. A skierowani na wakujące stanowiska nauczyciele niemieccy z Zachodu nie znali polskiego ani miejscowych tradycji i zwyczajów, często obca im była psychika polskiego dziecka. Wielu z nich prezentowało słaby poziom nauczania. Ale jednocześnie, w odpowiedzi na działania pruskie, zaczęto tworzyć na Pomorzu Towarzystwo Czytelni Ludowych i Towarzystwo Gimnastyczne „Sokół". Powstające w konspiracji kółka samokształceniowe, których tradycja sięga lat po upadku powstania listopadowego, zyskały miano filomatów pomorskich. Nieformalne struktury tego ruchu tworzyły się w Chojnicach, Chełmnie, z czasem także w Wejherowie, w Brodnicy, a potem w Lubawie, Nowym Mieście Lubawskim, Starogardzie Gdańskim i Toruniu.

Kulminacją represji władz pruskich wobec tajnej polskiej oświaty był wielki proces filomatów, który odbył się w Toruniu w dniach 9–12 września 1901 r. Śledztwem objęto 142 uczniów i studentów, ale w procesie oskarżono ostatecznie 60 spośród nich. W jego wyniku 15 osób zostało uniewinnionych, reszta zaś skazana na karę więzienia od jednego dnia do trzech miesięcy. W ramach represji wielu uczniów usunięto ze szkół, część trafiła do wojska pruskiego. Można śmiało powiedzieć, że cała przyszła polska elita tego zaboru przeszła przez ruch filomacki. Kilka miesięcy przed procesem toruńskim w Wielkopolsce, we Wrześni, polskie dzieci odmówiły odpowiadania po niemiecku na lekcji religii i wzięcia do rąk niemieckich katechizmów. Ukarano je chłostą. Zaprotestowali rodzice, za co spotkały ich aresztowania, a następnie 19 listopada w Gnieźnie odbył się proces przeciwko 23 osobom, które oskarżone zostały o sprowokowanie strajku we Wrześni. Wyroki skazujące wyniosły do dwóch lat pozbawienia wolności.

Nr. 33. Pelplin, wtorek, dnia 17 marca 1908. Rok XXXX.
PIELGRZYM.
Silni wiara i miłością.
Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!
Nr. 127. Grudziądz, na wtorek 22-gu października 1906. Rok XII.
Gazeta Grudziądzka.
„Gazeta Grudziądzka"
W imię Boże! Za Wiarę i Ojczyznę!
Telefon 147.
Ogłoszenia.
Niech będzie pochwalony
Wiec w Olsztynie.

Winiety gazet wydawanych w zaborze pruskim

FOT. BIBLIOTEKA NARODOWA

Kara za kanapkę

Olbrzymią rolę w odradzaniu polskiej świadomości odegrały czasopisma. W okresie 1848–1920 na terenie Prus Zachodnich ukazywało się 76 tytułów pism polskich. Największe, najbardziej opiniotwórcze z nich to „Gazeta Grudziądzka", „Gazeta Toruńska", „Pielgrzym" i kilka innych. Na początku XX w. nakład polskich czasopism na Pomorzu wynosił 70 tys. egzemplarzy. Szczególnie ważny był „Pielgrzym". Było to czasopismo o charakterze religijnym i społeczno-narodowościowym, wydawane na Pomorzu od 1869 do 1939 r. i wznowione w 1989 r. w Pelplinie. Początkowo był to tygodnik, a od 1876 r. „Pielgrzym" ukazywał się dwa razy, a od kolejnego roku trzy razy w tygodniu. Tytuł pisma nawiązywał do symbolicznego wędrowca, który pielgrzymując, uświadamiał mieszkańców Pomorza o przynależności do narodu polskiego, podążał szlakiem polskiej tradycji i był obrońcą wiary. Redaktorzy pisma podejmowali walkę o zachowanie języka polskiego i kultury rodzimej, a czasopismo pełniło funkcję przekaźnika idei pracy organicznej. Dlatego też w opinii władz pruskich „Pielgrzym" zyskał miano centralnego ośrodka polskości w Prusach Zachodnich. To „Pielgrzym" piórami swych redaktorów namawiał polskich rodziców, aby posyłali swe dzieci do szkoły, co początkowo nie było wcale takie oczywiste.

W czasie strajków szkolnych w Prusach nakład pisma wzrósł o 100 proc. Z 6,3 tys. egzemplarzy w 1904 r. do 12,4 tys. w roku 1907. U progu niepodległości, w 1919 r., było to już 28,8 tys. egzemplarzy. O tym, jak władze pruskie bały się polskiej prasy, niech świadczy fakt, że karano uczniów za przyniesienie kanapek do szkoły owiniętych w polskie gazety.

Przeciw Hakacie

Rugowanie języka polskiego z nauczania religii, wywołane działaniami tzw. Hakaty, (Niemiecki Związek Marchii Wschodniej), której celem była germanizacja Polaków w zaborze pruskim, spowodowało bezpośredni impuls do wybuchu fali strajków. Jak wspominał jeden z uczestników protestów: „Buta pruska i gwałtowny system germanizacyjny miał jednak tę dobrą stronę, że zamiast z nas, polskiej młodzieży, stworzyć uległych, zniemczałych i powolnych pruskich pachołków, a przede wszystkim dzielnych żołdaków, chętnych do umierania w imię imperialistycznych zapędów Wilhelmów, za »Vaterland«, obudził potężne poczucie patriotyczne do wszystkiego, co polskie".

Wskazywane są różne miejsca, gdzie rozpoczął się protest na terenie Prus Zachodnich. Według uczestników zjazdu strajkujących z 1937 r. były to Jaźwiska pod Gniewem, gdzie do protestu doszło już 15 lipca 1906 r. Według innych źródeł początek wydarzeń miał miejsce 11 lipca w Ratach w powiecie kartuskim. Jednak kluczowe znaczenie miał wiec w Pelplinie 30 września tamtego roku, gdzie podjęto rezolucję w obronie języka polskiego w nauce religii. Protest dzieci

eprasa.pl ffb67b0033

Niemiecka karykatura prasowa – satyra na polski strajk szkolny

FOT. COMMONS WIKIMEDIA

i ich rodziców odmawiających nauki religii w języku niemieckim szybko rozprzestrzenił się na całe Pomorze. Powiat lubawski (najbardziej polski na terenie całych Prus Zachodnich – prawie 90 proc. jego mieszkańców stanowili Polacy), obok Kaszub, Kociewia, powiatu tucholskiego i chełmińskiego, należał do przodujących pod względem liczby strajkujących dzieci i szkół objętych akcją strajkową. Przyjmuje się, że strajki w Prusach Zachodnich objęły ok. 760 szkół Prus Zachodnich i prawie 47 tys. dzieci. Gdy chodzi o poszczególne powiaty, to do najliczniejszych protestów doszło w powiecie kartuskim – 61 szkół, lubawskim – 55, starogardzkim – 53, świeckim – 38, toruńskim i chojnickim – po 30. W listopadzie 1906 r. „Pielgrzym" i „Gazeta Toruńska" wymieniały 28 miejscowości, w których uczniowie protestowali przeciw nauce religii w języku niemieckim. Najdłużej strajk trwał w szkole w Przewodniku – 36 tygodni, w Pinczynie – 19, a w Pelplinie – 10 tygodni. Dodać należy, że podobne protesty, ale na mniejszą skalę, odbywały się w Wielkopolsce. Łącznie na terenie całego zaboru pruskiego strajkowało ok. 75 tys. dzieci i młodzieży

Chłosta i głos noblisty

Niemieccy nauczyciele, wzorem Wrześni, wobec strajkującej młodzieży stosowali brutalne metody. Kary cielesne były na porządku dziennym. Zdarzały się przypadki takiego skatowania uczniów, że niezbędna była pomoc lekarza. Do najbardziej brutalnego pobicia doszło w Kasparusie. Ale ataki cielesne wobec uczniów miały miejsce także w Kowalewie, Pinczynie, Skórczu, Smolnikach, Starogardzie, Suchobrzeźnicy, Zblewie. Skargi kierowane przez rodziców do sądu w Gdańsku władze pruskie ignorowały, a sądy wydawały wyroki uniewinniające, orzekając, że ustawy niemieckie zezwalają na taką formę stosowania kar. Zdarzało się, że nauczyciele zastraszali uczniów, wymierzając w nich lufy nabitych pistoletów. Wszelkie próby odwetu i obrony swoich dzieci przez rodziców były bardzo surowo karane. Wielomiesięczne więzienia, brak ponownego zatrudnienia, zakaz kupowania na miejscu drewna opałowego, wysokie grzywny pieniężne – to tylko niektóre formy represji. Większość skazanych rodziców należała do biedoty wiejskiej i nie była w stanie zapłacić zasądzonych grzywien.

Sprawa protestów polskich dzieci znalazła rozgłos międzynarodowy. Pisały o niej angielski „Standard" i francuskie „Echo de Paris". Najbardziej głośny jednak stał się list otwarty noblisty Henryka Sienkiewicza do cesarza niemieckiego Wilhelma, opublikowany na łamach krakowskiego „Czasu" 19 listopada 1906 r. „Miara w prześladowaniu ciał i dusz jest przebrana! […] Straszne, głęboko niemoralne i niedające się niczym usprawiedliwić są ustawy, na które odpowiedzią jest płacz tysięcy niewinnych dzieci. Szkoła, w niej nauczyciel w Królestwie Pruskim, nie jest przewodnikiem, który dziecko polskie oświeca i prowadzi do Boga, ale jakimś bezlitosnym ogrodnikiem, którego urzędowym obowiązkiem jest zdrową polską latorośl przemocą przerobić, choćby na krzywą i skarlałą płonkę niemiecką. I oto z każdym rokiem więcej w tych szkołach łez, więcej świstu rózeg, więcej męczeństwa".

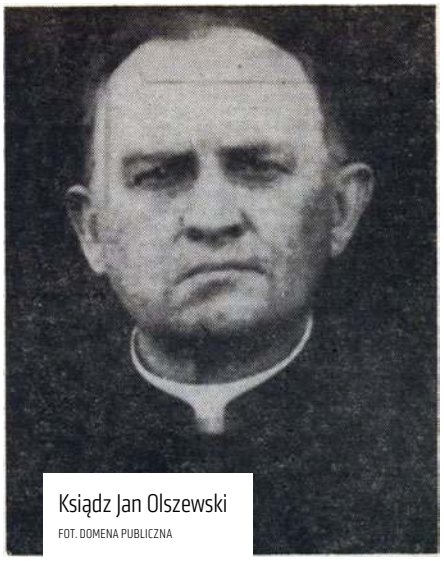

Ksiądz Jan Olszewski

FOT. DOMENA PUBLICZNA

Procesy księży

W połowie stycznia 1907 r. aż 80 księży w Prusach Zachodnich i Poznańskiem miało wytoczone procesy za walkę z językiem niemieckim w nauczaniu religii. Nie była to zorganizowana akcja duchowieństwa, raczej indywidualne akty obrony dzieci i młodzieży przez księży ze swoich parafii. Na tym tle wyróżniła się akcja księży z dekanatu lubawskiego, gdzie siedmiu proboszczów na 11 zdecydowało się wystosować specjalne pismo skierowane do wiernych. 11 listopada 1906 r. z ambon w siedmiu kościołach dekanatu Lubawa odczytano pismo, w którym m.in. autorzy napisali: „Rodzice polscy mają prawo i boskie, i ludzkie za sobą, a przeto mają obowiązek żądania polskiej nauki dla swoich dzieci. Atoli powinni się tego domagać prawnie, spokojnie, a stanowczo. Przede wszystkim zaś sami powinni uczyć dzieci religii św.".

W efekcie ośmiu duchownym przedstawiono akt oskarżenia i 29 stycznia

eprasa.pl ffb67b0033

1907 r. stanęli przed sądem w Lubawie. Sąd uznał wszystkich oskarżonych za winnych i skazał każdego na miesiąc więzienia i pokrycie kosztów procesu. Oskarżenie, proces i wyrok spotkały się z ogromną falą reakcji ze strony wiernych poszczególnych parafii. Kiedy duchowni wracali po odbyciu wyroku do swoich miejscowości, byli procesjonalnie witani na dworcach i odprowadzani na plebanie.

Tak pisał w „Gazecie Grudziądzkiej", niecałe dwa tygodnie po procesie skazanych duchownych, nieznany korespondent z Lubawy: „Cała rozprawa sądowa w tym dniu była jednym ciągłym zwycięstwem moralnym dla naszej sprawy [...]. Sto wieców nie byłoby w stanie to zdziałać dla wiary naszej świętej i dla polskości, co ten wyrok zdziałał. Okaże się to w przyszłości".

Okolicznościowe wydawnictwo zjazdu uczestników strajków szkolnych FOT. BIBLIOTEKA NARODOWA

Ksiądz Olszewski w więzieniu

Inny głośny proces dotyczył proboszcza z Osieka ks. Jana Olszewskiego, który toczył się 27 września 1907 r. przed izbą karną w Starogardzie. W tym wypadku chodziło zarówno o parafię osiecką, jak i słynny już wówczas strajk w Kasparusie, dokąd ks. Olszewski dojeżdżał. Na ławie oskarżonych prócz duchownego zasiedli organista i dwie kobiety. Wszyscy byli oskarżeni o nawoływanie do strajku szkolnego, proboszcz Olszewski dodatkowo o to, że na ambonie odczytał kilka uchwał z okólnika księży dekanatu lubawskiego i w kilku słowach zachęcał parafian do wychowywania dzieci w duchu katolickim. Jako dowód swych twierdzeń o inspirującej roli duchownego prokurator uznał, że staraniem ks. Olszewskiego założono w Osieku polski Bank Ludowy, Związek Konsumpcyjny „Kupiec", Towarzystwo Ludowe i Towarzystwo Flisaków. Wszystko to miało być dowodem, że ks. Olszewski jest jednym z najczynniejszych działaczy polskich w Osieku i okolicy. Ostatecznie kapłan został skazany na półtora roku więzienia, co było największą karą, jaką wymierzono komukolwiek w czasie wydarzeń lat 1906–1907. Ksiądz odbywał wyrok w Gdańsku. Po zwolnieniu, zmuszony przez niemieckiego biskupa do opuszczenia Osieka, został skierowany do niewielkiego Szczodrowa, gdzie pracował do śmierci.

W maju 1908 r. skazano na kary więzienia w wymiarze 4–12 miesięcy i wysokie grzywny finansowe, dochodzące do wysokości dwuletnich ich zarobków, 27 mieszkańców Kasparusa, czynnie broniących swych dzieci po pobiciu ich przez niemieckiego nauczyciela. Nałożenie wysokich kar finansowych doprowadziło wielu mieszkańców tej wsi kociewskiej do skrajnego ubóstwa. Kary dotknęły ludzi niezamożnych, przede wszystkim chałupników i robotników leśnych.

Potrzebna pamięć

Wszystkie procesy, choć zazwyczaj niewiele mające wspólnego z dochodzeniem prawdy i sprawiedliwości, umocniły jedynie opór Polaków, stając się dzięki nagłośnieniu przez prasę we wszystkich zaborach symbolami walki o prawdę i tożsamość narodową.

Strajki szkolne, które objęły tak wiele osób, dzieci, młodzież i wspierających ich dorosłych, nie zakończyły się bezpośrednim sukcesem. Zahartowanie w tym boju przyniosło jednak wymierny efekt w okresie walki o niepodległość Polski. Wielu uczniów, teraz już dorosłych, stanęło w szeregi różnych formacji Wojska Polskiego, wielu z nich zasłużyło się w okresie II Rzeczypospolitej. Szkoda, że te wielomiesięczne zmagania o polską duszę nie zostały jak dotąd upamiętnione okazałym pomnikiem w Gdańsku, Toruniu, Tczewie, Starogardzie, Wejherowie czy Kartuzach. Takie upamiętnienie byłoby czytelnym symbolem dla potomnych o randze tego wydarzenia.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest pracownikiem IPN.

Upamiętnienie strajków szkolnych w Kasparusie FOT. COMMONS WIKIMEDIA, CIACHO 5

eprasa.pl ffb67b0033

1930–2024 / Andrzej Mularczyk

Twórca i tworzywo

Krzysztof Masłoń

Nawet najlepsze reportaże literackie, które wyszły spod jego ręki, pozostawały zawsze w cieniu tego, co zrobił dla kina

FOT. KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI/FORUM

eprasa.pl ffb67b0033

To Andrzejowi Mularczykowi Polacy zawdzięczali swoje najbardziej ukochane filmy, te oglądane dziesiątki razy i za każdym razem wywołujące oczyszczający śmiech i łzę wzruszenia. Bez jego scenariuszy nie byłoby „Niespotykanie spokojnego człowieka" ani „Cudownie ocalonego", „Wyjścia awaryjnego" i „Ostatniego takiego tria", seriali „Dom" i „Droga". A przede wszystkim sławnego tryptyku, w reżyserii Sylwestra Chęcińskiego, zapoczątkowanego w 1967 r. filmem „Sami swoi".

Za rolę Pawlaka w tym filmie Wacław Kowalski dziękował scenarzyście, twierdząc, że czekał na nią całe życie. I zagrał ją, jak nikt inny by nie potrafił. Rozsadził sobą ekran, usuwając w cień wszystkie inne postaci, włącznie ze znakomitym przecież Władysławem Hańczą grającym Kargula, antagonistę Pawlaka. Ale też wyborny aktor dostał do ręki wyśmienity materiał utkany z wielu rozmów prowadzonych przez autora ze swoim stryjem, Janem Mularczykiem, którego nazywał „pisarzem słowa". Mularczyk żartował, że właściwie niczego do tych opowieści nie musiał dodawać. Tylko słuchał…

W istocie „Sami swoi" rodzili się długo. Najpierw był radiowy scenariusz „I było święto". Ale najważniejszy był stryj pisarza, ten sołtys wsi Boryczówka pod Trembowlą. „Kiedy wysiedlano stamtąd wszystkich Polaków i wywożono na Ziemie Zachodnie – opowiadał Andrzej Mularczyk – stryj musiał być do końca, jako »gołowa sieła«, czyli sołtys. I dlatego jechał późniejszym transportem z inną wsią. Pociąg się zatrzymał gdzieś w okolicach Tymowej, między Lubinem i Ścinawą. I tam stryj zobaczył znaną sobie krowę z ułamanym rogiem, własność nielubianego sąsiada. Mućkę po prostu. Pomyślał wtedy: Ot dojechał ja do swoich… I wysiadł, kazał odczepić swój wagon… Ta scena, żywcem zapisana w »Samych swoich«, jest całkowicie prawdziwa. Kanwa tego filmu jest w ogromnej części opowieścią stryja. Ja jej tylko uważnie wysłuchałem".

A we wstępie do książkowej wersji „Samych swoich" Mularczyk pisał tak: „Są ludzie książki, z których można czytać ich życie, ale są też ludzie, piszący swoim życiem prawdziwą literaturę, która zawsze miesza tragedię z komedią. Mój narrator nie był tylko gawędziarzem, jak wielu ludzi ze Wschodu, gdzie nie było teatru, radia, dansingów ani kina i słowo przekazywało wszystkie ważne wydarzenia. On był autorem literatury mówionej, który ofiarował mi swoje życie jako tworzywo. A tworzyć to powołać do życia coś, co nie istnieje w rzeczywistości, ale co bez zakorzenienia w tejże rzeczywistości nigdy nie będzie wiarygodne. Słuchając go, musiałem wejść w jego skórę i zrozumieć, że dla niego ziemia zawsze była miarą wszystkiego, a niebo zawsze powinno być po jego stronie, skoro jest powiedziane, iż chłop wytwarza to, o co się świat modli: »chleba naszego powszedniego…«".

Władysław Hańcza i Wacław Kowalski. Kadr z filmu „Sami swoi" FOT. STUDIO FILMOWE ILUZJON

Sztuka mimikry

Andrzej Mularczyk zadebiutował w wyjątkowym, okupacyjnym czasie, do tego bardzo wcześnie, bo w wieku 13 lat. Reporterskim, rzec można, tekstem, którym był pomieszczony w konspiracyjnych „Dźwigarach" opis ulicznej egzekucji. Widział ją, więc dał świadectwo. Mieszkał wtedy w podwarszawskim Konstancinie, ucząc się na tajnych kompletach.

Naukę kontynuował po wojnie, zdał maturę w roku 1948. Dziennikarstwem zajął się wcześniej niż studiami na uniwersytecie. Pisywał reportaże w tygodniku „Razem", a potem w „Pokoleniu", gdzie w 1950 r. opublikował swój pierwszy utwór, powiedzmy, że literacki, przepięknie zatytułowany i tak też napisany: „Maszyniści z krążownika »Aurora«". Współautorem był nie kto inny, jak Jerzy Janicki. Ta spółka autorska przetrwa wiele lat, a jej kwintesencją stał się niezapomniany serial „Dom".

A pisarskie ostrogi ci legendarni dziś twórcy zdobywali, snując opowieści o dzielnej młodzieży z Komunistycznego Związku Młodzieży Polskiej złożone w tom „Towarzysze z Dąbrowy" (1953). Rok później, już samodzielnie, wydał, a jakże, powieść, tym razem o dobrych ZMP-owcach i złych chuliganach („Karuzela"). Sam był zresztą przykładnym ZMP-owcem, a wcześniej ZWM-owcem. Miał po temu powody.

Jego ojciec, płk Józef Mularczyk, we wrześniu 1939 r. był dowódcą 2. Pułku Strzelców Konnych w Wołyńskiej

eprasa.pl ffb67b0033

Brygadzie Kawalerii, a jakby tego było mało, w czasie okupacji pełnił obowiązki komendanta Inspektoratu Rejonowego Armii Krajowej Kielce. Dość było tego, by o jego dalsze losy zatroszczył się Urząd Bezpieczeństwa. Musiał więc zniknąć z Warszawy, co uczynił, znajdując pracę w stadninie koni pod Wałbrzychem – w Książu.

Andrzej Mularczyk, by nie wytykano mu niewłaściwego pochodzenia, stosował więc mimikrę, wcielając się w rolę gorliwego ZMP-owca. A i tak uważano go, podobnie jak Janickiego, za inteligenckiego zgniłka, toteż – jak wspominał – podjęli się niewdzięcznego zadania odszukania ludzi, którzy mieli to niespotykane szczęście, by osobiście spotkać się z samym Leninem. No, ostatecznie z innymi pomniejszymi bohaterami Wielkiej Socjalistycznej Rewolucji Październikowej. Zjeździli pół Polski, gromadząc nawet całkiem niemało materiału, który – rzecz jasna – spoczął gdzieś w jakimś ściśle strzeżonym miejscu, by nigdy nie ujrzeć światła dziennego, ale adepci PRL-owskiej żurnalistyki mieli spokój.

Rodzimi słuchacze najbardziej mu byli wdzięczni za współtworzoną przez niego radiową powieść „W Jezioranach", nadawaną od 1960 r.!

Kantor wymiany uczuć

Po ukończonych w 1955 r. studiach dziennikarskich Mularczyk został reportażystą w już całkiem poważnym tygodniku „Świat", po trzech latach już na dobre znalazłszy miejsce dla siebie w Polskim Radiu, gdzie pracując w dziale audycji dokumentalnych, pisał reportaże i słuchowiska. W tych ostatnich tak się wyspecjalizował, że stworzył ich 70, a „Z głębokości wód" i „Cyrk odjechał, lwy zostały" nagrodzone zostały w Prix Italia. Rodzimi słuchacze najbardziej mu jednak byli wdzięczni za współtworzoną przez niego radiową powieść „W Jezioranach", nadawaną od 1960 r.! W sumie do tej pory powstało ponad 3,3 tys. odcinków tej nadawanej co tydzień historii mieszkańców fikcyjnej wsi Jeziorany niedaleko Puław.

W 1998 r. wydał po raz pierwszy, później wznawiane, „Polskie miłości". Ten zbiór reportaży czy raczej opowieści łączy tematyka na pozór do bólu ograna, w istocie zaś wyjątkowa, a decyduje o tym wojna, która zresztą pojawia się u tego autora zawsze, jakby był nią zainfekowany. I to nie tylko dlatego, że ją przeżył; powtarzał, że i powojenne pokolenie nie uwolni się od tego ciężaru. Taki to nasz polski los. Dlatego też polskie miłości są inne.

„Już wiele lat temu – pisał, a właściwie zwierzał się – zacząłem układać tego pasjansa polskich miłości. Pierwszy zapis to rozmowa z kobietą, uratowaną od próby samobójstwa.

– Kogo mam przeklinać? Wojnę, jego, los czy Boga?

Ktoś, kto kochał naprawdę i naprawdę był kochany, kto przymierzał już suknię ślubną, a nie zatańczył na swoim weselu, ten nigdy nie pozbędzie się żalu do świata.

Miłość to tylko obietnica, ale ich miłość to obietnica spełniona – tak pisał do niej w swoich wierszach. Nawet z getta tak do niej pisał. Żeby go uratować, znalazła mu kryjówkę u swoich krewnych na dalekiej wsi. Sama wymyśliła, by włożył sutannę i w niej odbył bezpiecznie podróż przez pół Generalnej Guberni. Była obława. Trafił w Oświęcimiu do baraku księży. On uczył się, jak odprawić mszę, ona czekała, czytając jego wiersze. Po wojnie zjawił się nocą, w płaszczu narzuconym na sutannę. Powiedział, że przypadek zmusił go, by udawał księdza, ale po tym, co przeżył w obozie, pragnie nim być z powołania. Chce nieść przez życie komunię miłości. A nasza miłość? – spytała. Miłość to tylko obietnica – powiedział.

Więcej go nie widziała. Ale nie potrafiła przestać kochać. I przez to go znienawidziła. Zabrał jej i to, co było, i to, co mogło być. Nie przestała pytać, kogo właściwie ma przeklinać: wojnę, jego, los czy Boga, który go jej ostatecznie zabrał…?

Jeśli coś nie powinno być zapomniane, musi być opisane.

A pisać to wyjść na spotkanie kogoś, kto jak ja jest uwikłany w splot różnych sprzeczności. Autor literatury faktu to ktoś w rodzaju pośrednika. Prowadzi jakby kantor wymiany uczuć: angażuje swoje emocje, by poznać dramat bohaterów, których życie zmieniło się w los".

Tak dzieje się jednak tylko wtedy, gdy traktuje się swoje pisarstwo serio. Tak jak Andrzej Mularczyk, który nawet opowiadając niesłychanie zabawne historie, pamiętał, że mają one bawić, a także wzruszać. A tam, gdzie trzeba, głos należy ściszyć. W przeciwnym razie obrażamy tylko czytelnika (słuchacza, widza), siebie samego, a kto wie? – może i Pana Boga.

Czas nam dany

„Ano, posłuchaj ty o tym – wykładał swoją filozofię Jaśko, bo przecież nie Kazimierz ani nawet Kaźmirz – że każdy ma tylko jedno życie, ale jak on się nim rozporządzi, to już jego sprawa. W każdym życiu jest jakaś tajemnica zawarta, a kto jej nie dotrzyma, z tego jest bezlitosny hardabas i pierekiniec. Moją tajemnicą ta przysięga była, com ją od maleńkości słyszał u tata w domu, gdzieśmy się przed świętym obrazem modlili o to, żeb' nasze kości po świecie nie szukały sia, i ja tej przysiędze chciał wiernym być. I żeb' mój najstarszy brat, Szczepan, nie poległ nad rzeką Piawą i po nim tylko ta trąba jako pamiątka została, to cała nasza rodzina by leżała tam za Panieńską Górką i ja bym w tu poru jak sierota nie czuł sia. Ale cóż ty, człowiecze, poradzisz, że przez zdradną politykę takich pierekińców, jak batiuszka Stalin, Roosevelt i ten murmyło Churchill, to ja swojej przysięgi dotrzymać nie mógł. Ci, co rządzą, mają swój dekalog, a reszta żyje, jak umie…".

Właśnie taki tytuł – „Każdy żyje, jak umie" – nosi wydana w 2011 r. książka, która stała się kanwą obrazu nakręconego przez Artura Żmijewskiego („Sami swoi. Początek") teoretycznie prequela „trylogii zabużańskiej", bo tak nazwano

eprasa.pl ffb67b0033

filmowy tryptyk: „Sami swoi", „Nie ma mocnych" i „Kochaj albo rzuć". To ważna pozycja w dorobku Andrzeja Mularczyka, a dla tysięcy miłośników historii Pawlaków i Karguli – lektura obowiązkowa. Autor zafundował czytelnikom opowieść godną niepowtarzalnych narracji swego bohatera. Choćby takich jak ta traktująca o tym, „że jedyne, czego człowiek nie ceni, a co jest cenniejsze, czem złoto, to jest czas jemu dany. Ty tego do skarbonki odłożyć nie możesz, a jak ty nieuważnie żyjesz, tak ty ten skarb codziennie trwonisz. Człowiekowi ciężko jest pod prąd płynąć i kiedy on coś robi bez czułości serca swego, to on jest sam sobie przeciwny i w tu poru nawet miód jemu w gorycz zamienia sia. Czasem ty myślisz sobie: czemu Pan Bóg mi odebrał to, com ulubił, a dał to, o com się nie modlił? Ja o Grubej Rózi śnił, a z Chudą żył. Ale jak moje życie już w los zamieniwszy sia, tak ja pojął, że Pan Bóg dał na szczęście ludzką pamięć, ale dał też i zapomnienie, bo co dziś jest przyszłością, jutro w przeszłość zamienia sia i dzięki temu człowiek zawsze liczy, że co złe, to już za nim zostawszy sia, a to, co dobre, dopiero przed nim".

W filmie z oczywistych powodów nie ma możliwości, by snuć tego rodzaju refleksje. Ale niekoniecznie spłaszczać trzeba było literacki materiał do wymagań stawianych adeptom niższych klas szkół specjalnych, pilnując jedynie poprawności politycznej, tak jak jest ona dzisiaj rozumiana. Ale cóż, „film – pisał Mularczyk – powstaje trzy razy: w wyobraźni autora, w wyobraźni reżysera i na planie. A na początku było słowo. W nim zawiera się opowieść, ono buduje obraz postaci, których dialogi wyrażają stosunek do świata i do siebie".

Literat użytkowy

Trochę pan Andrzej się pocieszał. W filmie scenarzysta to wynajęty człowiek do czarnej roboty. Splendor zarezerwowany jest dla reżysera i aktorów. Przypadek „Samych swoich" jest w istocie wyjątkowy i to nie całkiem. Paradoksalnie – powiadał Mularczyk – sukces filmu oznacza często porażkę pisarza. Tak do końca, poza profesjonałami, mało kto w ogóle wie, kto zmagał się ze słowem, które dało życie temu, co oglądamy na ekranie. No bo czyje były np. „Powidoki"? Wiadomo, Wajdy. A „Katyń"? Też pytanie! No to sięgnijmy po „Post mortem", filmową opowieść naszego bohatera.

Nawiasem mówiąc, Andrzej Wajda do współpracy przy „Katyniu" zaprosił Włodzimierza Odojewskiego, gdy jednak okazało się, że na pierwszy plan wysuwa się u niego dość problematyczny bohater, reżyser musiał szukać pomocy. I to błyskawicznej, ten film nie mógł czekać. Któż mógł sprostać takiemu zadaniu? Naturalnie, że autor, którego scenariusze stały się podstawą 40 filmów zrealizowanych przez polską kinematografię. A co z „Katyniem"? Cóż, jest, jaki jest. Pod scenariuszem podpisali się Mularczyk do spółki z Wajdą. Odojewskiemu pozostali „Milczący niepokonani". Ta książka ukazała się niemal równolegle z „Post mortem", w tym samym 2007 r.

Przez długie lata literatura faktu, a tę upodobał sobie Andrzej Mularczyk, w oczach opiniotwórczych krytyków uchodziła za mniej znaczącą część piśmiennictwa. Dość porównać, ile miejsca w opasłych tomach literaturoznawczych poświęcano nie najwyższym nawet dokonaniom poetyckim czy prozatorskim, a ile osiągnięciom reportażowym, że już nie wspomnę o tzw. literaturze użytkowej, a do niej właśnie zaliczano reportaże, twórczość radiową czy scenariopisarstwo. W efekcie za tęgiego pisarza uchodził w Polsce Roman Bratny (niezależnie od skrajnych reakcji, które wywoływały jego książki), a dla Andrzeja Mularczyka miejsce znajdowano najczęściej w przypisach. Dość powiedzieć, że w swojej „Agonii i nadziei", wydanej już w wolnej Polsce, Piotr Kuncewicz poświęcił autorowi „Co się komu śni" sześć zdań w rozdzialiku zatytułowanym wymownie „Pogranicza literatury".

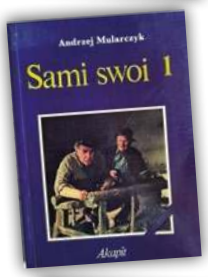

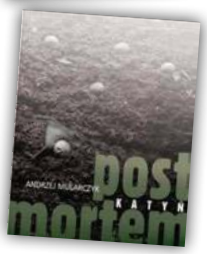

Aha, wypada jeszcze dodać, że sławny czy raczej sławetny twórca Kolumbów – Roman Bratny – naprawdę nazywał się Roman Mularczyk i był o dziewięć lat starszym bratem Andrzeja.

Nawet najlepsze reportaże literackie, które wyszły spod jego ręki, np. te z tomu „Czyim ja żyłem życiem" (1983), pozostawały zawsze w cieniu tego, co zrobił dla kina. A że odbiór „trylogii zabużańskiej" był taki, jaki był, zdawało mi się słyszeć o nim opinię, jakoby był twórcą komediowym. Takie etykiety mają długi żywot. Po niedawnej premierze filmu „Sami swoi. Początek" utyskiwano tu i ówdzie, że film jest mało śmieszny. A dlaczego niby taki miał być? Nie o to mam pretensje do realizatorów prequela „Samych swoich". Natomiast w kwestii wesołości – jeśli oceniamy ją na podstawie rechotu widzów, to darujmy sobie podobne oceny.

W reportażu „Ni panna, ni mężatka" Andrzej Mularczyk pisał: „Komedia jest tragedią, w której jedna ze stron płaci wszystkie zyski – to własna definicja reżysera filmowego S., który często jeszcze powoływał się na cudzą, że tragedia, która trwa zbyt długo, staje się komedią". Tę myśl rozwinął pisarz właśnie w „Samych swoich". „Ta opowieść – pisał – to komedia, której bohaterowie wcale nie wiedzą, że są śmieszni. Nie wiedzą, bo nie dotarło do ich świadomości, że tragedia, która trwa zbyt długo, staje się komedią, i że wystarczy spojrzeć przez odwrotną stronę lornetki, by to, co wielkie, stało się małe. Wówczas nawet wymachujący mieczem biblijny Goliat przypomina pajaca na sznurku..."

© Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl ffb67b0033

Romuald Rajs „Bury" na czele żołnierzy kompanii szturmowej 3. Wileńskiej Brygady AK, Turgiele, kwiecień 1944 r. FOT. NAC

Książka miesiąca / Przeciw wrogom Polski

Nieświęci bohaterowie

Czy ktoś, na kim ciążą zarzuty dokonania zbrodni wojennej, może być bohaterem narodowym? Jeśli nie może, to z listy takich bohaterów skreślmy Władysława Andersa i Władysława Sikorskiego. Ten pierwszy, jako carski oficer, podczas pierwszej wojny światowej wydał rozkaz zakłucia bagnetami kilkudziesięciu wziętych do niewoli żołnierzy niemieckich. Ten drugi, jako generał Wojska Polskiego, podczas wojny z bolszewicką Rosją rozkazał rozstrzelać 199 krasnoarmiejców w odwecie za zbrodnie popełniane przez Armię Czerwoną. Te fakty przypomina historyk Arkadiusz Karbowiak w książce „Bohaterowie czy zbrodniarze. Rozmowy o polskim podziemiu". Opowiada w niej o sześciu dowódcach oddziałów AK i podziemia antykomunistycznego, którzy dopuścili się zbrodni lub kolaboracji z Niemcami, a mimo to są jednak uważani przez niego za bohaterów. Książka ma charakter wywiadu syna – Michała Karbowiaka – z ojcem.

Syn nie przytakuje ojcu, ma swoje zdanie na temat ludzi, o których mówi ojciec, a dowodem tego jest stwierdzenie: „Wypowiadasz się bardziej w imieniu podziemia niż jako niezależny historyk". Arkadiusz Karbowiak odpowiada, że obowiązkiem historyka jest przedstawianie faktów i jak najdokładniejsze odtworzenie wydarzeń. W tym sensie nie ma optyki antykomunistycznej, komunistycznej, polskiej, niemieckiej, białoruskiej czy innej. A we wstępie przypomniane są słowa Józefa Mackiewicza: „Tylko prawda jest ciekawa".

Karbowiak zwraca uwagę na niezwykłą brutalizację, którą spowodowały wojna i bezwzględnie toczona walka, także po oficjalnym zakończeniu konfliktu. Czy w tych warunkach wszyscy, co do jednego, żołnierze AK i podziemia antykomunistycznego mogli prowadzić walkę w białych rękawiczkach, nie brudząc jej krwią, podczas gdy wrogowie Polski nie wahali się dokonywać zbrodni wojennych? Takie właśnie zbrodnie obciążają konto m.in. Zygmunta Szendzielarza „Łupaszki" i Romualda Rajsa „Burego". Historyk tłumaczy, dlaczego do nich doszło, pokazuje wydarzenia, które do nich prowadziły. Nie oznacza to jednak, że jest to w jakimkolwiek stopniu usprawiedliwienie. Karbowiak jednoznacznie nazywa zbrodnię zbrodnią. Co więcej, pokazuje zabiegi innych historyków, którzy – niezgodnie z faktami – starają się usprawiedliwić zbrodnie lub znaleźć okoliczności łagodzące dla ich sprawców.

Jednocześnie Karbowiak jasno stwierdza, że tacy ludzie jak „Łupaszka", „Bury", Marian Gołębiewski i Leonard Zub-Zdanowicz są dla niego bohaterami, mimo że splamili się popełnieniem zbrodni. Walczyli bowiem o Polskę z jej wrogami, na szali położyli swoje życie, a część z nich – „Łupaszka", „Bury", Edward Taraszkiewicz „Żelazny" – je stracili.

Adolfa Pilcha „Górę", „Dolinę" oraz Leonarda Zub-Zdanowicza oskarża się o kolaborację z Niemcami. Historyk zauważa, że nie można automatycznie utożsamiać kolaboracji ze zdradą. Jest bowiem taka kolaboracja, która ma na względzie interes narodowy, nie traci go z oczu. Karbowiak podaje przykład Pétaina oraz rządów duńskich podczas okupacji niemieckiej. Tak samo interesem narodowym kierowali się Pilch i Zub-Zdanowicz, walcząc z sowiecką i polską komunistyczną partyzantką. Natomiast kolaborację z Sowietami określa Karbowiak mianem renegactwa, czyli wyrzeczenia się polskiego interesu narodowego. Zabijani przez podziemie antykomunistyczne działacze PPR czy funkcjonariusze UB w rzeczywistości padli ofiarą swojego własnego wyboru. A wśród ofiar byli nie tylko Polacy, lecz także Żydzi i Białorusini, którzy poparli komunistyczną władzę w zamian za równouprawnienie i dostęp do stanowisk. ©℗

Tomasz Stańczyk

ARKADIUSZ KARBOWIAK, MICHAŁ KARBOWIAK
„BOHATEROWIE CZY ZBRODNIARZE. ROZMOWY O POLSKIM PODZIEMIU"
LIBRA

eprasa.pl ffb67b0033

Skąd jesteśmy, dokąd zmierzamy

Zapewne każde dziecko w Polsce zna opowieść o Popielu, Piaście Kołodzieju i postrzyżynach Mieszka, który miał wtedy usłyszeć od przebywających w domu jego ojca wędrowców, że będzie kiedyś wielkim władcą.

To mity, które dają nam piękny, choć bajkowy obraz odległej przeszłości naszego narodu, a zarazem poczucie, że pomiędzy przodkami księcia Mieszka I a nami istnieje pewien niewidzialny most. Mniej ważny bywa fakt, że ten nęcący obraz przeszłości nie jest poparty dowodami źródłowymi.

Jak przez cały X w. kształtowała się nasza państwowość? Jak Mieszko I skonsolidował władzę w swoim ręku? Gdzie sięgały jego wpływy? I kiedy w ogóle można mówić o narodzinach Polski? Czy za czasów Mieszka ktokolwiek miał świadomość, że należy do państwa polskiego? To pytania, na które każdy z nas chciałby znać odpowiedzi.

Z pomocą przychodzi świetna, a zarazem syntetyczna praca znanego archeologa mediewisty z UKSW. Profesor w 27 rozdziałach opowiada o rozmaitych kwestiach dotyczących początków państwa polskiego, zamykając każdy temat w pojedynczym eseju, dzięki czemu można czytać je osobno. Autor zaczął od odpowiedzi na pytanie, skąd na dzisiejszych polskich ziemiach wzięli się Słowianie i co wiedzieli o nich np. Rzymianie. Przygląda się też temu, w jaki sposób konsolidowały się ziemie pod władzą kilku plemion uważanych powszechnie (do niedawna w niemal całej polskiej historiografii) za tzw. prapolskie. Dlaczego Mieszko postanowił przyjąć chrzest i zwrócić się w stronę chrześcijańskiej Europy? I w końcu jakie państwo (i czy było to państwo w dzisiejszym rozumieniu) odziedziczył Bolesław Chrobry? W jaki sposób je powiększał oraz jakie znaczenie miały przybycie Ottona III do Gniezna w 1000 r. i koronacja, której dokonano ćwierć wieku później?

Autor stawia tezy, które mogą kłócić się z tym, czego wielu z nas uczono w szkole. To dobrze. Dzięki temu możemy zastanowić się, czy „heroiczna" wizja naszych wczesnych dziejów jest jedyną możliwą.

Tysięczna rocznica koronacji pierwszych polskich królów jest doskonałą okazją, aby zapoznać się z tą książką. ©℗

Anna Szczepańska

PRZEMYSŁAW URBAŃCZYK
„KORZENIE POLSKI"
PWN

Polskie obrazy

Komiksy to świat, w którym Sławomir Zajączkowski czuje się jak ryba w wodzie. Szczególnie historyczne. Tym razem autor postanowił podzielić się z czytelnikami swoją bogatą wiedzą na temat historii polskich opowieści obrazkowych. Mamy tu zarówno te najstarsze, średniowieczne, jak i nowsze, opisujące ciężkie czasy niewoli narodowej pod zaborami. Na przestrzeni dziejów widzimy ewolucję zarówno stylu opowieści obrazkowych, poruszanej w nich tematyki, jak i techniki wykonania. Gratka dla wszystkich fanów komiksów. ©℗ ***(pw)***

SŁAWOMIR ZAJĄCZKOWSKI
„POLSKIE OPOWIEŚCI OBRAZKOWE DAWNYCH WIEKÓW", CZ. 1
WYDANE NAKŁADEM AUTORA

Narodziny Europy

Krótko przed przyjściem na świat Jezusa powstało cesarstwo, które przetrwało pół tysiąclecia. W 476 r. Cesarstwo Zachodniorzymskie upadło pod naporem jednego z ludów germańskich pod wodzą Odoakra. A nieco ponad trzy wieki później korona cesarska została nałożona na skronie Karola Wielkiego. Co działo się jednak między tymi wydarzeniami? Skąd na obrzeżach Imperium Rzymskiego wzięli się barbarzyńcy, którzy ostatecznie zagrozili istnieniu tego państwa? W jaki sposób się jednoczyli? Jak kształtowali swego rodzaju państwowość? I co działo się po detronizacji ostatniego cesarza zachodniorzymskiego, Romulusa Augustulusa? A także jak potoczyły się losy Europy, która stworzyła wiele nowych państw, a później narodów?

Książka brytyjskiego historyka odpowiada na te pytania, wypełniając białe plamy w powszechnej wiedzy. Jednocześnie praca przybliża nowe czy raczej mniej znane opinie dotyczące początków dzisiejszej Europy i wędrówek ludów. Jak pisze autor, obecnie odchodzi się np. od tezy mówiącej o inwazji ludów ze wschodu, które wyparły miejscowych i utworzyły w ich miejscu własne władztwa. Dla Polaków szczególnie ciekawy może być rozdział dotyczący formowania przez plemiona słowiańskie pierwszych państw, w tym o początkach państwa Mieszka I. ©℗ ***Anna Szczepańska***

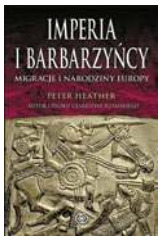

PETER HEATHER
„IMPERIA I BARBARZYŃCY"
REBIS

eprasa.pl ffb67b0033

/ Felieton

Rafał A. Ziemkiewicz

Metamorfozy imperium

Kiedy przestał istnieć Związek Sowiecki? Powie ktoś: Co za głupie pytanie? Wiadomo – 8 grudnia roku 1991 w Wiskułach na Białorusi spotkali się przywódcy rosyjskiej, białoruskiej i ukraińskiej SSR i wspólnie podpisali…

Nie, wcale nie jest to takie proste. Mam pytanie do historyków – kiedy państwo, które uważało się za zarodek przyszłej Światowej Republiki Sowieckiej (czy Socjalistycznej, Ludowej albo jak kto woli) stało się na powrót Rosją? Rosją sowiecką, nadal używającą komunistycznej symboliki i narracji, nadal posługującą się retoryką „wyzwalania ludów pracujących spod kapitalistycznego wyzysku", ale w gruncie rzeczy – Rosją. Kolejną inkarnacją imperium Iwana Groźnego i Katarzyny II, uważającego się za „Trzeci Rzym" i dążącego do podbojów już nie po to, by zrealizować Wielką Historyczną Konieczność, ale, znowu, zwyczajnie, dla eksploatowania bogactw i niewolniczej pracy swych ofiar.

Pozostały tylko nazwa, w której było słowo „socjalizm", a nie było słowa „Rosja", i herb przedstawiający kulę ziemską, symbol przyszłego panowania nad światem.

Intuicja podpowiada mi, że tego historycznego momentu szukać trzeba w okresie drugiej wojny światowej, konkretnie w okolicach przełomu lat 1941 i 1942 – największego kryzysu Armii Czerwonej po uderzeniu Hitlera. Nieprzebrane, wydawało się, zasoby, przygotowane na podbój Europy wyczerpały się błyskawicznie, trzeba było wykrzesać z niewolników maksimum poświęcenia i energii i sam terror przestał już do tego wystarczać. Oprócz sławnego rozkazu „ani kroku w tył" i bezlitosnych „oddziałów zaporowych" sięgnął więc Stalin także po przedrewolucyjną, wielkoruską retorykę i symbolikę, przywrócił nawet dawne carskie stopnie wojskowe. I to zadziałało. Więc potem, po wojnie, tak już zostało.

> **Kiedy państwo, które uważało się za zarodek przyszłej Światowej Republiki Sowieckiej, stało się na powrót Rosją?**

Ale przecież Stalin się nie zmienił i bynajmniej nie powściągnął swych ambicji. Nadal zamierzał zaprowadzić komunizm na całym świecie. Nie wystarczyła do tego druga wojna światowa, więc szykował się do trzeciej, ufny w potęgę sowieckiej armii, komunistycznej agentury na całym świecie, i postępujący rozkład zachodnich społeczeństw.

Dopiero po jego śmierci zaczynają się deeskalacja napięcia i względna liberalizacja w warownym obozie socjalistycznym – co ciekawe, najdalej posunąć się w niej gotowy wydawał się, w czasie swych krótkich rządów, niewiele mniej od Stalina potworny Beria. Ale i potem ekspansja trwa. ZSRS ładuje ogromne zasoby w kraje, których podbijania w żaden sposób nie da się logicznie wyjaśnić strefą imperialnych wpływów, grzęźnie na Kubie, w Angoli, Jemenie. Ile w tym mąceniu po całym świecie jest imperialnego myślenia rosyjskiego, a ile coraz bardziej schyłkowej wiary w dziejową „konieczność" wydumaną przez Marksa i rozpisaną na konkretne „etapy" oraz kaźnie przez Lenina?

Bez wątpienia w latach 30. wieku XX mamy w ZSRS ideologiczny komunizm w stanie niemal czystym, a pół wieku później – coś, co swobodnie można słowami Kucharzewskiego opisać jako „czerwony carat". Ale proces przejścia pozostaje niejasny, zamazany, rozpisany na wiele kolejnych „pieredyszek" i porażek „realnego socjalizmu".

Nie będę udawać, że umiem tu coś wyjaśnić – przeciwnie, sam chciałbym się więcej na temat tego procesu dowiedzieć. Dlatego gdyby któryś z historyków chciał się zająć sprawą bliżej, zyska we mnie wdzięcznego i pilnego czytelnika. ©℗

eprasa.pl ffb67b0033

/ Felieton

Piotr Semka

„Zły” – do dziś niezły

Dokładnie 70 lat temu wiele osób emocjonowało się jednym pytaniem: Czy komunistyczne władze wydadzą powieść „Zły” Leopolda Tyrmanda? Zanim jeszcze ukazała się na półkach księgarń, powieść już krążyła w pracowicie przepisywanych maszynopisach, budząc u niektórych zachwyt, a u innych zdumienie, przede wszystkim z uwagi na nowoczesność stylu Tyrmanda.

Rok 1955 był już o wiele bardziej swobodny niż 1954 r., nie wspominając już o roku 1953, naznaczonym śmiercią Józefa Stalina. Warszawa żyła nadzieją na otwarcie się na świat w związku z zapowiadanym na lipiec 1955 r. Światowym Festiwalem Młodzieży i Studentów. Ze Związku Sowieckiego dochodziły wiadomości o pierwszych powieściach rozliczeniowych, takich jak „Odwilż” Ilji Erenburga, które podjęły temat zakłamania życia publicznego. Nadawane w Radiu Wolna Europa sensacje Józefa Światły, uciekiniera ze szczytów władzy, na temat skali zepsucia bierutowskiej elity ośmielały do stawiania pierwszych żądań demokratyzacji systemu.

„Zły” Tyrmanda polityki akurat w ogóle nie dotykał. Był za to imponującym opisem Warszawy, która oficjalnie nie istniała, a którą warszawiacy widzieli co dzień w czasie spacerów po swoim mieście. Miasto bikiniarzy, „koników” sprzedających na lewo bilety na atrakcyjne filmy, wyrafinowanych malwersantów udających prezesów szacownych spółdzielni pracy czy zachowujących się coraz bardziej swobodnie warszawskich „kociaków”. A obok tego największa plaga tamtej epoki – dziesiątki chuligańskich band, które biły, niszczyły i podpalały, znajdując w tym sposób na odreagowywanie szarej rzeczywistości PRL.

Wszyscy to widzieli, ale oficjalne gazety i książki nie zauważały tego świata. I oto zdarzył się mistrz słowa, który to wszystko opisał. Warszawskie tramwaje uginające się od tzw. ludzkich winogron, czyli młodych ludzi podróżujących na stopniach otwartych drzwi. Specyficzny mikroświat najbardziej znanych warszawskich restauracji i lokali nocnych, na czele ze słynną Kameralną. Prywatne warsztaty, w których rozbierano na części kradzione samochody, czy świat młodzieży szukającej swobody. Tyrmand po prostu opisał to, co widzieli wszyscy, ale czego nikt przed nim nie sportretował. I właśnie ten szok, że można pisać to, co się widzi, a nie to, czego wymagają kanony socjalizmu, był powodem gigantycznego sukcesu powieści, gdy już się ukazała na początku 1956 r.

Bohaterem książki jest samotny „Desperado” – śmiałek, który rzuca wyzwanie najgroźniejszym gangom stolicy. Nie będę opowiadał dalszej treści, bo mam nadzieję, że zachęcę państwa do sięgnięcia po tę wciąż popularną powieść. Sam Tyrmand ponoć wstydził się trochę tej książki. Marzył, że napisze prawdziwą, poważną literaturę i przestanie być ciągle kojarzony z powieścią, którą stworzył, bo po prostu nie miał z czego żyć. Ale żadna kolejna pozycja nie przebiła niepowtarzalnego stylu „Złego”.

Jak napisał historyk Grzegorz Sołtysiak: „Trudno o bardziej warszawskiego pisarza niż Leopold Tyrmand. Miasto było jego wielką miłością, pisał o nim z czułością literata i pasją publicysty. Do dziś »Zły« uważany jest za największy sukces wydawniczy powojennej Polski i pierwszy bestseller PRL-u. Ten niezwykły kryminał zbudował legendę Tyrmanda. Dandysa, bikiniarza, romantyka i antykomunisty”.

Ja sam postanowiłem wreszcie przeczytać „Złego”, bo w poprzednich latach zawsze coś mi stawało na przeszkodzie. I jestem nim oczarowany. Znajdźcie chwilę czasu, by zapoznać się z tą arcywarszawską książką. Niech 741 stron potężnej powieści was nie wystraszy. Czyta się ją jednym tchem. ©℗

eprasa.pl ffb67b0033

Wywiad / Z prof. Craigiem Symondsem, autorem książki „Nimitz na wojnie. Od Pearl Harbor do Zatoki Tokijskiej"

rozmawia Piotr Włoczyk

Bombowiec B-25 Mitchell startuje z lotniskowca USS „Hornet" do rajdu Doolittle'a (bombardowanie Japonii), kwiecień 1942 r.

FOT. DOMENA PUBLICZNA, US ARMY AIR FORCE

Odwet Nimitza

PIOTR WŁOCZYK: Admirał Chester W. Nimitz rok przed atakiem na Pearl Harbor dostał propozycję, o której – wydawałoby się – marzył każdy oficer US Navy. Dlaczego Nimitz podziękował wtedy prezydentowi za ten awans?

PROF. CRAIG SYMONDS: Franklin D. Roosevelt, który był wielkim fanem marynarki wojennej, zwykł utrzymywać bliższe relacje z najważniejszymi dowódcami US Navy i w związku z tym dosyć dobrze znał Nimitza. Admirał był wówczas szefem Biura Nawigacji i obaj panowie regularnie ze sobą współpracowali. W 1940 r. Roosevelt zaproponował mu stanowisko dowódcy Floty Pacyfiku, więc ewidentnie obdarzał go dużym zaufaniem.

Nimitz odmówił jednak, ponieważ w całej US Navy było wówczas ok. 50 admirałów wyższych rangą od niego, którzy mogliby poczuć się urażeni, gdyby przyjął tę propozycję. Nie powiedział wprawdzie prezydentowi „nie", ale zasugerował mu, że ktoś wyższy rangą na tym stanowisku byłby bardziej na miejscu. W ten sposób adm. Husband Kimmel objął dowodzenie nad Flotą Pacyfiku, przez co rok później to on musiał wziąć na siebie odpowiedzialność za skutki ataku na Pearl Harbor.

Czy inny dowódca na miejscu Kimmela, np. Nimitz, miał szansę uchronić bazę na Hawajach przed tą klęską?

Wokół tego pytania nasi historycy cały czas toczą zażarte dyskusje. Według mnie Husband Kimmel nie miał szczęścia, ale nie wydaje mi się, że można go szczególnie obwiniać za klęskę poniesioną w Pearl Harbor.

Kimmel na poważnie podchodził do ćwiczenia zdolności bojowych i po objęciu dowództwa zwiększył nacisk na szkolenie. Przykładowo wcześniej pancerniki ćwiczyły tylko jeden dzień w tygodniu, a potem, za jego sprawą, już pięć dni.

Mimo że najwyższe dowództwo podejrzewało, iż Japończycy mogą zaatakować właśnie w ten weekend, Amerykanie zakładali, że ich celem mogą być Filipiny, Borneo, Malaje albo nawet Australia. Ale nie Hawaje! Te wyspy są tak daleko od Japonii, że atak wydawał się nierealny. Osobiście uważam, że każdy inny dowódca na miejscu Kimmela zachowałby się podobnie.

Czyli po prostu dałby się zaskoczyć Japończykom?

Dokładnie tak.

Chyba trzeba Japończykom oddać, że doskonale udało im się wyprowadzić wtedy w pole Amerykanów.

To ciekawe zagadnienie. Amerykanie długo nie doceniali Japończyków, co wynikało po części ze zwykłego rasizmu. Amerykanie uważali wówczas Japończyków, nazywanych często pogardliwie „Japs", za gorszych. I gdy w Pearl Harbor udało im się bardzo boleśnie uderzyć USA, Amerykanie nie chcieli uznać, że ich przeciwnicy są naprawdę dobrzy w sztu-

eprasa.pl ffb67b0033

ce wojennej, tylko zaczęli szukać kozła ofiarnego po swojej stronie. I dlatego Kimmel był ogromnym pechowcem.

Wciąż słyszymy teorię spiskową, według której Roosevelt doskonale wiedział, że Japończycy zaatakują Pearl Harbor, ale pozwolił im odnieść sukces, by zszokować Amerykanów i przełamać w społeczeństwie tendencje izolacjonistyczne.

To zupełnie niedorzeczna teoria. Faktem jest natomiast, że Amerykanom udało się złamać japońskie kody dyplomatyczne. I rzeczywiście Waszyngton wiedział, że „coś" się stanie, i to niedługo. Dziesięć dni przed atakiem na Pearl Harbor armia i marynarka wojenna wysłały ostrzeżenia o nadciągającym uderzeniu, wzywając do czujności. Ale jednak, jak już wspomniałem, właściwie nikt nie podejrzewał, że celem ataku mogą być Hawaje.

Dziesięć dni po uderzeniu na Pearl Harbor Nimitz został wezwany do Białego Domu. Co tam usłyszał?

Roosevelt miał wtedy poinstruować Franka Knoxa, sekretarza US Navy: „Powiedz Nimitzowi, żeby zachrzaniał do Pearl Harbor i nie wracał dopóty, dopóki Ameryka nie wygra wojny". Nie ma pewności w sprawie autentyczności tej wypowiedzi, ale to zdanie na pewno dobrze oddaje atmosferę w Waszyngtonie w tamtym momencie.

Minął tylko rok od pierwszej propozycji objęcia dowództwa nad Flotą Pacyfiku. Dlaczego tym razem Nimitz nie odmówił?

W trakcie pokoju oficer mógł sobie pozwolić na dyskusję z prezydentem, ale gdy wybuchła wojna, mógł powiedzieć tylko: „Aye, aye, Sir!".

W jakim stanie była Flota Pacyfiku, gdy Nimitz dotarł do Pearl Harbor?

Japończykom świetnie wyszło zdemolowanie pancerników. Chodziło o to, by te okręty nie były w stanie przeszkadzać im w podboju Holenderskich Indii Wschodnich, brytyjskich Malajów, Filipin i innych miejsc, które chcieli opanować w celu drenowania tamtejszych zasobów. Finalnie większość pancerników została podniesiona, wyremontowana i przywrócona do służby, ale przez co najmniej pół roku flota pancerników była w zasadzie wyłączona z akcji. Nimitz miał jednak pod ręką trzy lotniskowce, które ocalały.

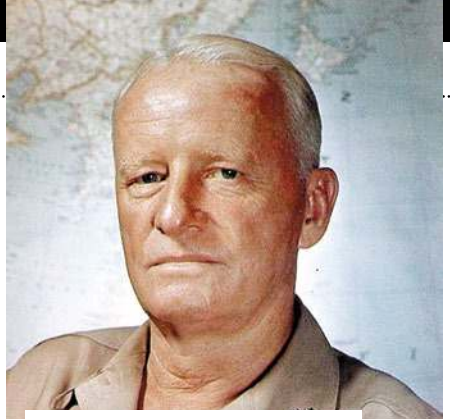

Chester Nimitz FOT. COMMONS WIKIMEDIA, US NAVY

Co uratowało te kluczowe okręty?

USS „Saratoga" był akurat na Zachodnim Wybrzeżu USA, gdzie przechodził dawno zaplanowaną modernizację. Dwa kolejne lotniskowce Kimmel wysłał z misją dostarczenia samolotów do baz położonych daleko od Hawajów – na atolach Wake i Midway.

Admirał Isoroku Yamamoto, dowódca japońskiej marynarki wojennej, rozumiał, że zatopienie amerykańskich lotniskowców jest kluczowe, i uczynił z nich cele o najwyższym priorytecie, jednak ku jego rozgoryczeniu 7 grudnia 1941 r. w Pearl Harbor nie było ani jednego lotniskowca.

Waszyngtonowi bardzo zależało na szybkiej poprawie amerykańskiego morale, które bardzo ucierpiało w wyniku uderzenia na Hawajach. 18 kwietnia 1942 r. doszło do słynnego „Rajdu Doolittle'a". Szesnaście bombowców B-25 przeprowadziło atak na Wyspy Japońskie, który nie wyrządził, rzecz jasna, większych szkód, ale i tak dał Amerykanom mnóstwo satysfakcji. Jak Nimitz zapatrywał się na tę misję?

Isoroku Yamamoto
FOT. COMMONS WIKIMEDIA, NAVAL HISTORY AND HERITAGE COMMAND

Admirał był tu dosyć sceptyczny. Pamiętajmy, że wysłanie lotniskowca z dużymi bombowcami, które nie były przewidziane do stacjonowania na okrętach, oznacza, iż nie można tych maszyn opuścić do hangaru, tak by na pokładzie dało się prowadzić normalne operacje lotnicze. Bombowce musiały być cały czas „zaparkowane" na pokładzie. A to oznaczało, że konieczne było zaangażowanie drugiego lotniskowca, który zapewniłby osłonę lotniczą dla obu okrętów. Pamiętajmy przy tym, że Nimitz miał wówczas do dyspozycji tylko trzy lotniskowce (czwarty właśnie miał trafić pod jego komendę). Wysłanie połowy floty jego lotniskowców na misję, która w zasadzie była operacją z zakresu public relations mającą uradować Amerykanów, nie było według niego optymalnym wykorzystaniem dostępnych zasobów. Jednak admirał wiedział, że nie będzie w stanie przeciwstawić się pomysłowi, który wyszedł z samego Białego Domu.

Tak jak Amerykanie kompletnie nie spodziewali się uderzenia w Pearl Harbor, tak samo Japończycy nie wyobrażali sobie, że taka operacja jest w ogóle możliwa. A to chyba zmniejszało ryzyko dla „Rajdu Doolittle'a"?

Zazwyczaj lotniskowiec musiał się znaleźć w odległości ok. 150 mil od celu, by bazujące na nim samoloty mogły przeprowadzić atak. Chodzi oczywiście o zasięg samolotów przeznaczonych do prowadzenia operacji z tych okrętów. Ale tu mówimy o bombowcach… W związku z tym można było je wypuścić już z odległości 500 mil! Japończycy nie podejrzewali, że Amerykanie są zdolni do czegoś takiego.

Nimitz był podwodniakiem, ale jednak został zapamiętany głównie dzięki sukcesom swoich lotniskowców.

Jedną z wielkich zalet Nimitza, poza tym, że nigdy nie dawał się ponosić emocjom, było to, że słuchał ludzi i uczył się – co zdaje egzamin na polu walki, a co nie zdaje egzaminu.

Nimitz wcale nie zmarginalizował użycia okrętów podwodnych. Siły podwodne odegrały przecież absolutnie kluczową rolę w walkach na Pacyfiku. To właśnie te okręty odizolowały Wyspy Japońskie, zatapiając statki przewożące surowce, które były niezbędne do napędzania japońskiej machiny wojennej.

eprasa.pl ffb67b0033

Lotniskowiec USS „Yorktown" broni się przed japońskim atakiem powietrznym podczas bitwy pod Midway

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, NAVAL HISTORY AND HERITAGE COMMAND

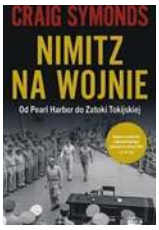

CRAIG SYMONDS
„NIMITZ NA WOJNIE. OD PEARL HARBOR DO ZATOKI TOKIJSKIEJ"
ZNAK HORYZONT

Lotniskowce mogły jednak uderzać z dużo większej odległości niż jakiekolwiek inne okręty. Początkowo ze 100, potem ze 150, aż wreszcie z 200 mil. Nimitz doskonale wykorzystywał ich potencjał. I nie uległ presji ludzi ze środowiska pilotów morskich, którzy uważali, że tylko doświadczeni lotnicy wiedzieli, jak dowodzić lotniskowcami lub całymi lotniskowcowymi grupami zadaniowymi.

Jak już ustaliliśmy, Nimitz bardzo szczęśliwie dla siebie odmówił Rooseveltowi w 1940 r. Chyba śmiało można powiedzieć, że szczęście uśmiechnęło się do niego jeszcze raz – w czerwcu 1942 r., podczas bitwy o Midway.

Tak, i ta bitwa jest dobrym przykładem tego, jak Nimitz doskonale zarządzał, kalkulując ryzyko. Japończycy zmierzali tam z siłami, które miały przewagę nad Amerykanami. Wróg miał cztery lotniskowce i dwa pancerniki. Nimitz z kolei miał wtedy do dyspozycji tak naprawdę tylko dwa sprawne lotniskowce, ponieważ trzeci był uszkodzony, a do tego nie miał tam ani jednego pancernika. Jednakże miał też lotnisko na Midway, gdzie wysłał każdy dostępny samolot.

Najważniejsze jednak, że dzięki złamaniu japońskiego kodu wiedział, iż Japończycy są w drodze, i wiedział też mniej więcej, kiedy tam dotrą. To z kolei pozwoliło mu zastawić na nich pułapkę. Wytłumaczył przy tym podwładnym, jak wygląda ryzyko, i powiedział, że jeżeli będzie im szło źle, to niech wyrządzą jak najwięcej szkód wrogowi i wycofają się na wschód.

Amerykanie złapali wtedy Japończyków z „opuszczonymi spodenkami", podczas tankowania i przezbrajania samolotów.

Widać tu łut szczęścia, ale nie ma też co przesadzać w przypisywaniu szczęściu zbyt dużej roli podczas tej bitwy. Amerykanie wygrali to kluczowe starcie, ponieważ Nimitz podjął odważną decyzję, by przyjąć walkę, odpowiednio ustawił swoje lotniskowce i uderzył możliwie wcześnie z całej siły, by złapać przeciwników z – jak pan to ujął – „opuszczonymi spodenkami". Japoński dowódca był mocno skołowany, gdy jego samoloty wracały z ataku na Midway, a on właśnie otrzymał informację o zauważeniu amerykańskich lotniskowców. Czy miał im kazać lecieć dalej na wroga, ryzykując, że zabraknie im paliwa? A może miał je przyjąć, zatankować i przezbroić przed kolejną walką? Amerykańskie bombowce nurkujące pojawiły się nad jego lotniskowcami, gdy były one najbardziej narażone na atak.

Jak bardzo problematycznym przeciwnikiem był dla Nimitza Yamamoto?

Admirał Yamamoto to fascynująca postać. Przed wojną spędził sporo czasu w USA i widział potencjał amerykańskiej gospodarki. Yamamoto nie był zwolennikiem wojowania z Ameryką, ale gdy wiadomo już było, że wojna wybuchnie, powiedział, że jedynym sposobem jest szybkie znokautowanie amerykańskiej floty na samym początku konfliktu i wykorzystanie sześciu kolejnych miesięcy do umocnienia się na nowo podbitych terenach, by spróbować przeczekać Amerykanów. Yamamoto uważał, że Amerykanie co do zasady nie są cierpliwi i być może w obliczu upartej obrony będą skłonni negocjować.

Japoński dowódca wiedział też jednak, że kluczowe będzie zniszczenie amerykańskich lotniskowców. I był ogromnie zawiedziony faktem, że w Pearl Harbor nie było tych okrętów. Dlatego zaplanował bitwę o Midway, tak by dokończyć dzieła. Według jego planu po zaatakowaniu Midway Amerykanie mieli wysłać tam lotniskowce z Pearl Harbor, a Japończycy czekać na nie i wykończyć je, przez co będą mogli „kupić" dla siebie kolejne kilka miesięcy. Yamamoto był świetnym szachistą i Nimitz nie miał z nim łatwo.

Amerykanie wyeliminowali Yamamoto 18 kwietnia 1943 r., zestrzeliwując jego samolot. Czy Nimitz miał jakiekolwiek wątpliwości w kwestii takiego – umówmy się – nie do końca rycerskiego załatwienia sprawy?

Nimitz wierzył, że usunięcie tego bardzo zdolnego stratega realnie zaszkodzi

Douglas Dauntless nad pancernikiem USS „Washington"

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, US NAVY PHOTO

eprasa.pl ffb67b0033

japońskiej flocie. I było to oczywiście celne uderzenie w japońskie morale. Ma pan rację – Nimitz miał tu wątpliwości. Zresztą sam zaczął tę dyskusję, zastanawiając się, czy atak, a właściwie zamach na dowódcę jest etyczny. Ostatecznie uznał, że w trakcie wojny jest to dopuszczalne.

Nimitz miał tu jeszcze jeden dylemat, ponieważ wykorzystanie wiedzy pozyskanej dzięki odszyfrowaniu japońskiej komunikacji mogło dać do myślenia dowództwu w Tokio. Istniało ryzyko, że wróg zmieni szyfr. Nimitz uznał, że warto zaryzykować, ale dla pewności Amerykanie zaczęli kolportować bajeczkę o tym, jak to australijscy zwiadowcy zauważyli samolot Yamamoto i to dzięki nim Amerykanie zestrzelili tę maszynę.

Chester Nimitz podpisuje akt kapitulacji Japonii na pokładzie pancernika USS „Missouri", 2 września 1945 r.

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, AUSTRALIAN WAR MEMORIAL

Lotniskowiec USS „Nimitz" zwodowany w 1972 r.

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, US NAVY

W jaki sposób strategia „Germany first", dająca priorytet wojnie w Europie, wpłynęła na zasoby Nimitza?

Przed wejściem USA do wojny Brytyjczycy i Amerykanie spotkali się w tajemnicy, by przedyskutować, jaką strategię przyjąć w przypadku, gdyby Ameryka miała dołączyć do konfliktu. Od samego początku oficjalnym strategicznym celem było pokonanie w pierwszej kolejności Niemców. Wynikało to z faktu, że III Rzesza była najsilniejszym wrogiem i kontrolowała większość Europy.

Mimo że po ataku na Pearl Harbor amerykańskie społeczeństwo chciało dorwać przede wszystkim Japończyków, na początku Nimitz musiał się liczyć z faktem, że jego teatr działań był drugorzędny, np. pod kątem zaopatrzenia w nowy sprzęt i okręty. Jednak z biegiem czasu okazało się, że amerykański przemysł osiągnął taką potęgę, iż był w stanie równocześnie zasilać oba teatry działań, przez co Nimitz nie miał większych trudności w dostępie do zasobów.

Charakter tego admirała to bardzo ciekawy temat, szczególnie na tle innych słynnych amerykańskich dowódców z czasu drugiej wojny światowej.

Nimitzowi nie zależało na rozgłosie tak bardzo jak innym. Wyżsi rangą oficerowie mogą być z grubsza podzieleni na dwie kategorie. Spokojni, słuchający uważnie innych, jak np. Nimitz, George Marshall czy Dwight Eisenhower, oraz zapaleńcy rozstawiający wszystkich po kątach w stylu George'a Pattona czy Douglasa MacArthura, który nawiasem mówiąc, musiał współpracować z Nimitzem na Pacyfiku. Było to o tyle problematyczne, że MacArthur był święcie przekonany, iż tylko on jeden wie, jak należy prowadzić wojnę. Ostatecznie jednak obaj panowie osiągnęli bardzo satysfakcjonujący rezultat.

I właśnie najlepszym wyjściem jest połączenie obu typów dowódców, tak by efektywnie współpracowali ze sobą w niszczeniu wroga. Jeżeli jednak cała władza trafia w jedne ręce, to albo mamy do czynienia ze zbyt daleko posuniętą ostrożnością, albo wręcz przeciwnie – niehamowany przez nikogo brawurowy dowódca prowadzi wojnę w bardzo niebezpiecznym kierunku...

Jak już wiemy, bohater pańskiej książki zaczął wojnę z trzema lotniskowcami. Ile miał ich pod koniec konfliktu z Japonią?

Liczenie lotniskowców jest nieco problematyczne, ponieważ w połowie wojny USA zaczęły budować „lekkie lotniskowce", z których wiele powstało na bazie krążowników. To były wciąż poważne okręty, ale jednak dysponowały mniejszym potencjałem niż ich więksi „bracia". Pojawiły się też jeszcze mniejsze „lotniskowce eskortowe", przewożące tylko 20–30 samolotów. Pod koniec wojny USA miały w sumie ponad 100 lotniskowców różnych typów, w tym niemal 20 wielkich jednostek. Jak widać, rozwój amerykańskiego lotnictwa morskiego w trakcie tych niecałych czterech lat był nieprawdopodobny.

Nimitz użyczył pośmiertnie swojego nazwiska całej klasie amerykańskich lotniskowców o napędzie atomowym, które przez kilka dekad utrzymywały Pax Americana. Nawet jeżeli ktoś nie słyszał o admirale noszącym to nazwisko, to z pewnością kojarzy 10 „nimitzów".

Nazwanie okrętów, które przez tyle lat dominowały na morzach i oceanach, na cześć Chestera Nimitza było pięknym ukłonem pod adresem tego utalentowanego admirała. Admirała, który w pełni skorzystał z potencjału tej nowej wówczas broni.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Profesor Craig Symonds jest emerytowanym wykładowcą Akademii Marynarki Wojennej Stanów Zjednoczonych, znawcą historii US Navy, autorem wielu bestsellerowych książek, m.in. „II wojna światowa na morzu. Historia globalna" czy najnowszej – „Nimitz na wojnie. Od Pearl Harbor do Zatoki Tokijskiej".

eprasa.pl ffb67b0033

Gwintowane kapiszonówki

Robert Gibb „Cienka czerwona linia". Bitwa z Rosjanami pod Bałakławą (1854 r.) Szkocki 93. Góralski Pułk był uzbrojony w gwintowane karabiny systemu Minié wz. 1851

FOT. NATIONAL WAR MUSEUM W EDYNBURGU, ZDJĘCIE MICHAŁ MACKIEWICZ

Michał Mackiewicz,
pracownik naukowy Muzeum Wojska Polskiego w Warszawie

Szybkostrzelny odtylcowy karabin igłowy wprowadzono w armii pruskiej już w 1841 r., ale konstrukcja Johanna Nikolausa Dreysse'a miała się w pełni zaprezentować światu dopiero 25 lat później. Tymczasem przez całe ćwierćwiecze królowała broń kapiszonowa

Broń strzelecka piechoty odpowiadała wówczas za największą liczbę poległych i rannych, deklasując w tym zestawieniu nawet artylerię. Wszystko za sprawą coraz większej niezawodności, a potem także precyzji i siły rażenia pocisku. Ta niezawodność związana była z zastosowaniem piorunianu rtęci – krystalicznej substancji o silnym działaniu wybuchowym. Doświadczenia prowadzone w celu wykorzystania tego związku chemicznego w roli materiału inicjującego trwały od początku XIX w., a pierwszym urządzeniem, sprawdzonym w praktyce i opatentowanym w 1807 r., był tzw. zamek flakonikowy – wynalazek wielebnego Alexandra Forsytha, szkockiego chemika amatora i myśliwego. Butelkowego kształtu magazynek-donośnik z piorunianem zakładano na oś, w której wnętrzu znajdował się kanalik dochodzący do komory nabojowej. Poprzez obrót magazynka dozowano najpierw odpowiednią ilość masy inicjującej, a następnie ustawiano go w pozycji bojowej, czyli skierowanym ku górze sprężynującym bijnikiem zamocowanym w kominku. Po naciśnięciu spustu napięty uprzednio kurek opadał, uderzając młotkiem w bijnik, który z kolei inicjował zapłon piorunianu. Wysoka temperatura płomienia zapewniała niemal stuprocentową pewność strzału, eliminując ponadto zauważalną wcześniej zwłokę pomiędzy naciśnięciem spustu a wystrzeleniem kuli, tak charakterystyczną dla zapłonu skałkowego.

Wynalazek Szkota znalazł szerokie zastosowanie w myślistwie i strzelectwie sportowym. Dla wojska się jednak nie nadawał. Zamek był kosztowny i miał delikatną budowę, a przy tym wymagał precyzyjnej obsługi i konserwacji. Dopiero wynalezienie kapiszonu, czyli miedzianej kapsułki z piorunianem w środku, stało się przełomem. Wskazanie autora tego wiekopomnego pomysłu jest problematyczne, ponieważ prace prowadzono równolegle w kilku krajach. W literaturze przedmiotu wymienia się zazwyczaj Joshuę Shawa oraz Josepha Egga, ale relacje między obu wynalazcami są przedmiotem kontrowersji. W każdym razie patenty na kapiszony zaczęto przyznawać dopiero po 1821 r., a więc z chwilą wygaśnięcia praw Forsytha.

W połowie drugiej dekady XIX w. zamek z zapłonem kapiszonowym (zwany także zamkiem chemicznym) był już ostatecznie ukształtowany. Cechowała go genialna wręcz prostota. W komorową część lufy wkręcano tzw. kominek z kanalikiem dochodzącym do ładunku prochowego. Po odciągnięciu kurka na kominek nakładano kapiszon. Uderzenie kurka powodowało wybuch piorunianu, a ogień przedostawał się natychmiast do wnętrza komory, powodując wystrzał. Wzrosła nie tylko pewność strzału, lecz także szybkostrzelność, ponieważ prochu nie trzeba było już sypać na panewkę. Dodatkową zaletą była odporność broni na wilgoć i wiatr. Nie bez znaczenia okazała się także możliwość przebudowy karabinów z zapłonem skałkowym. W tym celu należało usunąć panewkę i rozwiercić otwór zapałowy, w który wkręcano (lub wlutowywano) owalne gniazdo dla kominka. Z płyty zamka znikały zbędne elementy, czyli bateria i jej sprężyna, a otwory po nich zanitowano; zamiast kurka ze szczękami mocowano nowy – z młotkiem do zbijania kapiszonów.

Gwintowane lufy

Tak prosty sposób przeróbki stał się jednym z decydujących impulsów do gruntownej zmiany w uzbrojeniu strzeleckim. Z początku dotyczyła ona formacji elitarnych, np. gwardyjskich i lekkich, ale perspektywa łatwego i taniego przerobienia setek tysięcy karabinów skałkowych zalegających w arsenałach była ekonomicznie tak korzystna, że przekonała sceptyków i wpłynęła na przyspieszenie tego procesu. Choć wojskowe doświadczenia z nowym typem zapłonu rozpoczęły się już w latach 20., a Szwajcaria, jako pierwsza na świecie, zdecydowała się wprowadzić do uzbrojenia karabiny kapiszonowe w 1826 r., to

eprasa.pl ffb67b0033

Rosyjskie karabiny dragońskie z okresu wojny krymskiej: gładkolufowy wz. 1847 i gwintowany wz. 1854 kal. (przerobiony z gładkolufowego) FOT. MUZEUM WOJSKA POLSKIEGO

dopiero dziewięć lat później w jej ślady poszła Saksonia, a następnie Wielka Brytania (1836), Austria (1838), Hiszpania i Prusy (1839). Jako ostatnia uczyniła to Rosja (1843/1844).

Równolegle z wprowadzaniem do uzbrojenia kapiszonówek trwały prace nad udoskonaloną amunicją i sposobem jej praktycznego zastosowania w broni gwintowanej. Także w tym wypadku miały one wymiar globalny, choć w zgodnej opinii większości historyków największy postęp zanotowali francuscy oficerowie wynalazcy. Historia zapamiętała przede wszystkim trzy nazwiska: Henri-Gustave Delvigne, Louis-Étienne de Thouvenin i Claude-Etienne Minié. Pierwszy z nich zaproponował w latach 20. komorę prochową węższą od przewodu lufy; kulę opartą na jej krawędzi ubijano uderzeniami stempla, tak aby swą górną częścią wpasowała się w bruzdy. Za każdym razem pocisk odkształcał się jednak inaczej i nierównomiernie, co obniżało jego wydajność aerodynamiczną. Co więcej, nie zawsze udawało się zachować szczelność pomiędzy kulą i ściankami lufy, a to powodowało uratę części energii gazów prochowych. Precyzja i powtarzalność strzałów były więc problematyczne.

Pomysł Delvigne'a próbował udoskonalić jego kolega, Charles Louis de Pontcharra, który dodał do kuli integralny drewniany sabot mający zapewnić jej bardziej równomierne wbicie w gwint oraz zapobiec zbytniemu odkształceniu. Efekty były jednak dalekie od oczekiwań. Wygodniejszy sposób wymyślił Thouvenin, który w dnie komory nabojowej umieścił stalowy trzpień będący oparciem dla pocisku – wówczas już walcowato-stożkowego. I w tym wypadku należało go uszczelnić uderzeniem stempla (jego główka miała wgłębienie odpowiadające kształtowi pocisku), ale odkształcał się równomierniej i nie wywierał nacisku na proch.

Oba rozwiązania, pomimo oczywistych niedostatków (w przypadku trzpienia dochodziło do jego zgięcia lub przepalenia, trudno było też czyścić komorę nabojową), znalazły stosunkowo szerokie zastosowanie we Francji i w wielu armiach europejskich. Wszystkich przebił jednak Minié, który opierając się na doświadczeniach swoich kolegów, zaproponował wydrążenie w walcowatej części pocisku. Gazy prochowe działały na wewnętrzne ścianki i rozpychały je, wpasowując pocisk w gwint. Nie trzeba było nawet dodatkowego klina „rozpychającego", stosowanego w niektórych rodzajach amunicji Minié.

Nowe wymagania

Pocisk podkalibrowy, tzw. ekspansywny, łatwo się ładowało, a jego wpasowanie w bruzdy było pewne i równomierne. W porównaniu z karabinami o gładkim przewodzie lufy zasięg strzału zwiększył się przeszło trzykrotnie. Rozwiązanie Miniégo okazało się przełomowe i w latach 50. XIX w. znalazło szerokie zastosowanie w niemal całym cywilizowanym świecie. Karabiny gwintowane przestały być domeną elitarnych formacji lekkiej piechoty, gdyż trafiły na uzbrojenie wszystkich żołnierzy. W niektórych armiach – np. austriackiej – stosowano zamiast amunicji ekspansywnej pociski kompresyjne, które pod wpływem ciśnienia gazów ulegały skróceniu i spęcznieniu. I w tym wypadku zapewniały one znakomite parametry balistyczne.

Austriaccy żołnierze uzbrojeni w gwintowaną broń kapiszonową systemu Lorenza wz. 1854 FOT. MUZEUM WOJSKA POLSKIEGO

Przyjęcie zamka kapiszonowego i upowszechnienie się nowej amunicji do broni gwintowanej nazywane bywa rewolucją w dziejach uzbrojenia strzeleckiego. Parametry podstawowej broni piechoty uległy zwielokrotnieniu. Strzał był nie tylko stuprocentowo pewny (w broni skałkowej było aż ponad 30 proc. niewypałów), lecz także dużo dalszy i bardziej precyzyjny. W teorii. Broń gwintowana wymagała bowiem sumiennego szkolenia; żołnierz musiał znać podstawowe zasady balistyki, umieć szacować odległość i posługiwać się nastawnym celownikiem. Inaczej potencjał tkwiący w nowym uzbrojeniu był marnotrawiony. Wszystko przez wysoki tor lotu pocisku, który zauważalnie wznosił się po przeleceniu ok. 90 m. A na tym dystansie karabin gładkolufowy był równie skuteczny.

Jednak w rękach dobrze wyszkolonych ludzi gwintówki „robiły robotę". Dowiodły tego zmagania podczas wojny krymskiej, w której Anglicy i Francuzi dysponowali już dużą liczbą karabinów z bruzdowanymi lufami, natomiast u Rosjan mieli je tylko wybrani strzelcy. Carscy sołdaci dostali srogie baty, co znalazło odzwierciedlenie w pobitewnych statystykach: Rosjan ginęło kilkakrotnie więcej niż Anglików i Francuzów. Generał Eduard Totleben, carski inżynier fortyfikator i jeden z bohaterów obrony Sewastopola, pisał: „Nasza piechota nie była w stanie trafić wroga ze swych karabinów z odległości większej niż 300 kroków, podczas gdy tamci prowadzili ogień z 1200 kroków. Nieprzyjaciel, w pełni przeświadczony o wyższości swej broni strzeleckiej, unikał walki wręcz. Za każdym razem, gdy nasze bataliony atakowały na bagnety, wycofywał się na pewną odległość, po czym otwierał morderczy ogień. Nasze kolumny, kontynuując uderzenie, tylko ponosiły ciężkie straty. Nie mogąc przebić się przez obezwładniający grad pocisków, musiały wycofywać się przed dotarciem do wroga".

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl ffb67b0033

XIX w. / Druty, które zmniejszyły świat

Podwodne pioruny

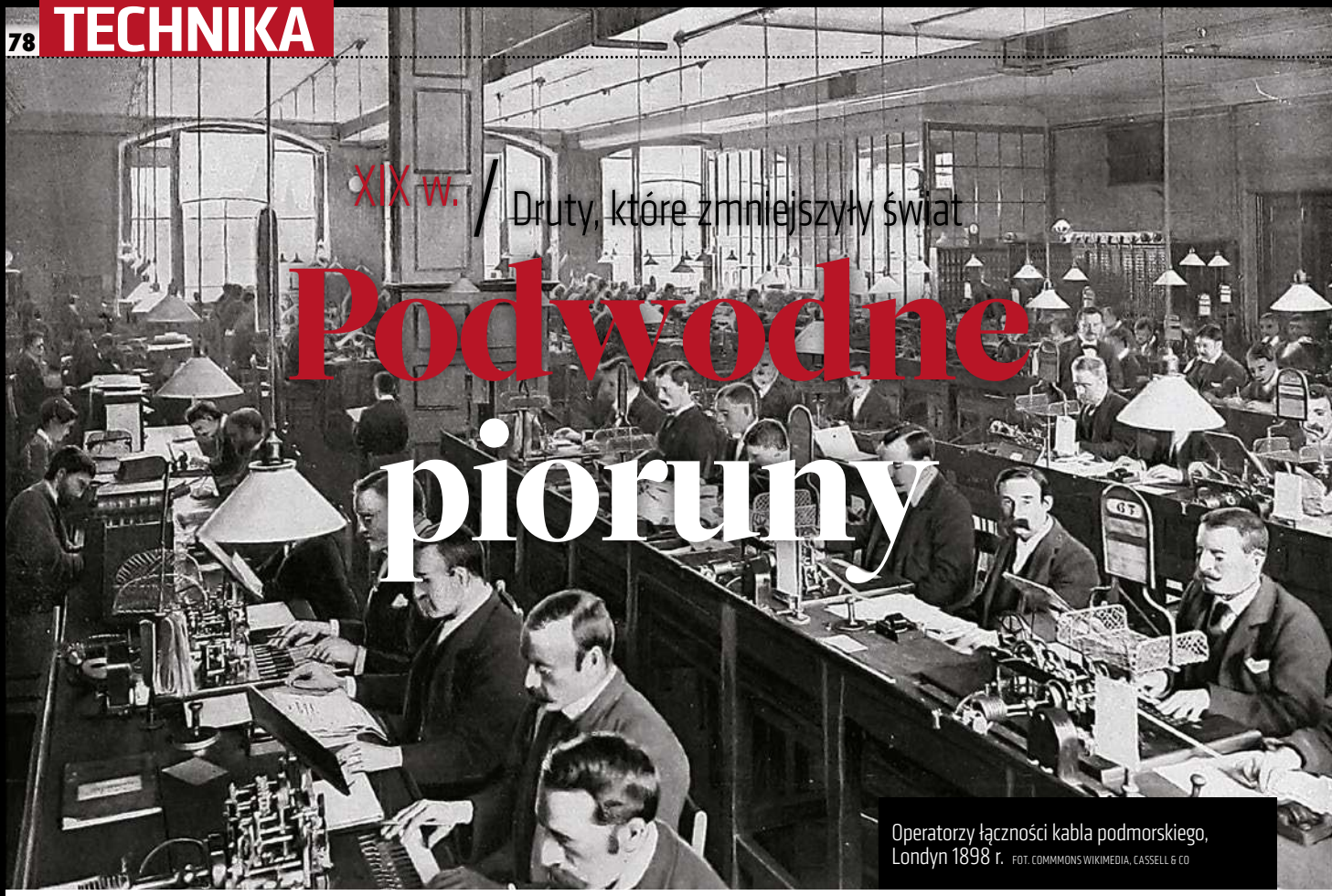

Operatorzy łączności kabla podmorskiego, Londyn 1898 r. FOT. COMMMONS WIKIMEDIA, CASSELL & CO

Tymoteusz Pawłowski

Były tak ważne, że mocarstwa toczyły o nie konflikty. Jeden z kabli podmorskich odegrał pewną rolę w wejściu USA do pierwszej wojny światowej

Przez wiele stuleci najszybszym sposobem przekazywania informacji było korzystanie ze sztafety gońców konnych. Każdy z nich przebywał kilkadziesiąt kilometrów, a następnie przekazywał torbę z pocztą kolejnemu, którego koń był wypoczęty. Wiadomość podróżowała więc na lądzie z szybkością kilkunastu kilometrów na godzinę. Statki oferowały podobną prędkość, ale tylko teoretycznie, zależne były bowiem od warunków atmosferycznych i siły wiatru.

W 1792 r. Francuz Claude Chappe wymyślił telegraf – i to zarówno narzędzie, jak i słowo je określające. Termin ów złożył z greckich wyrażeń oznaczających pisanie na odległość. Narzędziem były zaś wieże rozstawione co kilkanaście kilometrów, z zamontowanymi semaforami. Pokazywały one znaki i litery, odczytywane i przesyłane dalej przez telegrafistów pracujących na kolejnych wieżach. Taka sieć komunikacyjna pokryła całą Europę, miała jednak swoje wady; był to telegraf optyczny, którego skuteczność zależała od dobrej widoczności.

Wiele lat starano się opracować telegraf elektryczny. Próbowało wielu, ale sukces osiągnął jeden człowiek. W 1838 r. Samuel Morse opatentował maszynę do przesyłania informacji wraz ze specjalnym kodem, składającym się z kilkuelementowych sygnałów: krótkich (kropek) i długich (kresek). Praktyczne zastosowanie wynalazku było jednak trudne z prozaicznej przyczyny: braku elektryczności. Jeszcze pół wieku trzeba było czekać na elektrownię wytwarzającą prąd w naszym współczesnym rozumieniu tego słowa (Samuel Morse i jego konkurenci używali prymitywnych baterii czy maszyn indukcyjnych).

Telegraf miał to szczęście, że pojawił się równolegle z pociągami. Kolej żelazna potrzebowała instrumentów, które kierowałyby ruchem i zapobiegały wypadkom, a do tego doskonale nadawały się telegrafy. Dzisiejsza sygnalizacja świetlna na kolei – jak również na skrzyżowaniach dróg – to nic innego, jak telegraf elektryczny, który zamiast liter i cyfr, pokazuje kolory.

Przez wodę!

Problemy techniczne były stopniowo rozwiązywane i w 1844 r. Morse rozpoczął regularną komunikację telegraficzną pomiędzy Waszyngtonem a Baltimore.

eprasa.pl ffb67b0033

Końcówka kabla Europa – Ameryka, Nowy Jork, 1925 r.

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, BUNDESARCHIV

Kolejnym impulsem dla rozwoju telegrafii elektrycznej była wojna krymska, podczas której ułożono kabel pomiędzy bułgarską Warną a Krymem. Nie było to pierwsze podmorskie połączenie telegraficzne, ale pierwsze działające sprawnie i bez większych problemów na tak dużym dystansie.

Kable kładziono pod wodą już w latach 40. XIX w., natomiast nie działały one zbyt dobrze. Do izolacji używano bowiem naturalnego kauczuku, który był mało wytrzymały i rozpuszczał się w wodzie. Rozwiązaniem okazała się gutaperka, którą właśnie zaczęto sprowadzać hurtowo do Europy. Materiał ten – podobnie jak kauczuk – jest żywicą, która po odpowiedniej obróbce przypomina swoimi właściwościami twardą gumę, ale ma jedną istotną zaletę: nie rozpuszcza się w wodzie.

Podmorskie kable telegraficzne kładziono na przełomie lat 40. i 50. XIX w., ale wciąż były one awaryjne. W czasie wojny krymskiej telegraf podwodny stał się obiektem zainteresowania inżynierów wojskowych, którzy nie musieli przejmować się rachunkiem ekonomicznym. W związku z tym mogli eksperymentować z materiałami i różnymi sposobami rozmieszczania kabli i utrzymywania ich w dobrym stanie.

Jesienią 1856 r., tuż po zakończeniu wojny krymskiej, grupa przedsiębiorców z Wielkiej Brytanii, ze Stanów Zjednoczonych i z Kanady postanowiła położyć kabel telegraficzny pomiędzy Europą i Ameryką, a dokładniej pomiędzy Irlandią i Nową Fundlandią. Rdzeń kabla składał się z siedmiu miedzianych drutów izolowanych trzema warstwami gutaperki. Całość owinięto 18 pasami smołowanych konopi i skręcono w spiralę. Jedna mila morska „drutu" ważyła ponad tonę, a tymczasem potrzeba było 2,5 tys. mil, czyli ponad 4,6 tys. km. Położenie kabla nie było łatwe. Zrywał się, trzeba było go odnajdywać, podnosić, reperować, ale w końcu udało się. 16 sierpnia 1858 r. kablem transatlantyckim przesłano pierwszy oficjalny telegram: gratulacje królowej Wiktorii dla prezydenta Jamesa Buchanana.

Entuzjazm był olbrzymi. W Nowym Jorku oddano salwę ze 100 dział, a brytyjscy inżynierowie otrzymali tytuły szlacheckie. Telegraf nie był jednak ideałem: telegram królowej Wiktorii miał 98 słów, przesłanie go zajęło 67 minut, a potwierdzenie treści – 16 godzin. Z tego powodu w ciągu miesiąca przesłano zaledwie 732 wiadomości. Więcej telegramów nie udało się odebrać, ponieważ kabel przestał działać…

O spowodowanie awarii oskarżono Wildmana Whitehouse'a, głównego elektryka przedsiębiorstwa, którzy rzekomo przeciążył kabel zbyt wysokim napięciem. Prawdziwą przyczyną awarii była jednak zła jakość kabla, który szybko stracił swoje właściwości.

„Wojny kablowe"

Pomiędzy decyzją o budowie kabla transatlantyckiego a oddaniem go do użytku minęły niespełna dwa lata – w XIX w. nikt nie piętrzył przed takimi projektami przeszkód biurokratycznych, które dziś zabierają mnóstwo czasu. W 1856 r. wiedzę zdobywano w sposób praktyczny, a kabel transatlantycki był jednym wielkim eksperymentem naukowym. I choć poniósł porażkę, to zdobyte doświadczenie pozwoliło na położenie wielu innych kabli podmorskich.

W 1866 r. udało się wreszcie – była to trzecia próba – położyć transatlantycki kabel, który okazał się trwały. Był on inaczej skonstruowany. Izolatorem była nie tylko gutaperka, lecz także kompozyt Chattertona (jedno z pierwszych tworzyw sztucznych opracowanych na bazie żywic roślinnych). Miedziane przewody usztywniono stalowymi kablami, a całość ważyła dwa razy więcej niż 10 lat wcześniej. Tym razem telegraf działał sprawnie, a szybkość przekazywania wiadomości była 80 razy większa.

Przekrój kabla podmorskiego

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, DEUTSCHES MUSEUM MUNICH

Już w 1870 r. wszystkie kontynenty były połączone siecią kabli podmorskich, a pod koniec XIX stulecia przez północny Atlantyk biegło 11 linii. W 1906 r. zakończono prace nad kablem transpacyficznym. Co więcej, nauczono się również podnosić kable z wody, a każde mocarstwo dysponowało oceanicznym statkiem kablowym. Podnoszenie kabli było koniecznością, ponieważ trzeba było je konserwować, a czasem również naprawiać (często na środku Atlantyku).

Zaczęto również prowadzić „wojny kablowe", polegające na przecinaniu kabli podmorskich. Doprowadziło to do kilku bitew morskich, gdy „przecinający" był łapany na gorącym uczynku. Czasem zakładano na kablach podmorskich urządzenia podsłuchowe, a przejęcie przez Brytyjczyków „telegramu Zimmermana", w którym Niemcy namawiali Meksyk do odzyskania Teksasu i Nowego Meksyku, doprowadziło do wypowiedzenia przez Stany Zjednoczone wojny… Niemcom.

Współcześnie – dzięki XIX-wiecznym doświadczeniom – dna mórz są gęsto pokryte kablami. Nie są to kable telegraficzne, ale telefoniczne, internetowe czy elektryczne, jak choćby Swepol, liczący 238 km długości przewód łączący Szwecję i Polskę, pozwalający przesyłać prąd o mocy 600 MW przy napięciu 450 kV. Ostatnie działania Rosji na Bałtyku pokazują, że „wojny kablowe" wcale nie przeszły do historii...

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl ffb67b0033

Pomnik ku czci bohaterów poległych na Szlaku Bolesławowym Odry i Bałtyku

FOT. NAC

1945 r. / Na rozkaz Stalina

Umarł Stettin, niech żyje Szczecin!

Piotr Zychowicz

Losy Szczecina mogą służyć za symbol dramatu, który dotknął Europę Środowo-Wschodnią w XX w. Wojny mocarstw, zmian granic i deportacji milionów ludzi

W ostatnich latach obserwujemy w polskim społeczeństwie gigantyczny wzrost zainteresowania geopolityką. Dziedzina, która do niedawna była domeną wąskiej grupy specjalistów, nagle stała się przedmiotem wielkiej narodowej debaty. Książki, artykuły i kanały youtubowe poświęcone geopolityce biją rekordy popularności.

Skąd ten fenomen? Odpowiedź jest oczywista. W trwającej od 1991 r. złotej epoce pauzy strategicznej geopolityka była abstrakcją. Czasy były spokojne i bezpieczne. Polacy żyli i bogacili się pod opiekuńczymi skrzydłami zjednoczonego Zachodu: Europy i Stanów Zjednoczonych. Nic nie mąciło naszego błogiego poczucia bezpieczeństwa.

Niestety, ta cudowna epoka amerykańskiej dominacji właśnie dobiega końca. Stary ład się kruszy i na naszych oczach wykuwa się nowy, wielobiegunowy globalny porządek. Rewizjonistyczne mocarstwa – Chiny i Rosja – rzuciły wyzwanie dominacji USA. Sojusz transatlantycki się kruszy.

W tej sytuacji Polacy instynktownie wyczuwają, że geopolityka – a wraz z nią wielka historia – może znowu zapukać do ich drzwi. Nasza traumatyczna, tragiczna historia uczy nas bowiem, że rywalizacja wielkich mocarstw ma gigantyczny wpływ na naszą codzienność. W zależności od jej wyniku nasze życie może zostać wywrócone do góry nogami. Dotyczy to zresztą nie tylko Polaków, lecz także wszystkich mieszkańców naszej części kontynentu.

Refleksja ta naszła mnie, gdy czytałem książkę Piotra Semki „Najdalsza Polska. Szczecin 1945–1950". To wielowątkowa, ilustrowana opowieść o pierwszych latach miasta pod okupacją sowiecką i rządami komunistów. Spośród olbrzymiej liczby tematów poruszonych na łamach dwutomowego albumu mnie najbardziej poruszyły ludzkie losy. A konkretnie: gigantyczne operacje deportacyjne podjęte z woli mocarstw.

Operacje te były oczywiście następstwem nowej sytuacji geopolitycznej, która wytworzyła się w wyniku zwycięstwa Związku Sowieckiego nad Niemcami i zajęcia Europy Środkowej przez Armię Czerwoną. Triumfująca Moskwa przystąpiła do całkowitej przebudowy

eprasa.pl ffb67b0033

tej części kontynentu. Celem było oczywiście poprawienie strategicznej sytuacji „ojczyzny światowego proletariatu".

Kilka kresek

Aby to osiągnąć, Stalin podjął wiele decyzji diametralnie zmieniających kształt terytorialny naszego regionu. Dla losów Szczecina dwie z nich miały kluczowe znaczenie:

1) Włączenie ziem wschodnich Rzeczypospolitej do Związku Sowieckiego i wypędzenie z nich polskiej ludności;

2) Włączenie ziem wschodnich III Rzeszy do marionetkowej Polski i wypędzenie z nich niemieckiej ludności.

Dzięki temu Związek Sowiecki osiągał dwa kluczowe cele. Po pierwsze, poprawił i skrócił swoje własne granice. Po drugie, oparł zachodnią rubież sowieckiej strefy wpływów (los wschodnich Niemiec był wówczas niepewny) na naturalnej granicy Odry i Nysy. Na wypadek wojny z Zachodem byłaby to idealna linia obrony – najwęższe miejsce między Morzem Bałtyckim a Karpatami. Żeby to zrozumieć, wystarczy rzut oka na mapę.

Decyzje te zapadły w kremlowskich gabinetach. A następnie zostały zaaprobowane przez mocarstwa anglosaskie, które nie miały projekcji siły w Europie Środkowo-Wschodniej, a co za tym idzie – nie miały innego wyjścia jak żyrować kolejne zaborcze kroki Stalina. Kilka kresek pociągniętych czerwonym ołówkiem na mapie, kilka telefonów, kilka rozkazów. I pociągi ruuuszyły.

Geopolityczny wyrok wielkiego mocarstwa zdruzgotał życie milionów ludzi. Nagle zostali wyrwani ze swoich domów, lokalnych społeczności, wiosek i miast, które ich przodkowie zamieszkiwali od stuleci. Wpakowani do bydlęcych wagonów i wywiezieni na zachód. Do nowego życia w diametralnie innym otoczeniu. Miliony jednostek zostały zmiażdżone w trybach bezwzględnego mechanizmu historii.

Dramat ten rozegrał się również na Pomorzu Zachodnim, z którego usunięto Niemców, a w ich miejsce

PIOTR SEMKA
„NAJDALSZA POLSKA. SZCZECIN 1945–1950", T. I–II
CENTRUM HISTORII ZAJEZDNIA

sprowadzono Polaków. W samym Szczecinie sytuacja była o tyle specyficzna, że władze niemieckie zdążyły ewakuować z miasta zdecydowaną większość ludności, zanim nadeszli bolszewicy. A niemieccy komuniści jeszcze długo po wojnie nie zrezygnowali z zabiegów, aby Szczecin znalazł się w NRD.

W efekcie nowi mieszkańcy znaleźli się w podwójnie trudnej sytuacji. Z jednej strony musieli organizować nowe życie na ruinach. Szczecin został bowiem zdruzgotany przez alianckie naloty dywanowe, a następnie zdemolowany przez krasnoarmiejców, którzy dopuszczali się licznych aktów wandalizmu i grabieży oraz wzniecali pożary. Z drugiej strony Polakom towarzyszyło poczucie tymczasowości i zagrożenia. A co się stanie, jeżeli Szczecin jednak przypadnie Niemcom?

Najciekawsze fragmenty książki Piotra Semki dotyczą szoku, którym dla wielu Polaków była ta przymusowa, stalinowska przeprowadzka. Część przybyszów stanowili ubodzy włościanie z okolic Oszmiany i Lidy lub z Polski Centralnej. Teraz przydzielono im mieszkania w obcych, neogotyckich kamienicach.

Ludzi tych zmuszano do diametralnej zmiany dotychczasowego trybu życia. Ale przecież nie można było tego zrobić z dnia na dzień! Stąd w pierwszych latach po wojnie codziennym widokiem były kozy obgryzające platany na szczecińskich placach. Nikogo nie dziwiło hodowanie prosiaków w wannach czy trzymanie kur na balkonach.

Multi-kulti

Każdy, kto interesował się powojennym Szczecinem, wie, że miasto nazywane było stolicą polskiego Dzikiego Zachodu. Polscy szabrownicy, bandy rabunkowe, niemieccy i sowieccy dezerterzy, przemytnicy, prostytutki. Wielkie, milionowe kombinacje. O przestępczym półświatku Szczecina i Pomorza Zachodniego można by napisać osobną książkę.

Mniej znany fakt – czemu Semka poświęca dużo miejsca – to wielonarodowy charakter powojennego Szczecina. Do miasta przybyli nie tylko Polacy, lecz także pokaźna liczba Żydów, którzy przetrwali wojnę w Związku Sowieckim. Szczecin szybko stał się centrum żydowskiej kultury i działalności politycznej. Miasto ubarwiały również społeczności Greków i Macedończyków (tak, to nie pomyłka) oraz nieliczni pozostali w mieście Niemcy. Jakby tego było mało, w 1947 r. na Pomorze Zachodnie przyjechali Ukraińcy wysiedleni w ramach akcji „Wisła".

Bardzo ciekawe są te części książki, które opowiadają o komunistycznym terrorze. Jego ofiarą najpierw padali niemieccy cywile (wstrząsająca historia zgładzenia wybitnego ornitologa i ekologa Paula Robiena), a potem polscy antykomuniści. Szczególnie złowrogą kartę w historii miasta zapisał psychopatyczny ubek sadysta Alfred Zimmermann.

Trudno w krótkim artykule wymienić wszystkie wątki, które pojawiają się na łamach książki. Warto jednak wspomnieć o wspaniałej ikonografii – plakatach, pocztówkach, wycinkach gazet i zdjęciach – która w dużej mierze pochodzi ze zbiorów nieżyjącego Janusza Ławrynowicza.

Wbrew pozorom „Najdalsza Polska" nie jest książką dla regionalistów zainteresowanych historią Szczecina i okolic. To uniwersalna opowieść o losach milionów przesiedlonych ludzi, którym przyszło żyć w parszywym wieku XX.

Przystań żeglugi rzecznej w Szczecinie, 1947–1950 FOT. NAC

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl ffb67b0033

Rysują / Krzysztof Wyrzykowski i Maciej Jasiński

eprasa.pl ffb67b0033

HISTORIA DO RZECZY

CZYTAJ CO MIESIĄC W LEPSZEJ CENIE

ZAMÓW PRENUMERATĘ

PRENUMERATA ROCZNA MIESIĘCZNIKA „HISTORIA DO RZECZY"
+ W PREZENCIE KSIĄŻKA JACEK KOMUDA: „UPADEK. JAK STRACILIŚMY PIERWSZĄ RZECZPOSPOLITĄ"

Upadek. Jak straciliśmy Pierwszą Rzeczpospolitą

W roku 1618 I Rzeczpospolita szlachecka Obojga Narodów osiągnęła szczyt swej potęgi.

Jej terytorium zajmowało ponad milion kilometrów kwadratowych, rozciągało się miedzy dwoma morzami i było istnym tyglem kulturowym. Do końca XVIII wieku ten kolos całkowicie znikł z mapy Europy. Znikła nie tylko pamięć o Rzeczypospolitej, ale nawet jej nazwa.

Jak doszło do tego, że tak wielkie, dumne i potężne państwo przestało istnieć?

Oto opowieść o tym, jak Rzeczpospolita zadziwiająca świat swoimi wolnościami, kulturą i potęgą, sławna z wielkich królów, nieustraszonych hetmanów i skrzydlatych husarzy - została roztrwoniona przez swoich dumnych Obywateli.

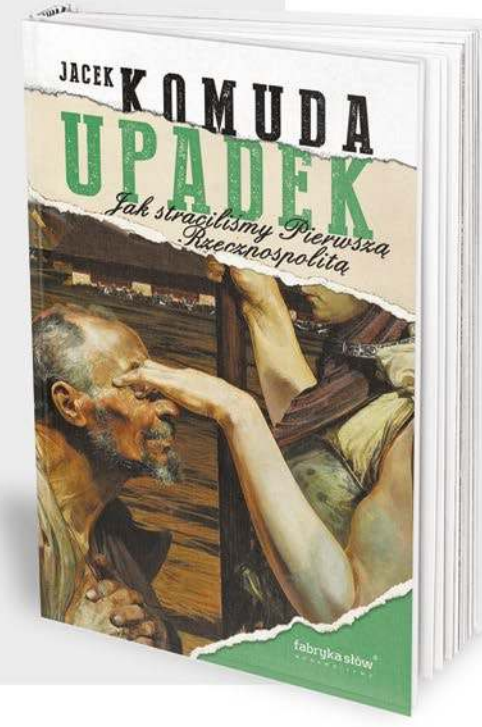

167 zł

oszczędność 60 zł

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:
WPŁATA NA KONTO:
UWAGA NOWY NUMER
33 1600 1462 1816 5874 1000 0006
ORLE PIÓRO S.A.,
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:
Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: **prenumerata@pmpg.pl** TELEFON: **508 040 664, 539 953 631 (pon-pt 10.00-16.00)** INTERNET: **subskrypcja.dorzeczy.pl**

eprasa.pl ffb67b0033

Media Rodzina

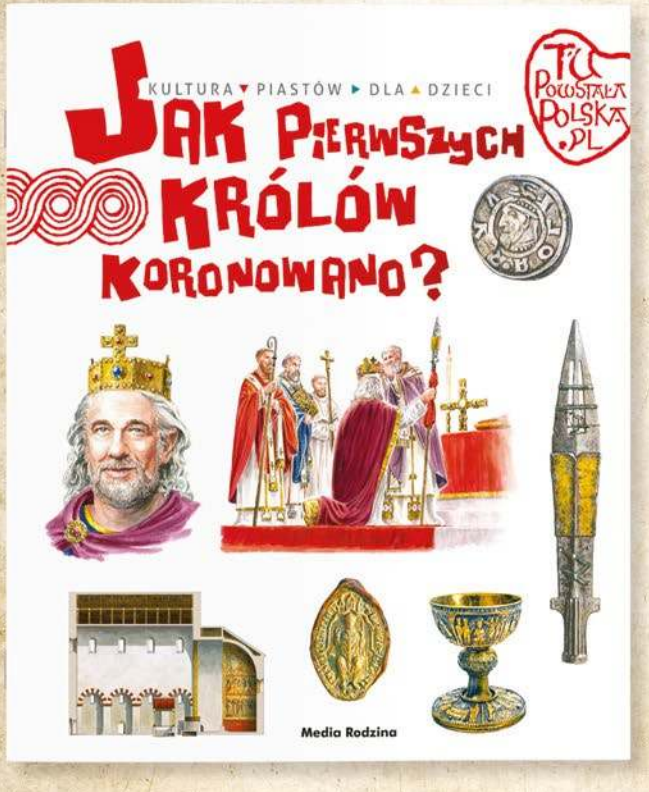

1000-LECIE PIERWSZEJ KORONACJI!

Najnowszy tomik edukacyjnego cyklu „Tu powstała Polska" o pierwszych Piastach, który przybliża znaczenie koronacji w roku 1025 i opisuje przebieg ceremonii wyniesienia władcy na tron. Dodatkowo książka prezentuje poczet władców koronowanych w Gnieźnie, a kolorowe ilustracje i ciekawe opisy przybliżają młodemu czytelnikowi kulturę i życie w dawnych wiekach.

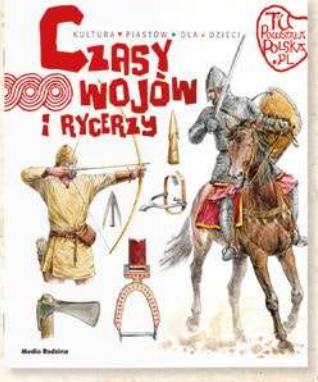

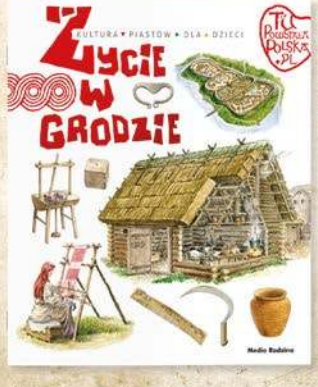

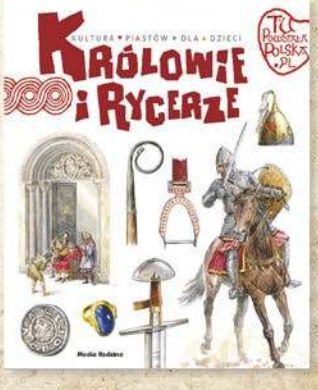

eprasa.pl ffb67b0033